Bezsenna Polska • Burza w PiS • Sekrety Bielana • Humbak celebryta
Wakacje w niepewnych czasach • Bitwa o IPN • 60 lat Czterech Pancernych

POLITYKA.PL

# POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 19 (3563), 6.05–12.05.2026

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

© FILIP NAUMIENKO/REPORTER

# Łatwogang rozbił bank

## Jak najlepiej wydać ponad 280 mln zł

s. 4, 12, 14



USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

ISSN 0032-3500

Wydanie w sprzedaży do 12.05.2026

# KOLOROWE OBIETNICE NAJNTISÓW




**KUP TERAZ**

**W sprzedaży**




**Wydanie papierowe** – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
**Wydanie cyfrowe** – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
**Wydanie audio** – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
**Podkast** POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

**Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny**

eprasa.pl fe4ae05645



© ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

# 18
## Wielka rozgrywka w PiS


## Temat tygodnia

**12** Katarzyna Kaczorowska
**Łatwogang: wiral dobroczynności**
**14** Rozmowa z **Kubą Wątorem** o tym, czy influencerzy zastąpią celebrytów

## Polityka

**18** Wojciech Szacki
**Maślarze, harcerze i prezes – co wyniknie z tego konfliktu**
**21** Anna Dąbrowska, Michał Tomasik
**Sztuczki pana Bielana**
**24** Rafał Kalukin
**IPN: czy prawica utrzyma swój przyczółek?**

## Społeczeństwo

**28** Paweł Reszka
**Prawo i niesprawiedliwość: „ustawa wygaszająca" uderza w Ukraińców, ale tylko tych najsłabszych**
**32** Paweł Walewski
**Polska bezsenna**
**35** Marcin Piątek
**Przewodnicy bez uprawnień**
**38** Prof. **Piotr Tryjanowski** o języku ptaków i o tym, jak się z nimi porozumiewać

## Rynek

**42** Adam Grzeszak
**Wakacje w niepewnych czasach: to będzie rok „lastów"**
**45** Cezary Kowanda
**Najem krótkoterminowy – jak skutecznie go ograniczyć**

## Świat

**58** Łukasz Wójcik IRAN
**Kto dziś rządzi w Teheranie**
**61** Artur Domosławski WENEZUELA
**Co zmienił atak Trumpa**
**64** Jędrzej Winiecki BIAŁORUŚ
**Wolność Poczobuta**

## Nauka/projektpulsar.pl

**66** Michał Rolecki
**Timmy, humbak spod Wismaru – czego uczy nas ta historia**
**69** **Tom Hugh-Jones** o świecie oczami sir Davida Attenborough
**72** Andrzej Hołdys **Jak powstały obręcze Saturna**

## Historia

**74** Mirosław Pęczak
**„Czterej pancerni i pies": 60 lat po**

**78** NAGRODY HISTORYCZNE POLITYKI im. Mariana Turskiego: **Nominacje część II**

## Kultura

**84** Jakub Demiańczuk
**Kino robi koncert**
**87** Rozmowa z **Alisą Kovalenko** o dokumentowaniu śladów wojny
**90** Aleksander Świeszewski
**Drapacze w wielkim mieście**
**94** MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

## Ludzie i style

**101–105** • **Moda na siwiznę**
• **Grok się tłumaczy**
• **Bumelant wiecznie żywy**
• **Malowidła z Asturii**
• **Rekordowy maraton**

## Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **17**, **100**, **106** Galeria POLITYKI • **80** Afisz
• **95** Koziołek • **96** Hartman • **97** Sulej
• **98** Lis • **99** Do i od redakcji • **100** Mizerski
• **106** To jeszcze nie koniec




eprasa.pl fe4ae05645



# Śrubujemy

**Bartek Chaciński**

Po zbiórce Łatwoganga często pojawiały się odniesienia do polskiej solidarności, którą tak łatwo rozbudzić. Ale to nie wszystko – kluczem akcji stało się hasło „śrubujemy". Jak oczekiwania albo rekordy sportowe. Jeden odpowiednio popularny streamer, prowadząc transmisję sprzed komputera w swojej kawalerce, był w stanie dotrzeć do setek innych influencerów, celebrytów i gwiazd, żeby ich przekonać do wyśrubowania efektów zbiórki. Włącznie z Chrisem Martinem, liderem grupy Coldplay, który nadesłał filmik ze swoją wyśpiewywaną zachętą, jednocześnie przepraszając za swój polski: „siurbujemy, siurbujemy…". Jak na wyśrubowane standardy polszczyzny rzeczywiście było to nieprecyzyjne, ale jak na zachętę do wpłat pieniędzy na szczytny cel – zdało egzamin.

W ten sposób – śrubując oczekiwania – w ciągu dziewięciu dni Piotr Hancke zebrał ponad 250 mln zł (do dziś ta suma jeszcze urosła) na Fundację Cancer Fighters. Po drodze wszystkiego było więcej: gości, atrakcji, emocji, śledzących akcję mediów. I wyzwań. Bo świat Łatwoganga to – jak przypomina Kuba Wątor (rozmowa na s. 15) – rzeczywistość wyzwań podejmowanych w zamian za lajki na TikToku. Tutaj wyzwanie urosło w trakcie wykonywania. A dziś wcale nie zmalało. „To będzie największe wyzwanie, bo teraz wszyscy będą im patrzeć na ręce" – mówi z kolei jeden z bohaterów podsumowującego akcję tekstu Katarzyny Kaczorowskiej (s. 12).

W tym śrubowaniu jest coś z pasji do zbiorowego bicia rekordów Guinnessa – i taki rekord pobiliśmy, jak to często w Polsce bywa, wspólnie. Zbiórka Łatwoganga prześcignęła zeszłoroczny ZEvent dwójki francuskich streamerów, którzy podobną metodą działają od lat i ostatnio zebrali w ciągu czterech dni 16 mln euro. Zjawisko livestreamingu to nic nowego: ma już jakieś 20 lat i jest dla wielu osób dobrą formą ucieczki od własnego życia – zamiast na urlop (a na wakacje nie wyjeżdża nigdzie ponad 25 proc. Polaków, o czym piszemy na s. 42) można się przenieść na jakiś czas w domowe pielesze ulubionego streamera. Bo ten jest zarazem prowadzącym, nadawcą, organizującym swoją pracę przedsiębiorcą i gospodarzem.

W polskiej przygodzie z charytatywnym streamingiem jest jednak jeszcze coś bardzo ważnego: nieuchronne skojarzenia z „ogólnonarodowym happeningiem", jak go kiedyś opisywaliśmy, czyli Wielką Orkiestrą Świątecznej Pomocy. Nie chodzi tylko o podobieństwo samych zrywów i ich bohaterów – bo także Jurek Owsiak wydawał się na początku lat 90. reprezentantem nowej generacji, lekko nieokrzesanym, wysławiającym się w niezrozumiały sposób, niepasującym do przyjętych norm medialnych. Chodzi też o to, że również WOŚP oraz Przystanek Woodstock od początku chciały podejmować wyzwania i bić frekwencyjne czy finansowe rekordy.

Najważniejsze jest jednak pokoleniowe tło. Owsiak za bazę swoich działań przyjął scenę zbudowaną na młodzieżowym wdzięku sceny alternatywnej i festiwali w Jarocinie, z hymnem napisanym przez Wojciecha Waglewskiego i zagranym przez Voo Voo oraz innymi wykonawcami „grającymi" dla Orkiestry. Łatwogang ma do dyspozycji potężne środowisko polskiego rapu, a motywem przewodnim akcji uczynił utwór chorej na raka Mai Mecan z popularnym Bedoesem (który pomagał mu w przedsięwzięciu). W tle pojawiali się Mata czy Young Leosia, kolejni raperzy oferowali okolicznościowe nagrania, a Tede godził się na żywo ze skonfliktowanym z nim Peją.

Nawet w okolicznościach społecznych obu akcji można dostrzec podobieństwa – na początku lat 90. przeżywaliśmy zryw gospodarczy, który zostawił bez szans słabszych i biedniejszych. Dziś w pokoleniu Łatwoganga dominuje wizja świata szybkich pieniędzy zarabianych na nowych technologiach i spieniężaniu zasięgów w sieci. To symboliczne, że wśród największych darczyńców znalazły się firmy promujące formy inwestowania z pogranicza hazardu albo (według ustaleń prasy) współpracujące z platformami hazardowymi. A to wywołuje zarzuty charity washingu, czyli wybielania wizerunku za zbiórkowe pieniądze.

Już WOŚP bywał oskarżany o to, że uczy ludzi wspierania akcyjnego zamiast sumiennego płacenia podatków. A dziś zarówno polska Konfederacja, jak i światowi ultraliberałowie chcą ograniczać rolę państwa, pozostawiając jednostkę wobec władzy potęg finansowych. Myśl o tym, że pieniądze skapujące od bogatych zaspokoją społeczne potrzeby, pojawiała się i w retoryce zbiórki dla Cancer Fighters. Bedoes przed kamerą przekonywał siedzące w kawalerce dzieciaki, że podatki to właściwie rodzaj zadekretowanego prawnie złodziejstwa.

W tym wydaniu opisujemy już zderzenie efektów szlachetnej akcji z rzeczywistością, które obserwować będą te same dzieciaki w najbliższych latach. Bo na streamie Łatwoganga zebraliśmy jakieś 0,13 proc. rocznego budżetu NFZ na 2026 r. To ważne wsparcie dla wielu osób, które jednak nie zmieni całkiem obrazu systemu. Rząd – opisywany już w memach jako Trudnogang – i tak wykonuje większość pracy w tej dziedzinie, choć jeszcze nie prowadzi zbiórek i streamów na żywo. A broniący się przed polityką zryw stał się dla prawicy obiektem politycznych ataków.

Ciężar sukcesu spowodował za to, że wyśrubowane standardy zawitały na chwilę do świata influencerów. Łatwogang i Bedoes – co warto odnotować z szacunkiem – odmówili ogrzewania się w medialnym blasku akcji, zapowiedzieli z góry, że nie przyjmą orderów, a współprace reklamowe odłożą w czasie, ten pierwszy honoraria z jednej już trwającej współpracy przekazał na akcję.

Jak będzie z innymi bohaterami streamu z kawalerki? Na razie podniósł ich notowania – Doda, o której niedawno było głośno głównie za sprawą kary więzienia w zawieszeniu, zaśpiewała właśnie hymn Polski na krakowskich obchodach Święta Flagi RP. A różne „cudowne" elementy rzeczywistości – jak podanie sobie ręki przez prezydenta i premiera podczas mszy pogrzebowej Łukasza Litewki – już zaczęto komentować jako „efekt Cancer Fighters". Przede wszystkim jednak w ciągu niewiele ponad tygodnia nasz stan wiedzy o Polakach uległ znaczącemu wyśrubowaniu.



eprasa.pl fe4ae05645

Albatros travel

Albatros 40 lat



NOWOŚĆ

## Koleją przez stepy: Z Mongolii do Chin

**Wyrusz pociągiem w niezwykłą podróż od rozległych, dzikich, mongolskich stepów po tętniący życiem Pekin przez dwa fascynujące światy i kultury.**

**Program wycieczki: Dz. 1** Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przyjazd do Ułan Bator. Zwiedzanie miasta w tym Narodowe Muzeum Historii i Plac Niepodległości. **Dz. 3** Ułan Bator. Klasztor Gandan i Pałac Króla Bogd-chana. **Dz. 4** Ułan Bator – Elsen Tasarkhai. Zakwaterowanie w jurtach, możliwość przejażdżki konnej lub na wielbłądach i czas wolny. **Dz. 5** Elsen Tasarkhai – Karakorum – Elsen Tasarkhai. Stolica Czyngis-chana, w tym klasztor Erdenne Zuu. **Dz. 6** Elsen Tasarkhai – Ułan Bator. Wizyta u rodziny nomadów i kolacja pożegnalna w stolicy. **Dz. 7** Ułan Bator – Pekin. Przejazd Trans-mongolską Koleją. **Dz. 8** Pekin. Przyjazd do chińskiej stolicy, czas na odpoczynek i kolacja powitalna. **Dz. 9** Pekin. Starożytne Chiny. Cesarski Pekin: Zakazane Miasto, Świątynia Nieba, ceremonia parzenia herbaty i kaczka po pekińsku. **Dz. 10** Pekin. Całodzienna wycieczka na Wielki Mur Chiński, wizyta w sklepie z jedwabiem oraz zwiedzanie hutongów i przejażdżka rikszą. **Dz. 11** Pekin. Nowoczesne Chiny, wizyta w Strefie Sztuki 798 i kolacja pożegnalna. **Dz. 12** Pekin – Warszawa. Powrót do domu.




**12 dni | Wyloty z Warszawy 19/06 2026, 11/06, 20/08 2027 | od 12.998,-**

NOWOŚĆ



2 degustacje wina w cenie

## Prowansja – historia, wino i lawenda

**Pełna uroku podróż od Aix-en-Provence Cézanne'a przez papieski Avignon po wyborne wina Châteauneuf-du-Pape w otoczeniu lawendowych pól.**

**Program wycieczki: Dz. 1** Przylot do Marsylii i przejazd do Aix-en-Provence. **Dz. 2** Aix-en-Provence – Awinion. Wizyta na targu oraz pracownia Cézanne'a. Przejazd do Awinion. **Dz. 3** Awinion. Pałac Papieski, słynny most i degustacja win z Doliny Rodanu. **Dz. 4** Rzymski akwedukt Pont du Gard i urokliwe miasteczko Uzès. **Dz. 5** Papieskie winnice Châteauneuf-du-Pape i świat lawendy. **Dz. 6** Arles i Saint-Rémy-de-Provence – śladami Van Gogha i rzymskich budowli. **Dz. 7** Powrót do domu z Prowansją w sercu.

**7 dni | Wylot z Warszawy 28/10 2026 | od 7.498,-**




Śniadania i 5 kolacji w cenie

## Irlandia – zielona wyspa Celtów

**Niezwykła wyprawa, podczas której odkryjemy wspaniałe zabytki i cuda natury, poznamy sympatycznych mieszkańców, skosztujemy piwa Guinness i najlepszej whisky.**

**Program wycieczki: Dz. 1** Przelot Warszawa – Dublin. Przejazd do Waterford i pokaz psów pasterskich. **Dz. 2** Miasto Wikingów – Waterford. Zamek Cahir. **Dz. 3** Pierścień Kerry, posiadłość i ogrody Muckross. **Dz. 4** Kerry – prom do Killimer – Klify Moheru – Burren – Galway. **Dz. 5** Malowniczy region Connemara, zwiedzanie miasta Galway. **Dz. 6** Clonmacnoise – destylarnia whisky – Dublin. **Dz. 7** Zwiedzanie Dublina i czas wolny. **Dz. 8** Dublin – Warszawa. Powrót do domu.

**8 dni | Wyloty z Warszawy 18/08, 17/09 2026 | od 7.498,-**

**albatros.pl**
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
**rezerwacja +48 22 128 48 81**

Kod reklamy: **PL16**

**Cena zawiera:** BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl fe4ae05645

# Polska 2050: rządzą, ale się nie cieszą

Polska 2050 po długich, prowadzonych publicznie deliberacjach ostatecznie doszła do wniosku, że nie warto rozbijać koalicji w imię personalnego konfliktu i zagłosowała w Sejmie przeciwko wotum nieufności dla byłej partyjnej koleżanki, minister klimatu **Pauliny Hennig-Kloski**. Większość rządowa obroniła także przed odwołaniem szefową resortu zdrowia Jolantę Sobierańską-Grendę, a premier Donald Tusk optymistycznie ogłosił, że solidarność i jedność obozu władzy została wzmocniona. Wydaje się jednak, że kryzys polityczny został zażegnany tylko na chwilę.

W niedzielę portal Onet poinformował, że prokuratura szykuje się do postawienia zarzutów Szymonowi Hołowni w sprawie studiów na Collegium Humanum, a do Sejmu ma wpłynąć wniosek o uchylenie immunitetu byłemu marszałkowi. Hołownia odpowiedział w mediach społecznościowych, że nic takiego się nie wydarzy, i zasugerował, że w innym przypadku będzie to wynik knowań politycznych, wymierzonych przeciwko Polsce 2050. Na horyzoncie rysuje się więc nowa awantura w koalicji, tym bardziej że zarówno Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, jak i Hołownia są święcie przekonani, że wewnątrz obozu rządowego są nieustannie sekowani i prześladowani.




Właśnie owo głębokie poczucie krzywdy oraz alergia na Donalda Tuska (odwzajemniana przez premiera) to ważne przyczyny kołysania koalicyjną łodzią przez Polskę 2050. Kolejnym istotnym powodem jest fatalna sytuacja sondażowa partii, która wymusza na niej desperackie działania. Kłopotem jest również fakt, że formacja Pełczyńskiej-Nałęcz i Hołowni nie bardzo wie, w którym miejscu chce stać na scenie politycznej. Jeszcze niedawno była klasyczną liberalną partią z umiarkowanym konserwatyzmem w tle, dziś to raczej formacja aspirująca do reprezentowania zbuntowanych mieszczan, której bliżej do lewicy w stylu partii Razem niż do centroprawicy na modłę Koalicji Obywatelskiej.

Nie ma raczej większych wątpliwości, że liderzy Polski 2050 najchętniej opuściliby koalicję rządową, budując przed wyborami tożsamość bezkompromisowych idealistów na wojnie z cynicznymi politykierami. Szkopuł jednak w tym, że trzeba mieć do tego jakiś sensowny programowy pretekst oraz pewność, że ich klub sejmowy w dużej większości zaakceptuje taką decyzję. Na razie pretekstu ani pewności nie ma, więc w koalicji jeszcze przez chwilę zostaną: współrządząc, ale się nie ciesząc. (M.DAN)

# Łomiarz na wolności

Henryk R., zwany Łomiarzem, wyszedł na wolność po odsiedzeniu wyroku za napady rabunkowe na kobiety. Jego ofiarami (od 1992 r.) padło 29 kobiet. Atakował z tyłu, uderzając ciężkim narzędziem, i wyrywał torebki. Pięć kobiet zmarło. Psycholodzy oceniają, że mimo oddziaływań wychowawczych nie ma poczucia winy i nie żałuje swoich czynów.

Od 2014 r., czyli od uchwalenia ustawy zwanej lex Trynkiewicz (od nazwiska zabójcy czterech chłopców, któremu kończyła się kara 25 lat więzienia), osoby, które specjaliści uznają za groźne dla życia i zdrowia innych lub dla wolności seksualnej, po odbyciu kary nie wychodzą na wolność. Trafiają do Ośrodka Zapobiegania Zachowaniom Dyssocjalnym w Gostyninie, gdzie są bezterminowo pozbawiane wolności oraz – teoretycznie – resocjalizowane i poddawane psychoterapii. A w praktyce po prostu „siedzą" w reżimie surowszym niż więzienny.

Henryk R. nie może trafić do Gostynina, bo lex Trynkiewicz dotyczy tylko osób skazanych do 2015 r., jego zaś skazano w 2016 r. Dla skazanych po 2015 r. przewidziano inny mechanizm: sąd przy wyroku orzeka, że po zakończeniu kary skazany ma obowiązek podjęcia terapii odpowiedniej do zaburzenia osobowości i ma być poddany dozorowi elektronicznemu i/lub policyjnemu. Jeśli choruje psychicznie, może być internowany w szpitalu psychiatrycznym. Henryk R. nie choruje psychicznie, więc w jego przypadku zastosowano pozostałe środki zabezpieczające.



Czy to błąd, że nie przewidziano możliwości dalszej izolacji dla osób takich jak Łomiarz? Argument prawny jest taki, że konstytucja nie pozwala karać za przestępstwo, którego ktoś nie popełnił, a co najwyżej podejrzewamy, że może popełnić. Jest też argument praktyczny, oparty na doświadczeniu blisko 12 lat działania ośrodka w Gostyninie. Instytucja ta okazała się absurdalnie droga, nieefektywna, do tego sama generuje patologie. Ośrodek, podlegający Ministerstwu Zdrowia (po to, by odeprzeć zarzuty, że jest więzieniem), zatrudnia psychologów, psychiatrów, terapeutów zajęciowych, personel medyczny i pracowników ochrony, a także pracowników technicznych i biurowych. Efektywność terapii jest żadna, bo „pacjenci" praktycznie nie mogą liczyć na odzyskanie wolności. Ale dzienny koszt pobytu w Gostyninie jednego „pacjenta" w 2023 r. wyniósł – według raportu z kontroli NIK – 1863 zł! Zdecydowanie taniej i skuteczniej, a w dodatku w zgodzie z konstytucją, byłoby wysłać policjanta za każdym potencjalnie groźnym byłym skazanym. (ES)

© SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, JERZY DUDEK/FORUM, JAKUB ORZECHOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, DANIEL DMITRIEW/FORUM



eprasa.pl fe4ae05645

# Walka na orzeczenia



Rozsypał się worek z wyrokami o uznanie małżeństw jednopłciowych zawartych za granicą. W Lublinie przed Wojewódzkim Sądem Administracyjnym zapadła właśnie kolejna decyzja zobowiązująca kierownika Urzędu Stanu Cywilnego do wydania transkrypcji aktu małżeństwa jednopłciowej pary. **Alicja i Jolanta Sienkiewicz-Prochowicz** pobrały się w 2023 r. na portugalskiej Maderze. Po ceremonii już jako żona i żona zgłosiły się do urzędu z wnioskiem o transkrypcję aktu małżeństwa, ale im odmówiono, wskazując, że polskie prawo na to nie pozwala. Odmówił im także wojewoda lubelski, dlatego zdecydowały się pójść do sądu, który był im przychylny. WSA powołał się w uzasadnieniu swojej decyzji na rozstrzygnięcie Trybunału Sprawiedliwości UE z końca ubiegłego roku, ale też na wyrok NSA sprzed kilku tygodni oraz na Europejską Konwencję Praw Człowieka. A konkretnie jej art. 8 mówiący o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności przez brak zapewnienia parom tej samej płci szczególnych ram prawnych gwarantujących uznanie i ochronę tworzonych przez te osoby związków.

Na wydanie dokumentów USC ma teraz 30 dni od dnia zwrotu akt administracyjnych. Tyle samo, co w przypadku przetłumaczenia aktu małżeństwa Jakuba i Mateusza Cupriaków-Trojanów, którzy pobrali się w Berlinie w 2018 r. 20 marca br. wyrok w ich sprawie wydał NSA: zobligował urzędników do stosownego wpisu mimo trudności teleinformatycznych, które dziś uniemożliwiają urzędnikom wpisanie w rubryki dwóch mężczyzn czy dwóch kobiet. Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski (bo to warszawski USC powinien wydać dokumenty) zapewnia, że „pracuje, aby wykonać wyrok NSA w sensie technicznym". W ostatnich tygodniach pojawiły się ze strony rządu deklaracje rychłego opublikowania formularza dokumentów potrzebnych do transkrypcji, ale na razie nic takiego się nie stało. Nie ma także rozporządzenia ministra cyfryzacji, które umożliwiłoby realne wykonanie wyroków.

Na razie zapadły – po rozstrzygnięciach TSUE i NSA – już trzy wyroki Wojewódzkich Sądów Administracyjnych: oprócz Lublina także w Olsztynie i w Gorzowie. Kolejne orzeczenie już 7 maja. To, że potwierdzą one dotychczasową linię orzeczniczą, jest prawie pewne. Kolejne pary w całej Polsce składają wnioski o transkrypcję zawartych za granicą aktów małżeństwa. Według szacunków o transkrypcję może wystąpić około tysiąca par małżeńskich. Są to bardzo ostrożne prognozy. (AGSZCZ)

# Pigułka zostaje

Ministerstwo Zdrowia przedłuży o kolejne dwa lata pilotaż antykoncepcji awaryjnej w aptekach. Mowa o programie, w ramach którego to farmaceuta (po konsultacji) wystawia receptę na tzw. pigułkę „dzień po" pacjentkom, które mają co najmniej 15 lat. Rządzącym chodziło o skrócenie drogi do zdobycia antykoncepcji awaryjnej (tabletkę trzeba przyjąć maksymalnie 72 godz. po niezabezpieczonym stosunku płciowym). To się nie do końca udało. Przez ostatnie dwa lata do aptek po receptę zgłoszono się prawie 50 tys. razy – wynika z danych Naczelnej Izby Aptekarskiej. Rocznie w Polsce jest wystawianych 300 tys. takich recept (dane z MZ), więc większość kobiet wciąż zdobywa receptę w gabinecie lekarskim.

Popularności programowi nie dodawało także to, że receptę na antykoncepcję awaryjną wystawiają farmaceuci tylko w wybranych aptekach. Obecnie w programie uczestniczy ponad 1400 aptek w całej Polsce (na ponad 11 tys.). Z opublikowanych statystyk wiadomo też, że w co dziesiątym przypadku farmaceuta uznał, że taka recepta nie powinna być wystawiona, odsyłając pacjentkę z kwitkiem. Z pigułki „dzień po" najczęściej korzystały kobiety w wieku 19–40 lat (69 proc. wszystkich recept), najrzadziej zaś nastolatki (16–19 lat). Co piąta recepta dotyczyła pacjentek po 40. roku życia.

„Pigułka po" od początku budziła ogromne polityczne emocje. Pilotaż wprowadzony wiosną 2024 r. był reakcją rządu na weto prezydenta Dudy w sprawie ustawy, która miała znieść obowiązek recepty na pigułkę. Ówczesna szefowa resortu zdrowia Izabela Leszczyna chciała, by pigułki mogły samodzielnie kupować osoby powyżej 15 r.ż. Zdaniem byłego już prezydenta, w przypadku niepełnoletnich konieczna powinna być jednak zgoda rodziców. Wątpliwości prawne zgłaszały także samorządy lekarski i aptekarski – przez co w wielu aptekach osoby niepełnoletnie muszą dziś przedstawić zgodę rodzica.




Dzięki wprowadzeniu pilotażu w rankingu dostępności do antykoncepcji Parlamentu Europejskiego Polska przesunęła się z ostatniego miejsca (zajmowanego przez ostatnie sześć lat) na piątą pozycję od końca. Na kolejne awanse nie ma już jednak co liczyć. To, co stawia nas też w ogonie Europy, to brak refundowanych metod długoterminowych (takich jak np. wkładki domaciczne), które mają mniej skutków ubocznych. W polskich szpitalach wciąż trudno wyegzekwować nawet zabieg założenia wkładki na NFZ, choć należy on do tzw. świadczeń gwarantowanych. (AGSZCZ)



eprasa.pl fe4ae05645

TYDZIEŃ W POLITYCE

# Kampanijne strachy



**Karolina Lewicka**

Dziennikarka Radia TOK FM, wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka

Przed poprzednimi wyborami parlamentarnymi „Rzeczpospolita" zapytała Polaków, jakie powinny być tematy kampanii. 37 proc. wskazało na inflację (latem 2023 r. wciąż dwucyfrową), a 17 proc. – na stan gospodarki (trzech na pięciu Polaków uważało wtedy, że rząd Morawieckiego nie daje tutaj szans na poprawę). Drożyznę jako temat bliski ludziom wziął na sztandary Donald Tusk i zapewne dziś z obawą, maskowaną narracją o roku przyspieszenia, patrzy na szaleństwa amerykańskiego prezydenta niosące ze sobą ryzyko recesji i powrotu wysokich cen. Może to być jeden z wyborczych tematów w 2027 r., ale nie musi; wiele zależy od cieśniny Ormuz i czarnych łabędzi. Spójrzmy zatem na to, co już jest na politycznej agendzie, a co z niej spadło.

PiS stanął przed powiatowymi szpitalami, być może przeczuwając, że wyczerpuje się ten układ, w którym obywatele żądają skrócenia kolejek do lekarzy, pretendenci do władzy gładko to obiecują, także w kampaniach prezydenckich, po czym wszystko zostaje po staremu – czemu nawet nikt się nie dziwi, jakby fatalna kondycja ochrony zdrowia była nam przyrodzona. Jeśli jednak Nowogrodzka i jej kandydat na premiera poświęcają temu zagadnieniu tak wiele czasu, to widać z badań im wyszło, że jesteśmy blisko masy krytycznej. Wyborcy mogą nie pamiętać, że PiS nie miał na tym polu sukcesów, za to wizja kobiet rodzących gdzie bądź i brak dostępu do badań diagnostycznych będą sugestywne.

Rządzący, rzecz jasna, na żadną reformę nie pójdą. Raz, że Tusk jedyną poważną zmianą systemową (podwyższenie wieku emerytalnego) za swojego łącznie już dziewięcioletniego premierostwa tak się sparzył, że nie zaryzykuje powtórki. Dwa, że reformy robi się w pierwszym roku kadencji, a nie na rok przed startem kampanii. Rząd będzie zatem liczył, że jakoś to będzie, a opozycja – że się na tym ostatecznie wywróci.

Pewnie dlatego premier ucieka w geopolitykę. Od ministrów KO słyszę, że bezpieczeństwo kraju zajmuje go najbardziej, temu poświęca najwięcej czasu i energii. To dobrze, bo czasy nie są spokojne. Z drugiej strony straszenie bliską (perspektywa „raczej miesięcy niż lat") wojną – jak w przypadku wywiadu dla „Financial Times", zapoczątkowane zresztą na początku 2024 r. sformułowaniem o „czasach przedwojennych" – wygląda na rozpaczliwą próbę odwracania uwagi od problemów wewnętrznych. I na dodatek prowokuje pytania, czy rząd nie powinien przejść w tryb ekstraordynaryjnych działań, skoro Hannibal ante portas?

Z grubsza też już wiadomo, jakich tematów rząd się będzie wystrzegał jak ognia. To rozliczenia, lejtmotyw poprzedniej kampanii, których nie uda się przeprowadzić, nie licząc paru uchylonych immunitetów i na palcach jednej ręki policzalnych aktów oskarżenia. Buksuje przywracanie praworządności i trudno tu o nadzieję, zważywszy na to, że prawie trzy lata kolejnej kadencji Sejmu przypadną na ciąg dalszy pierwszej kadencji Nawrockiego. Sprawy światopoglądowe też będą na cenzurowanym, bo prezydent nawet nie miał szansy zawetować ustawy o związkach partnerskich czy liberalizacji prawa aborcyjnego. A jeśli te tematy spadają, to czy ostanie się tylko straszenie wojną, Kaczyńskim i Braunem? Ale PiS też na razie porusza się po omacku. Jarosław Kaczyński zapytany ostatnio w TV Republika, jak można wygrać kolejne wybory, odparł, że dziś nie sposób tego przewidzieć.

# Żal i skrucha

Ta tragedia wstrząsnęła nie tylko środowiskiem harcerzy – w lipcu zeszłego roku 15-letni Dominik utonął w jeziorze Ośno w miejscowości Wilcze podczas tzw. próby harcerskiej. Za jej przeprowadzenie odpowiadali Marek G., 21-letni wychowawca-drużynowy, oraz Igor K., 19-letni ratownik WOPR. Prokuratura skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko nim. Zarzuca im narażenie chłopca na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu i w efekcie – nieumyślne doprowadzenie do jego śmierci.

Obóz nad jeziorem Ośno w miejscowości Wilcze organizował Związek Harcerstwa Polskiego Okręg Dolnośląski. Według ustaleń POLITYKI zebranych krótko po tragedii, podczas próby, dzięki której Dominik miał zdobyć stopień ćwika, ratownik i drużynowy nie asekurowali chłopaka, który miał przepłynąć na drugi brzeg jeziora i rozpalić ognisko. Co istotne, próbę tę Marek G. i Igor K. zorganizowali w nocy. Kiedy Dominik wskoczył do wody, obaj zostali na pomoście. Nie wsiedli też do łódki, w której i tak nie było żadnego sprzętu ratunkowego – obóz praktycznie został już zwinięty i wszystko było spakowane. Co więcej, o tej tragicznej w skutkach próbie komendant obozu nic nie wiedział, choć należało mu ją zgłosić. Dominik miał jezioro przepłynąć wpław – na odcinku 500 m – w pełnym umundurowaniu i butach, z harcerskim ekwipunkiem. Nie przepłynął. Ciało chłopca znaleziono rano.



Jak ustalili śledczy z Prokuratury Rejonowej w Wolsztynie, do śmierci Dominika doprowadziło zachowanie oskarżonych – potwierdziły się informacje sprzed roku: pozostali na pomoście, nie wsiedli do łódki, by asekurować chłopca. Kiedy zaczął tonąć, próbowali mu pomóc, ale bezskutecznie.

Marek G. pod koniec śledztwa przyznał się do tego, że nie zapewnił 15-latkowi należytego bezpieczeństwa. Do winy nie przyznał się Igor K., choć jednocześnie potwierdził udział w tragicznie zakończonym zdarzeniu. Obaj mężczyźni wyrazili żal i skruchę, a rodzice Dominika im przebaczyli. Marek G. jest objęty dozorem policji, zdecydowano też o poręczeniu majątkowym. Ma także nakaz powstrzymywania się od działalności związanej ze sprawowaniem opieki nad małoletnimi oraz wykonywaniem funkcji drużynowego harcerskiego. Za przestępstwo nieumyślnego spowodowania śmierci grozi kara pozbawienia wolności od 3 miesięcy do 5 lat. (KK)

© NEWSLUBUSKI/EAST NEWS



eprasa.pl fe4ae05645



# 1=12

## Jedno miejsce pracy w L'Oréal w Polsce generuje **12 kolejnych miejsc pracy** w całej polskiej gospodarce

SPRAWDŹ

### L'Oréal w Polsce: lider branży kosmetycznej wspierający rozwój gospodarczy

Zatrudniamy 1400 osób w Polsce, w tym w fabryce L'Oréal Warsaw Plant w Kaniach, w centrum logistycznym w Błoniu, w sieci dystrybucji i w centrum usług biznesowych. Dzięki naszej działalności każde miejsce pracy w L'Oréal generuje 12 kolejnych miejsc pracy w polskiej gospodarce, w takich sektorach jak logistyka, reklama, handel detaliczny i usługi profesjonalne.

L'ORÉAL GROUPE | TWORZYMY PIĘKNO, KTÓRE PORUSZA ŚWIAT

eprasa.pl fe4ae05645

# Ptaki Madziara



„W Rosji nie ma już bezpiecznego zaplecza" – ogłosił szef wojsk dronowych Ukrainy **Robert Browdi, ps. Madziar**, pochodzący z węgierskiej mniejszości etnicznej biznesmen, który stał się najskuteczniejszym wojownikiem, jakiego stworzyła ta wojna. Ukraina praktycznie codziennie udowadnia, że jest w stanie atakować miejsca odległe o 1,5–2 tys. km. Oczywistym celem są bazy wojskowe i lotniska, ale ważniejszym porty i terminale naftowe, rafinerie i cała reszta ekonomicznego fundamentu Rosji – przemysłu wydobycia węglowodorów. Od Ust-Ługi w Zatoce Fińskiej po Tuapse nad Morzem Czarnym, „ptaki Madziara" latają, gdzie chcą, przy bezradności rosyjskiej obrony powietrznej. Tanie, łatwe do masowej produkcji drony dalekiego zasięgu – nie tylko te latające, ale też pływające – stają się jedną z ukraińskich specjalności, oferowanych coraz szerzej na eksport. Oczywiście Rosja też je ma i bezlitośnie nimi uderza, ale przy oczywistej różnicy potencjałów to Ukraina wygrywa dronowy wyścig zbrojeń, co nie znaczy jeszcze, że wygrywa wojnę. Przynajmniej na razie, choć w Kijowie mówi się, że następna ukraińska „ofensywa" (wielkich operacji raczej nie należy się spodziewać) będzie w dużej mierze bitwą robotów.

Pierwsze doświadczenia ukraińska armia już zdobyła, zmuszając Rosjan do poddania się nie żołnierzom, ale maszynom. Drony latające już wiele razy „brały w niewolę" pojedynczych rosyjskich żołnierzy, ale bezzałogowce lądowe dopiero niedawno zaliczyły taki bitewny sukces, „zdobywając" pozycję nieprzyjaciela. Wojska bezzałogowe stanowią zaledwie 2 proc. Sił Zbrojnych Ukrainy, ale odpowiadają za jedną trzecią wszystkich zniszczonych celów i – co tu ukrywać – najwięcej zabitych Rosjan. Może właśnie dlatego Władimir Putin woli nie ryzykować i znacznie ograniczył skalę dorocznej defilady zwycięstwa 9 maja. Moskwa jest oczywiście silnie broniona, ale jest też w zasięgu „ptaków Madziara", a skuteczny atak w najważniejsze neoimperialne święto byłby wizerunkowym zwycięstwem nie do pogardzenia. Co zrobią Ukraińcy, okaże się w sobotę. Putin nie ma na nich wpływu, ale próbuje swoich sił z Donaldem Trumpem. Po półtoragodzinnej rozmowie dostał z Waszyngtonu świąteczne prezenty w postaci zapowiedzi wycofania z Niemiec istotnych sił USA i wstrzymania rozmieszczenia dalekosiężnych rakiet. W zamian nie musiał nawet zgadzać się na „mały rozejm", do którego przekonywał go Trump. Każdy świętuje zwycięstwo, którego nie ma, na swój ulubiony sposób: Putin się chowa, Trump się umizguje, a Wołodymyr Zełenski po prostu walczy.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

# Potęga papierowych tygrysów




W najnowszym rankingu CWTA uniwersytetu w Lejdzie w pierwszej dziesiątce najlepszych uczelni na świecie jest osiem chińskich. Prowadzi **Zhejiang**, gdzie studiował założyciel firmy DeepSeek, zajmującej się sztuczną inteligencją. A Harvard jest na trzecim miejscu. Rankingi „Nature" czy QS są bardziej korzystne dla uczelni amerykańskich, ale trend jest wyraźny. Chiński sukces napędzają ogromne zasoby finansowe i kadrowe. W latach 2021–25 Chiny wykształciły 55 mln magistrów i przeznaczają na badania 2,69 proc. PKB.

Li Daokui, wykładowca ekonomii na uniwersytecie Tsinghua, przyznaje, że ten sukces w rankingach odzwierciedla raczej postęp Chin w nauce i technologii niż siłę samych uniwersytetów. W 2025 r. studia doktoranckie ukończyło niemal dwa razy więcej doktorantów z dziedzin STEM (nauka, technologia, inżynieria i matematyka) niż na uniwersytetach amerykańskich, gdzie zresztą także studiują Chińczycy. Wielu z nich wraca do kraju, bo są świetnie opłacani i mają doskonałe warunki do badań, a od dojścia Xi Jinpinga do władzy w 2012 r. Pekin chce zdominować czwartą rewolucję przemysłową: sztuczną inteligencję, technologię kwantową, inteligentną produkcję i biotechnologię. Niekoniecznie z myślą o dobrobycie, lecz o rozszerzeniu potęgi. System jest scentralizowany. Ministerstwo edukacji zarządza najlepszymi uniwersytetami w kraju. Rektor Uniwersytetu Pekińskiego pełni funkcję wiceministra i podlega ministrowi edukacji, który z kolei podlega kierownictwu partii.

Han Pengfei, profesor Uniwersytetu Pekińskiego specjalizujący się w innowacyjności, twierdzi, że inwestycje krajów zachodnich nie nadążają za inwestycjami Chin. Pewną rolę odgrywają tu chińskie systemy motywacyjne. A presja na wyniki zaczyna się już we wczesnych latach szkolnych. Wypłacanie premii za artykuły publikowane w prestiżowych czasopismach naukowych nakręciło także zjawisko „fabryk papieru": plagiatowane lub fryzowane artykuły, co zdarza się wszędzie, ale ponoć w Chinach stało się nagminne. Dlatego harvardzki informatyk Ariel Procaccia uważa, że wiele chińskich uczelni to papierowe tygrysy. Niemniej postęp jest niezwykły, Chiny przodują zwłaszcza w innowacjach inżynieryjnych – uważa Han Pengfei. Natomiast USA – w innowacjach opartych na nauce, co opiera się „na długoterminowej akumulacji badań podstawowych oraz gotowości do odważnego myślenia, nawet z ryzykiem popełnienia błędu", szczerze przyznaje Pengfei. „Wymaga odwagi kwestionowania autorytetów, swobody prowadzenia badań i toleruje błędy". W tym kontekście Chiny mają „długą drogę do przebycia". Ale już osiągnęły status światowej potęgi w biomedycynie, biotechnologii i badaniach kwantowych.

Przy okazji najlepsza polska uczelnia – AGH – jest w rankingu z Lejdy na 500. miejscu, a nasze czołowe uniwersytety – w ósmej setce… (AK)

© AN, SHUTTERSTOCK, AARON SCHWARTZ/CNP/BLOOMBERG/GETTY IMAGES, ASGHAR BESHARAT/GETTY IMAGES



eprasa.pl fe4ae05645

# Karol uderza w Donalda



Mimo że królowi brytyjskiemu nie wolno prowadzić polityki, a terminy i tematy podróży zagranicznych ustala rząd – wręczając nawet królowi napisane już teksty wszystkich wystąpień – to **Karol III** w czterodniowej wizycie w USA odniósł sukces osobisty, zebrał pochwały ze wszystkich stron i wypadł świetnie zwłaszcza na tle prezydenta **Donalda Trumpa**. Choć król zgodnie z konstytucją tylko doradza szefowi rządu na cotygodniowych audiencjach, z których nigdy nic nie przedostaje się na zewnątrz, można przypuszczać, że Karol miał wpływ na dobór elementów wystąpienia przed Kongresem. Na przykład troski o klimat, czym się od dawna interesuje i różni od amerykańskiego prezydenta. Po wtóre, Karol jest najlepszym chyba aktorem wśród monarchów i przywódców politycznych. Przez kilkadziesiąt lat, jeszcze kiedy był księciem Walii, prezesował RSC (Królewskiej Kompanii Szekspirowskiej), a w szkole nawet grał Makbeta. Podaje tekst klarownie i subtelnie, w stylu diametralnie różnym od nerwowych, porwanych fraz Donalda.

Ale najważniejsze: w głównych wątkach politycznych Karol przedstawił czytelną krytykę postawy Trumpa: bronił „niezbędnego sojuszu", przypomniał, że w Afganistanie, kiedy po raz pierwszy i jedyny zastosowano art. 5 NATO, sojusznicy walczyli ramię w ramię, bronił podziału władz i podkreślał wagę *checks and balances*, czyli systemu wzajemnego hamowania i równowagi władz. Mimo nowych czasów stare wartości pozostają – podkreślił. Co więcej, stanowczo twierdził, że ta sama jedność, jaką sojusznicy przejawili w wojnach światowych, jest dziś potrzebna w obronie Ukrainy i jej odważnego narodu.

Doszło do zderzenia nie tylko linii politycznej obu rządów, brytyjskiej *soft power* z amerykańską *hard power*, elegancji i subtelności z prostactwem, ale i oczywiście klasy, oprawy wizyty: tzw. starych pieniędzy z zasobami nuworysza. Każdy, kto ma w oczach Windsor, rozumie, że Trump do Białego Domu wprowadził styl świecidełkowy. Czy monarchia brytyjska jest dziś jedynym pozostałym sojusznikom instrumentem dyplomacji z Ameryką? Bo przecież Karol jawnie wytyka Donaldowi poważne naruszenia demokracji, a nawet zahacza o kompromitujące dla amerykańskiego prezydenta dossier Epsteina – i nie doświadcza klasycznej negatywnej reakcji Trumpa. Wyjaśnia to biograf królewski Anthony Seldon. Rzeczywiście – komentuje – królowi udało się zręcznie zadać kilka uderzeń autorytetowi prezydenta. Ten przyjmował krytykę z uśmiechem, bo nie rozumiał jej subtelności.

MAREK OSTROWSKI

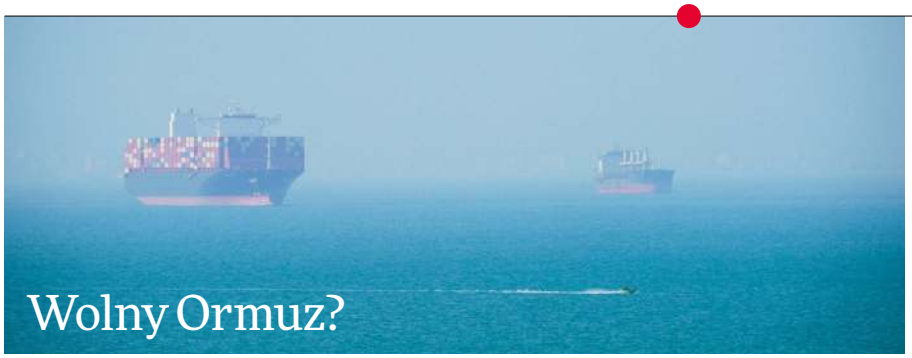

# Wolny Ormuz?

W tym tygodniu Amerykanie mieli zacząć „przeprowadzać" (ang. *to guide*) jednostki handlowe przez cieśninę Ormuz w ramach „Projektu Wolność". Prezydent Donald Trump nazywa to akcją humanitarną – pomocą dla ponad 20 tys. marynarzy na 900 statkach, które od dwóch miesięcy nie mogą wypłynąć z Zatoki Perskiej, co powoduje zwyżkę światowych cen ropy naftowej, gazu skroplonego LNG oraz nawozów sztucznych. Waszyngton unika słowa „eskorta", choć w akcji mają brać udział amerykańskie niszczyciele i lotnictwo, ale Irańczycy już uznali to za prowokację i zagrozili kolejnymi atakami w Ormuzie. Jednocześnie nie zrywają rozmów z Waszyngtonem, które toczą się – na razie bezowocnie – od zawieszenia broni 7 kwietnia.

Ormuz był dotychczas podwójnie zablokowany. Najpierw ruch w cieśninie, przez którą w czasach pokoju przepływa co piąta baryłka transportowanej na świecie ropy, zastraszyli Irańczycy – w odwecie za ame rykańsko-izraelską agresję rozpoczętą 28 lutego. Kilka statków ostrzelali, kilka zajęli. Ruch ustał również dlatego, że towarzystwa ubezpieczające statki wywindowały ceny polis. Przez Ormuz mogły przepływać tylko jednostki „przyjazne Iranowi", czyli głównie te przewożące irańską ropę do Chin. Trump zapowiedział, że w takim razie żaden statek nie przepłynie przez Ormuz, licząc na to, że Iran – pozbawiony źródeł dochodu, z zapełnionymi „pod korek" magazynami ropy – ugnie się i zawrze z USA coś w rodzaju porozumienia pokojowego, obejmującego nie tylko Ormuz, ale też m.in. irańskie programy: nuklearny i balistyczny. Najlepiej jeszcze przed wizytą prezydenta USA w Chinach (14–15 maja).

Gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, negocjacje, w których pośredniczy Pakistan, wciąż trwały. Amerykanie – poza odblokowaniem cieśniny – domagają się zawieszenia irańskiego programu nuklearnego na 20 lat i przekazania przez Iran wzbogaconego już uranu za granicę, najpewniej do Rosji. W odpowiedzi Iran próbuje rozdzielić sprawę Ormuzu, którą chce rozstrzygnąć najpierw, a potem dopiero rozmawiać o sprawach nuklearnych. W rozmowy włączyli się ostatnio Niemcy, którzy również domagają się odblokowania cieśniny. Najwyraźniej był to gest w stronę Trumpa, który skrytykował Berlin za brak pomocy w wojnie z Iranem, a po słowach kanclerza Friedricha Merza o tym, że Ameryka została „upokorzona" przez Teheran, zapowiedział wycofanie ok. 5 tys. z ponad 36 tys. amerykańskich żołnierzy stacjonujących w Niemczech.

ŁUKASZ WÓJCIK



eprasa.pl fe4ae05645



Maja Mecan z raperem Bedoesem

# Rak i rap

**Łatwogang zaatakował raka klinicznego, ale postanowił też walczyć z tym społecznym: z obojętnością. Jaki będzie ciąg dalszy akcji?**

KATARZYNA KACZOROWSKA

„Jeśli tak samo chorujesz na raka jak ja, ten utwór jest dla ciebie. Jestem Maja i to jest moja trzecia wznowa i mam powody, żeby ciebie dissować". Tak zaczyna się najsłynniejszy ostatnio polski kawałek, który chorująca na białaczkę 11-letnia Maja Mecan zaśpiewała razem z raperem Bedoesem. „Diss na raka" szybko stał się wiralem, a twórca internetowy Piotr Łatwogang Hancke uruchomił stream w sieci – „Słucham 9 dni dissu na raka, żeby pomóc dzieciom z Fundacji Cancer Fighters". Maja jest podopieczną fundacji. Akcja w mieszkaniu Łatwoganga trwała od 17 do 26 kwietnia do godz. 21.37.

Przez ten czas kawalerkę w Warszawie odwiedzili artyści, sportowcy i celebryci, ale wydarzenie relacjonowane w sieci na YouTube i TikToku (a w pewnym momencie „podbijane" przez tzw. tradycyjne media, jak choćby TVN, RMF FM czy portale internetowe), oglądali też widzowie wszelkich możliwych kanałów – według analityków w szczytowym momencie było to 1,66 mln osób. Nikt nie ma wątpliwości, że wydarzyło się coś wyjątkowego – i w skali oddziaływania, i w skali efektu, czyli zbiórki finansowej.

I tak ruszyła lawina, którą jak na razie można podsumować kwotą ponad 280 mln zł – tyle wpłynęło na konto Fundacji Cancer Fighters do 27 kwietnia. I już w pierwszych dniach po zakończeniu tzw. streamu zorganizowanego przez 23-letniego influencera Łatwoganga wiadomo, że fundacja przeznaczyła 3 675 306 zł na wsparcie dzieci chorych na raka.

### Ocean potrzeb

Czteroletnia Marcelinka Opolska walcząca z rzadką chorobą genetyczną – kwota wsparcia: 26 995 zł. Dwuletni Antoś Rutyna z guzem mózgu, ma za sobą operację i chemioterapię, przed nim kolejne – kwota: 21 733 zł. Kilkumiesięczna Anielka Brzostowska z nowotworem wątroby, dziewczynka czeka na operację – kwota: 24 480 zł. Joasia Sieńkowska od ponad półtora roku walcząca z rozsianym nowotworem, mięsakiem Ewinga – kwota: 65 547 zł. Romek Kościuk, u którego ból nogi okazał się początkiem nowotworu kości, chłopiec jest po operacji – kwota: 67 748 zł. Tych dzieci jest już 54. Z całej Polski. Z dużych miast i niewielkich miejscowości. W wieku od kilku miesięcy do kilkunastu lat. Dla każdego z nich i dla ich rodziców diagnoza oznaczała koniec dotychczasowego życia i wejście w nową, nieznaną wcześniej rzeczywistość, odmierzaną wizytami w szpitalu, leczeniem, kolejnymi rachunkami.

Fundacja Cancer Fighters nie tylko przedstawia na swojej stronie internetowej wszystkie dzieci, którym już pomogła, ale też zapowiada, że w najbliższym czasie poinformuje o liczbie sfinansowanych terapii, zakupionego sprzętu medycznego, klinik

© CANCER FIGHTERS



eprasa.pl fe4ae05645

i oddziałów objętych wsparciem oraz rodzin, które otrzymały pomoc socjalną, bo diagnoza to na ogół długie pobyty w szpitalu, co często wymusza rezygnację z pracy, a później rehabilitacja, która na NFZ kuleje już od lat, a na którą czeka się miesiącami. Wydatków jest morze, potrzeb ocean, a pomoc państwa zawsze ograniczona.

Katarzyna Mecan, mama Mai: – *Dzieciństwo Mai to szpitalne mury. Nikt z nas nie sądził, że będziemy musiały stawać do walki po raz trzeci. Ale nie poddałyśmy się na początku, nie poddajemy się teraz. Dzięki temu Majeczka jest z nami i wierzę, że uda się jej wygrać tę kolejną walkę. O tym są słowa piosenki „Diss na raka". Chcieliśmy, by wszystkie chorujące dzieciaki czy dorośli oglądający teledysk Majeczki czerpali od niej siłę i radość.*

Słowa piosenki napisała Aleksandra Kopyść, na Instagramie występująca jako ciocia Ola, żona Marka Kopyścia, prezesa Fundacji Cancer Fighters, który na raka zachorował, kiedy miał 15 lat. Chłopak z Przytocznej w Lubuskiem, syn nauczycieli, założył fundację, by pomagać innym. On swoją walkę wygrał.

Fundacja, której główne zadania to „finansowanie profilaktyki zdrowotnej, refundacja kosztów leczenia, zakup sprzętu medycznego", działalność zaczęła w 2015 r. Zaczęła jednak od akcji Cancer Fighters w czerwcu 2014 r., akcji, co tu dużo mówić, mało spektakularnej – koszulki, bandany, zbiórki. Pieniądze też pozyskiwała bez spektakularnych sukcesów: na koniec 2018 r. w sprawozdaniu widnieje niecałe 190 tys. zł.

W czerwcu 2018 r. fundacja zorganizowała na stadionie Stilonu w Gorzowie mecz charytatywny dla 14-letniego Aleksa ze Szczecina. Na murawie spotkały się gwiazdy futbolu, boksu i MMA: Artur Szpilka, Jan Błachowicz, Marcin Różalski, Izu Ugonoh, Akop Szostak. Aleks, który z powodu choroby przeszedł amputację nogi, przez boisko szedł o kulach, w koszulce z napisem Cancer Fighters. Mecz był pretekstem do zbiórki na kupno protezy dla chłopca, ale wszyscy zaangażowani w jego organizację podkreślali, że proteza to tylko część wsparcia. Równie ważne, a kto wie, czy nieważniejsze, jest to psychiczne. Aleks zmarł 10 miesięcy po meczu.

### Nie tylko pieniądze

Kamil Stachowicz, koordynator ds. współpracy z organizacjami pacjentów Fundacji DKMS, współpracuje z Fundacją Cancer Fighters od 2025 r. – w ramach projektu Superprezent. Do tej pory obie fundacje zorganizowały razem 70 prezentów dla dzieci leczonych hematologicznie w polskich szpitalach.

Stachowicz uczestniczył w streamie Łatwoganga. Razem z ekipą DKMS pojechał do słynnej kawalerki w koszulce fundacji i ogolił głowę na łyso. I mówi o nieoczywistym efekcie zbiórki. – *50 tysięcy zgłoszeń potencjalnych dawców szpiku do bazy Fundacji DKMS. To naprawdę jest niesamowite i pokazuje, że można też zrobić coś więcej – dać nadzieję chorym na nowotwory krwi na powrót do zdrowia i szansę na drugie życie.*

Stachowicz nie ma osobistej historii związanej z rakiem jak prezes Cancer Fighters. Ale miał 18 lat, kiedy zarejestrował się jako potencjalny dawca szpiku, a 23, kiedy na studiach dołączył do projektu Helpers' Generation, w którym studenci organizują akcje rejestracyjne i edukacyjne na swoich uczelniach. Przez pięć lat był aktywnym wolontariuszem, organizując dni dawcy szpiku w swojej okolicy. A od ośmiu lat pracuje w Fundacji DKMS.

– *Dzisiaj mam 36 lat i właściwie połowa mojego życia związana jest z wolontariatem. W Polsce jest wiele organizacji pożytku publicznego, jest przestrzeń do działania. Tym bardziej że Polacy, jak widać, potrafią się jednoczyć. A ten stream pokazał, że można też dotrzeć do młodych ludzi, działając przede wszystkim w internecie* – mówi Stachowicz.

### Profesjonalizacja spontanu

W poniedziałek po zakończeniu streamu Łatwoganga Marek Kopyść w mediach tradycyjnych i społecznościowych, wyraźnie oszołomiony skalą zbiórki, zapowiedział powołanie do życia rady eksperckiej, która będzie czuwała nad rozdziałem zebranych pieniędzy.

– *To będzie największe wyzwanie, bo teraz wszyscy będą im patrzeć na ręce* – mówi osoba od lat zaangażowana w działania charytatywne na rzecz nieuleczalnie chorych dzieci. Do tej rady Marek Kopyść zaprosił m.in. prof. Krzysztofa Kałwaka, szefa Kliniki Onkologii i Hematologii Dziecięcej „Przylądek Nadziei" Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego we Wrocławiu. Kliniki, gdzie leczony był on. I gdzie od trzech lat leczy się Maja Mecan.

– *Środki będą podzielone na kilka obszarów. Pierwszy to wydatki „tu i teraz", czyli zapewnienie terapii lub brakujących leków dla pacjentów. Tutaj już pierwsza transza została rozdysponowana, ale chcę podkreślić, że każdą prośbę będziemy weryfikować, by uniknąć nadużyć* – mówi prof. Kałwak i dopowiada, że kolejne wydatki to poprawa warunków leczenia, doposażenie w sprzęt czy modernizacja pomieszczeń.

Prof. Kałwak podkreśla od razu, że polska onkologia dziecięca jest na europejskim poziomie i nie mamy się czego wstydzić. – *Marzeniem onkologa dziecięcego w Polsce jest, by to komórki podróżowały, a pacjenci byli leczeni na miejscu, bo z punktu widzenia kosztów i logistyki jest to po prostu lepsze. I ma znaczenie, czy dom pacjenta jest 200, czy 300 km od szpitala, czy 3 tys. km. Liczę, że te najnowsze technologie rozwijane za granicą będą stosowane u nas już w najbliższych latach* – tłumaczy szef Przylądka Nadziei, od razu chwaląc kadrę onkologicznych oddziałów dziecięcych. – *Ale bohaterem ostatnich dni jest dla mnie polskie społeczeństwo, a bohaterami roku – Maja, Bedoes i Łatwogang. Wydarzyło się coś niezwykłego.*

Prof. Kałwak przypomina też, że w tych pierwszych, gorących dniach po zbiórce prezes Cancer Fighters zapowiadał długofalowe inwestycje w onkologię dziecięcą – w perspektywie najbliższej dekady. I od razu dopowiada: – *Żaden kraj, nawet najbogatszy, nie refunduje wszystkiego, zwłaszcza nowych leków. Wtedy trzeba szukać środków na te leki. Robimy to wtedy, kiedy wniosek firmy farmaceutycznej o program lekowy zostanie negatywnie oceniony przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji. Lek nie może być wtedy finansowany przez fundusz medyczny w ramach ratunkowego dostępu do technologii medycznej (RDTL) i konieczna jest zbiórka* – mówi prof. Kałwak.

Łatwogang swój streaming zrobił na raperskich zasadach. Wpłacać mógł każdy, nie zaglądał, gdzie i czy firma płaci podatki. Wśród firm, które przekazały najwyższe kwoty, znalazły się XTB (6,25 mln zł), ZEN.com (5,55 mln zł). I tu słów kilka. W kwietniu Komisja Nadzoru Finansowego wymierzyła spółce XTB karę 20 mln zł, zarzucając jej nieprawidłowości w kontaktach z klientami i błędy w polityce zarządzania konfliktami interesów. W przypadku ZEN.com Prokuratura Regionalna w Warszawie sprawdza, czy są podstawy do wszczęcia śledztwa – według ustaleń tvn24.pl istotną część klientów spółki mogą stanowić nielegalne kasyna działające w Polsce, a ZEN ma funkcjonować jako operator ▶



eprasa.pl fe4ae05645

▶ płatności dla takich podmiotów. Informacja o postępowaniu pojawiła się już po zbiórce Łatwoganga, a spółka w wydanym oświadczeniu podkreśliła, że działa jako regulowana instytucja finansowa na podstawie licencji w kilku jurysdykcjach, w tym w Singapurze.

Spektakularną wpadkę zaliczył Pasibus – w trakcie streamu sieć zaproponowała wsparcie zbiórki kwotą 60 tys. zł w zamian za występ wokalistki na firmowym evencie. Doda, w swoim stylu, skwitowała to krótko: „Nie ma czegoś w zamian. Pomoc nie polega na w zamian". Pasibus ostatecznie przekazał 100 tys. zł, ale rysa na wizerunku pozostała.

### Politycy źle widziani

Bana, czyli zakaz wejścia do akcji, miała tylko jedna grupa zawodowa – politycy. Nie przeszkadzało to jednak prawej stronie sceny politycznej wykorzystać zbiórki na rzecz Cancer Fighters do uderzenia w Jerzego Owsiaka i jego Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Bo przecież można zebrać pieniądze „bez etatów, bilbordów, spółek Skarbu Państwa". Wystarczyły jednak trzy dni, by w sieci pojawiły się wyliczenia, że Cancer Fighters też część zebranych funduszy (co wynika ze sprawozdań zamieszczonych na stronie fundacji) przeznacza na obsługę swojego funkcjonowania. I nie ma się czemu dziwić.

Wiceprezes stowarzyszenia zaangażowanego we wsparcie osób z niepełnosprawnością: – *Przejrzałam listę darczyńców tej zbiórki. Cieszę się, że tyle dali, dodam jednak, że jedna z firm na tej liście w 2025 r. przekazała na konto jednej z fundacji onkologicznych 200 tys. zł. Ale wtedy nie było streamu, podczas którego przekazała Cancer Fighters kilka razy więcej* – mówi osoba zaangażowana w działalność na rzecz pacjentów onkologicznych. I od razu dodaje, że dla wielu fundacji kluczowe w budżecie jest wsparcie z 1,5 proc. odpisu od podatku, bo jest pewniejsze niż zbiórki, które mogą mieć różny zasięg i mizerne efekty. – *Pamiętajmy, że praktycznie przy każdej klinice onkologicznej działa fundacja, która wspiera oddziały i chorych.*

Dr Anna Apel, prezes zarządu Fundacji Na Ratunek Dzieciom z Chorobą Nowotworową, pytana o fenomen zbiórki na rzecz Cancer Fighters mówi: – *Kluczowe pytanie brzmi: co jest dziś ważniejsze dla dysponentów tych środków – inwestowanie w przyszłość czy zabezpieczenie bieżących potrzeb, które pozwalają dziecku i jego rodzinie funkcjonować tu i teraz?* I wyjaśnia, że każda z tych odpowiedzi prowadzi do innych decyzji i dopiero w tym kontekście można ocenić, jak środki zostały wykorzystane, choć zebrana kwota jest bez wątpienia oszałamiająca.

Fundacja Na Ratunek Dzieciom z Chorobą Nowotworową od lat finansuje m.in. badania genetyczne prowadzone przez prof. Wojciecha Młynarskiego, które pokazują, że ok. 10 proc. chorób nowotworowych u dzieci ma podłoże wrodzone, a w niektórych typach predyspozycja sięga nawet 60–70 proc.

– *Ich finansowanie pozwoli nam zrobić kolejny krok – rozwijać terapie spersonalizowane dla dzieci, ale także objąć specjalistyczną opieką całe rodziny, monitorując ryzyko wystąpienia choroby* – mówi Apel, która sama przeszła chorobę nowotworową w dzieciństwie. W tamtym czasie większość dzieci z jej diagnozą nowotworu nie przeżywała. Dziś wskaźnik wyleczalności w Polsce sięga średnio 85–90 proc., ale nadal są typy nowotworów, gdzie szansa na wyleczenie stanowi jedynie 40–45 proc. Dlatego ciągle jest i będzie co robić na ich rzecz i kogo wspierać.

KATARZYNA KACZOROWSKA

# Wymieszani,

## Rozmowa z Kubą Wątorem o różnicach między światem tradycyjnych mediów a światem internetu, jak na siebie wpływają i czy influencerzy zastąpią wkrótce celebrytów.

JOANNA PODGÓRSKA: **– Wydawało się, że influencerzy i gwiazdy mainstreamu, czyli telewizji, filmu, reklamy, to światy równoległe. W czasie „Dissu na raka" u Łatwoganga bańki pękły, światy się wymieszały.**

KUBA WĄTOR: – Po raz pierwszy chyba tak wyraźnie. Do tej pory rzadko się przenikały. I nagle okazało się, że influencerzy i gwiazdy mogą działać razem we wspólnej sprawie, nic szczególnego ich nie dzieli. Ja po tej akcji doceniłem gwiazdy. Podczas spotkania mogliśmy porównać oba światy i ten gwiazd wypadł bardzo dobrze na tle świata influencerów. Oczywiście wymyślili tę akcję ludzie internetu i to celebryci do nich pielgrzymowali, co pokazuje, kto dziś rządzi, ale na streamie to gwiazdy miały więcej do zaoferowania. Ten zaśpiewał, tamta zatańczyła, Małgorzata Kożuchowska odegrała słynną scenę śmierci w kartonach, Borys Szyc animował, a jak przychodzili influencerzy, to głównie siedzieli i gadali do kamery, czasem tylko jakieś challenge'e wymyślali.

**Wśród starszych pokoleń pewnie do niedawna nikt nie wiedział o istnieniu Łatwoganga. On z kolei nie wiedział o istnieniu Moniki Olejnik. Myślisz, że to moment przełomowy? Gwiazda TVN w kolejce do influencera.**

W pewnym sensie tak, bo w tej akcji mainstream był jednak dodatkiem. A internet pokazał, że może organizować wielkie akcje, tworzyć własne światy, na własnych zasadach. Celebryci brali udział w challenge'ach, a jak któryś zaczynał przynudzać, komentariat na czacie żądał: zmiana, panu już dziękujemy.

**Nasi czytelnicy wiedzą zapewne, kim jest Monika Olejnik. Ale kim jest Łatwogang?**

To 23-latek, który zrobił karierę na TikToku dzięki challenge'om właśnie. To rodzaj zakładu, że się coś zrobi w zamian za jakąś liczbę lajków czy za wpłatę. Łatwogang np. podjął wyzwanie, że zrobi tyle kroków, ile lajków dostanie pod postem. Dostał bodaj 350 tys., czyli tyle co z Warszawy do Krakowa. I poszedł tam na piechotę. Za inną liczbę polubień pojechał rowerem do Afryki. Innym razem spotkał Eda Sheerana i spytał, za ile lajków by z nim zaśpiewał. Sheeran, nie wiedząc, jaka siła tkwi w polskim internecie, powiedział, że za milion. I ten milion przyszedł bardzo szybko. Na takich wyzwaniach Łatwo zbudował sobie audytorium. Ma na TikToku 3 mln obserwujących. A ostatni stream przez dziewięć dni obejrzano ponad 100 mln razy. Padł rekord świata w zbiórce charytatywnej podczas jednego streamu. Poprzedni należał do Mr. Beasta, największego youtubera na świecie, i wynosił 12 mln dol.

**Piszesz, że jeszcze niedawno dorośli patrzyli na świat influencerów jako coś dla dzieci. Głupoty z internetu, które przejdą…**

Nie przeszły.

**W którym momencie coś z tamtego świata po raz pierwszy przebiło się do mainstreamu?**

To chyba był prank Sylwestra Wardęgi z psem przebranym za pająka. Wcześniej byli blogerzy i blogerki: kulinarni,



eprasa.pl fe4ae05645

# niewstrząśnięci

technologiczni, modowi. Czasem wspominano o nich w mainstreamie, niektórzy mieli jakieś rubryczki w gazetach. Ale duży rozgłos jako pierwszy zyskał Wardęga w 2014 r. 100 mln wyświetleń psa pająka zrobiło wrażenie. I to nie tylko w Polsce.

**A kolejny moment?**

Może historia Marty Linkiewicz, która w 2015 r. umieściła w sieci relację o tym, jak w autokarze uprawiała seks z czarnoskórymi raperami. Jeden z dziennikarzy pracujących wówczas




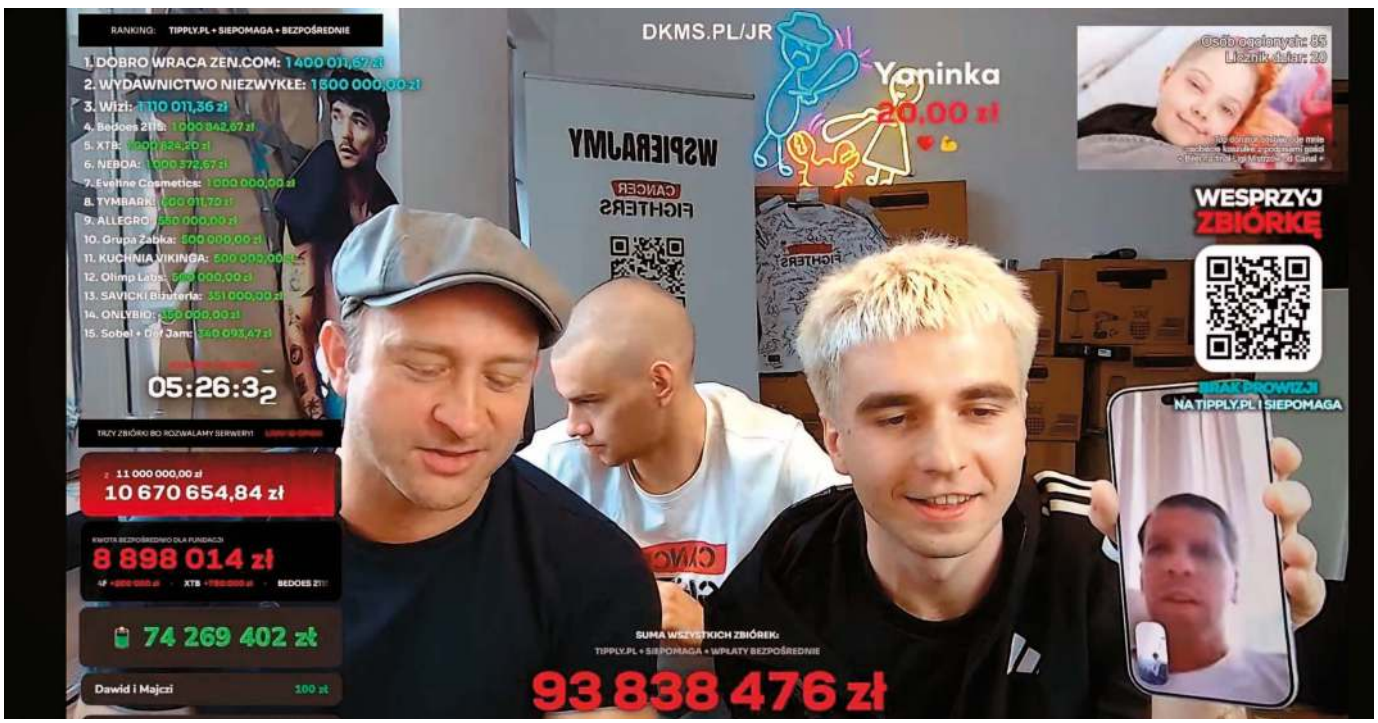


**Podczas streamu u Łatwoganga pojawiły się też gwiazdy mainstreamu: między innymi Borys Szyc i Monika Olejnik**

dla Pudelka, z którym rozmawiałem podczas pracy nad książką „Influenza", mówił, że byli już znudzeni światem celebrytów; że to jałowe pisać w kółko to samo o tych samych osobach. Przeprowadził wywiad z Linkiewicz. W ten sposób dziennikarze mediów plotkarskich zrozumieli, że w świecie influencerów jest się czym pożywić. W 2015 r. opowiadanie o seksie, i to jeszcze z czarnoskórymi, było przełamaniem tabu.

**Następną barierę między światami przebiła Ekipa Friza?**

Tak. I to nie tylko dlatego, że ekipa influencerów, mieszkając przez trzy lata w jednym domu, zyskała ogromne zasięgi, i że tego w polskim internecie wcześniej nie było. Reklamowali limitowaną serię lodów, które zrobiły wśród dzieciaków furorę. Mówiono, że nawet papierki po nich sprzedawano na Allegro za dziesiątki czy nawet setki tysięcy złotych. To pewnie był chwyt marketingowy. Ale faktem jest, że dzięki ekipie Friza firma Koral w kilka tygodni osiągnęła najlepszy wynik sprzedażowy w swojej historii. Od kilku lat Ekipa jest nawet notowana na giełdzie. To pokazało siłę finansową i potencjał biznesowy branży influencerskiej. Wszyscy otworzyli oczy ze zdziwienia. Jakiś małolat z internetu może mieć taki wpływ na popyt?! Wcześniej przecież reklamowali te lody celebryci i takiego efektu nie było. Kolejny przełomowy moment, to według mnie Pandoragate, afera z rzekomą pedofilią w tle, która pokazała ciemną stronę internetu.

**A mimo to tabuny nastolatków nadal marzą o byciu influencerem, bo wydaje się, że to ogromne pieniądze na wyciągnięcie ręki.**

I to mimo że kariera influencera to efemeryda. Zazwyczaj trwa krócej niż kariera piłkarza czy nawet modelki. Tylko najlepsi potrafią utrzymać się dłużej. Jeśli nie masz wiele do zaoferowania – a większość influencerów nie ma – szybko się ludziom nudzą. Jeśli nie robią dram czy afer, przestają budzić emocje. Jeśli chcą przetrwać, muszą wymyślić siebie, tak jak np. Fagata. Nie popieram tego, co robi, ale to świetny przykład. Jej planem na życie było zostanie dziewczyną piłkarza, influencera lub gwiazdą porno. No i udało jej się złapać influencera Stuarta, który potem został głównym negatywnym bohaterem Pandory. Na tym się wybiła. Teraz rozbiera się na OnlyFans, pozuje na zimną sukę. Rapuje: „Ja jestem sexy cipka spod Konina". To jest jej najsłynniejszy cytat. Dość dobrze opisuje jej twórczość, ale na powierzchni nadal się utrzymuje. Drugim sposobem, żeby się utrzymać, jest ▶

© YOUTUBE PIOTR GARKOWSKI



eprasa.pl fe4ae05645

▶ zrobienie z tego biznesu, tak jak Friz. Ma 30 lat, ale dla środowiska jest nestorem. Wychował już dwa czy trzy pokolenia influencerów. W sensie dosłownym. Organizuje castingi, robi szkolenia.

**Strasznie szybko się wszystko w tym świecie dzieje.**

Bo ten świat działa 24 godziny na dobę, przez 7 dni w tygodniu, 365 dni w roku. Nie ma tak, że coś się wydarzyło w sobotę, a ja odpowiem w poniedziałek. Nie ma dni wolnych od bycia online. YouTube pełen jest filmików o influencerach, których kariery nagle wystrzeliły i którzy równie nagle zniknęli. To chyba największa pułapka tego świata.

**A czy to nie tak, że ta publiczność nie wybacza błędów? Julia Żugaj miała tabuny nastoletnich fanek, tzw. żugajek, które śledziły np. jej zaręczyny. Kiedy rozstała się z narzeczonym, fanki się odwróciły. To nie pasowało do pastelowego wizerunku.**

Publiczność wybacza, ale nie zapomina. Kiedy Fagata np. wrzuca post o tym, że idzie z babcią święcić koszyczek, zaraz pojawiają się dziesiątki komentarzy, że wykorzystała Stuarta dla zasięgów i pieniędzy. Internauci są bardzo czujni. Każda rzecz, która jest według nich niezgodna z internetową moralnością czy po prostu niebezpieczna, np. nagrywanie w trakcie jazdy samochodem, nie przejdzie w polskim internecie. Widzowie będą cisnąć, apelować o cofnięcie lajków. Można powiedzieć, że są strażnikami influencerów. A oni muszą słuchać odbiorców, bo tylko dzięki nim firmy płacą im za reklamę.

**Influencerzy to coś w rodzaju jednoosobowych słupów reklamowych. Ktoś to reguluje, kontroluje?**

Od jesieni 2022 r. obowiązują rekomendacje dla influencerów stworzone przez UOKiK z pomocą branży influencer marketingu. Od tego czasu twórcy poprawnie oznaczają reklamy, pod tym kątem szybko nauczyli się etyki.

**Nie przestaje mnie zdumiewać, jak kretyńskie rzeczy potrafią robić gigantyczne zasięgi. Ktoś próbuje założyć sobie prezerwatywę na głowę. Fagata szeleści papierkami, dyszy, mlaska i ma 1,7 mln obserwujących na Instagramie. Ty to rozumiesz?**

Tego ostatniego akurat nie. Ale rozumiem, że ludzie mają swoje dziwactwa czy fetysze. Chodzi o to, żeby znaleźć np. dziwny fetysz i być w tym pionierem. Niewiele jest mnie już w stanie zdziwić w internecie. To miejsce, w którym można zobaczyć wszystko, czego nie zobaczy się w telewizji. I często są to rzeczy związane z przekraczaniem granic. Podczas streamu Łatwoganga jakiś chłopak wszedł po balkonach na trzecie piętro. Widać było różnicę reakcji ludzi wychowanych przez tradycyjne media i ludzi internetu. Ci pierwsi, zszokowani, chcieli robić raban i wzywać ochronę, a Bedoes z Łatwo otworzyli mu drzwi i przybili piątkę. Inna jest granica tego, co wolno, a czego nie.

**Wejście do świata celebrytów prowadzi przez telewizję, świat influencerów – jak piszesz – bariery nie ma. Ale czy nie zaczyna nią być tłok na platformach?**

Tak, jest tam coraz ciaśniej i coraz trudniej zaistnieć. Ten świat funkcjonuje już ponad 10 lat i trzeba naprawdę się wysilić, żeby wymyślić coś nowego. Dlatego ludzie idą w rzeczy skrajne i ekstremalne. Ale bariera wejścia jest nadal niska w tym sensie, że wystarczy mieć internet, kamerkę czy smartfon i można zaczynać. To, co zdarzyło się w branży influencerskiej, porównuję do historii hiphopowców przed 30 laty. Gdy rodziły się rap i hip-hop, wszyscy myśleli, że to muzyka gówniarzy; przeklinają i kto w ogóle będzie chciał tego słuchać. Mainstream ich ignorował. A oni potrzebowali tylko mikrofonu, magnetofonu czy komputera, żeby wypłynąć. Influencerzy też zbudowali swój świat sami, ustanowili w nim własne zasady i nauczyli się na tym zarabiać. Tworzą swoje firmy, swoje agencje influencerskie, prowadzą życie równoległe do mainstreamu. Telewizja nie jest dla nich ani trampoliną, ani konkurencją.

**W efekcie młodsze i starsze pokolenia żyją w innych światach.**

Myślę, że to się zaczęło w drugiej dekadzie XXI w. Silny rozwój technologii, szczególnie smartfonów, wpłynął na to, że młode pokolenia dostały do ręki własny środek przekazu; niezależny od dorosłych. Rozdźwięk nastąpił, gdy nie byli już skazani na oglądanie telewizji. Mają swojego YouTube czy TikToka. Weszli w ten świat, bo jest wolny i nikt im nie mówi, co mają robić. I tak w komunikacji międzypokoleniowej zrobiła się dziura. Nawet ich języki zaczynają się coraz bardziej różnić.

**Edward Miszczak powiedział w jednym z wywiadów, że „Taniec z gwiazdami" to jeden z niewielu programów, które łączą pokolenia, bo babcia może wytłumaczyć wnuczce, kim jest Majka Jeżowska, a wnuczka babci, kim jest Bagi czy Natsu. Influencerki biorą udział m.in. w TVN-owskim programie „Królowa przetrwania". Kto kogo bardziej potrzebuje?**

Telewizja influencerów, bo potrzebuje nowych twarzy i chce się otwierać na te utracone pokolenia, które utknęły w komórkach. Dzięki nim „TzG" stał się już po części zjawiskiem internetowym. Gdy rozmawiam z influencerami, nie słyszę od nich o jakichś wielkich ambicjach, żeby trafić do telewizji. Chyba jedynie Natsu mówiła, że „TzG" był jej marzeniem, bo oglądała go jako dziecko z rodziną.

**Ale niektórzy youtuberzy żerują na telewizji. Jest parę kanałów, których autorzy oglądają stare odcinki „Kuchennych rewolucji" i komentują. Bynajmniej nie fachowo, ale w stylu: ona zaraz pewnie rzuci talerzem. A ja znów nie rozumiem, jak ktoś może chcieć oglądać, jak ktoś ogląda „Kuchenne rewolucje".**

Jak pierwszy raz to zobaczyłem, odjęło mi mowę. Ale takich kanałów jest więcej. Influencerzy nagrywają oglądanie paradokumentów czy np. „Sędzi Anny Marii Wesołowskiej" i mają nawet niezłe zasięgi. Może to kwestia samotności. Wolimy coś oglądać z kimś niż samemu. A jak stream jest na żywo, można nawet pogadać z tym gościem w okienku.



**Kuba Wątor**, dziennikarz związany kiedyś m.in. z „Gazetą Wyborczą", Wirtualną Polską, redakcją goniec.pl. Autor książki „Influenza". Obecnie działa wyłącznie na platformach internetowych, prowadzi na YouTube kanał pod nazwą KUBAWATOR.

**Mam wrażenie, że w internecie pojawiają się jakby lustrzane odbicia postaci z mainstreamu. Łatwoganga od razu okrzyknięto Owsiakiem 3.0. Magdę Gessler zestawia się z Książulem, który testuje już nie tylko kebaby, ale i restauracje. Tylko że to odbicie w krzywym zwierciadle. On może krytykować potrawy czy lokale Magdy Gessler. Sam jest na krytykę odporny, bo gdy mu ktoś zarzuci np. ignorancję, odpowie: ja się nie znam, prosty chłopak z osiedla jestem, mówię tylko, czy mi coś smakuje. Czy to rodzaj rywalizacji?**

Może podświadomej. Książulo nie chce być lepszy kulinarnie od Magdy Gessler, bo nie ma

© ANNA AMAROWICZ



eprasa.pl fe4ae05645

na to szans. Internet generalnie nie ściga się z mainstreamem. Influencerzy traktują go jak swoich rodziców. Fajnie zatańczyć z gwiazdami czy zaprosić na streama Borysa Szyca. Ale to dla internautów wciąż relacja – coś jak nasi starzy albo ich znajomi. A influencerów traktują jak kumpli z sąsiedztwa. Gwiazdy czy celebryci są dla nich na co dzień niedostępni. Budują dystans, można mieć obawę, czy podejść do nich na ulicy, bo może strzelą focha. Z influencerami tego dystansu nie ma. A to, co pokazują, to nie wizerunek czy kreacja, ale prawdziwe życie zwykłych ludzi.

**Ale inspiracją znów jest telewizja. Jako pierwszy „prawdziwe życie zwykłych ludzi" pokazał „Big Brother". A program „Warsaw Shore", którego uczestnicy upijali się i uprawiali seks, można uznać za matkę chrzestną patostreamów.**

„Big Brother" to 2001 r., gdy jeszcze nie było YouTube'a czy Facebooka, o TikToku nie wspominając. Ten kierunek był pewnie nieunikniony. Telewizja kontrolowała i dawkowała to „normalne życie" czy patologię; obniżała poprzeczkę, a influencerzy ją strącili. Nawiasem mówiąc, znam króla polskich patostreamów, Daniela Magicala, i jestem pewny, że nie oglądał „Warsaw Shore". Po prostu lubił sobie piwko walnąć i zobaczył, że to się ludziom podoba.

**Czy po dwóch latach od napisania książki podtrzymujesz tezę, że rynek rozrywki zdominują influencerzy, wypierając z niego celebrytów?**

Świat celebrytów, w znaczeniu osób znanych z tego, że są znane, będzie w tradycyjnych mediach zanikać. Część z nich już dziś stara się zaistnieć jako influencerzy, ale raczej mało wartościowi. Świat gwiazd, profesjonalistów, którzy coś potrafią, oczywiście nie zniknie. Pewnie będzie wchodzić w coraz głębszą komitywę z influencerami. Choć to też oczywiście nie jest świat jednorodny. Z jednej strony mamy internetowych twórców, którzy publikują wartościowe treści, z drugiej – internetowych patusów, którzy świecą ciałem na Instagramie, robią rzeczy głupawe, wulgarne, epatują swoim życiem prywatnym. Ci zaspokajają te potrzeby widowni, które wcześniej zaspokajali ci znani z tego, że są znani.

**A gdzie jest dzisiaj mainstream?**

Jeśli chodzi o zasięgi, na pewno na platformach internetowych. Pieniądze? Trudno powiedzieć, ale tu też internet zaczyna dominować. Natomiast jeśli chodzi o autorytet – ciągle tradycyjne media. Podczas streamu Łatwoganga widać było, że telewizyjne apele o wpłaty miały ogromną siłę rażenia. Gdy trzeba dotrzeć do prezydenta – tradycyjne media nadal mają przewagę. I myślę, że pozycja tradycyjnych mediów jako autorytetu jeszcze długo nie będzie zachwiana. Ostatnie dni pokazały, że te światy mogą się przenikać i współpracować. Pod warunkiem że media nie będą traktować ludzi internetu protekcjonalnie i z pobłażaniem. Oni są na protekcjonalizm uczuleni, a już szczególnie ze strony systemu czy instytucji, a redakcje postrzegane są właśnie jako systemowe instytucje.

**Piszesz, że świat influencerów żyje kreowanymi awanturami i aferami. Nie obawiasz się, że wokół akcji Łatwoganga zaraz coś wybuchnie?**

Jeżeli Fundacja Cancer Fighters dobrze wywiąże się z zadania, to nie. A miniaferki rozkręcały się już podczas samego streamu. A to wylał się hejt na Dorotę Szelągowską, że zamiast wpłacić, zaproponowała Łatwemu remont mieszkania, a to że firma Pasibus obiecała sporą kwotę, ale pod warunkiem że Doda zagra dla nich koncert. Trzeba było wyprosić niektóre influencerki, które przyjechały wyraźnie się polansować. Oberwała Lexy Chaplin, bo obiecała, że przy 142 mln zł wpłat ogoli głowę i nie ogoliła. Zwykłe internetowe dramy; nieodłączny element tego świata.

**Maciej Dębski z fundacji Dbam o Mój Zasięg wyraził jeszcze inną obawę; że mechanizm takiej zbiórki na streamie – donejty, ranking wpłacających, dopamina sprzężona z kwotą, parasocjalna więź z idolem – jest neurologicznie identyczny z patostreamem. I dziecko, które nauczyło się, że donejt to uznanie idola, w tym samym odruchu wpłaci patostreamerowi. Jeden mechanizm, ale treść – wymienna.**

To opis tego, jak działają internetowe streamy, a działają od kilkunastu lat. Tak było i tak pewnie będzie. Nie widzę miejsca na obawy. Nie wierzę, że zwykłe streamy czy patostreamy osiągną taką skalę jak stream Łatwoganga. On pobił wszystkie rekordy. Żaden stream polskiego twórcy internetowego nie miał tylu obserwujących na żywo naraz. W pewnym momencie to było 1,6 mln osób. Nikt w internecie nawet nie wyobrażał sobie tak ogromnych liczb.

**Skąd tak gigantyczny sukces?**

Jest kilka składowych. Po pierwsze, influencer, który ma bardzo duże zasięgi i znany jest z bicia rekordów. Po drugie, Bedoes czyli bardzo popularny raper. Po trzecie, szczytna idea – chore dzieci zawsze ludzi poruszają. To był punkt wyjścia. Potem zaczęły pojawiać się kolejne postaci. Internet działa tak, że im więcej znanych, zasięgowych osób na ciebie spojrzy, tym więcej kolejnych spojrzeń przyciągają. Gdy na Instagramie zaobserwuje mnie gwiazda, to zyskuję więcej obserwujących, bo algorytmy mnie podbijają. Tu to zadziałało podobnie. Pojawiały się kolejne gwiazdy, ludzie robili szoty i tak to się niosło. Potem dołączały gwiazdy mainstreamu i przyciągały za sobą swoich fanów. W pewnym momencie zadziałał efekt kuli śnieżnej. Wszyscy tam są, to ja też. To był pokaz siły internetu. A zaczęło się od jednej kamerki i charyzmatycznego chłopaka.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

GALERIA POLITYKI



SYLWIA MARKIETA



eprasa.pl fe4ae05645




ILUSTRACJA **MAX SKORWIDER**

# Cisza między burzami

**Wielka rozgrywka w PiS między frakcją Mateusza Morawieckiego a jego przeciwnikami nie rozstrzygnęła się. Obie strony szykują się do kolejnej odsłony konfliktu, który jest nieuchronny, zwłaszcza jeśli partia nadal będzie dołować w sondażach.**

**WOJCIECH SZACKI**

Natłok wydarzeń w PiS w kwietniu – pohukiwania frakcji, utworzenie stowarzyszenia Rozwój Plus przez Mateusza Morawieckiego, próba jego utrącenia przez Jarosława Kaczyńskiego, siedmiogodzinna kolacja obu panów u Adama Bielana, porozumienie mające uspokoić sytuację – może zaciemniać obraz i sprawić, że stracimy z oczu proces, którego te wydarzenia są częścią. To proces ewolucji partii w stronę rodzimej wersji MAGA – coraz bardziej antyeuropejskiej, nacjonalistycznej, jaskiniowo konserwatywnej.

Poszczególne wydarzenia mogą ten proces hamować lub przyspieszać; mogą konserwować na jakiś czas obecny układ bądź prowadzić do eskalacji konfliktu.

Teraz – tekst powstaje tuż przed majówką – mamy w PiS ciszę. Ale niezależnie od tego, ile padnie zapewnień o jedności i współpracy oraz ile herbaty wypiją liderzy na pojednawczych kolacjach, proces będzie postępował. Jego elementem było wystawienie Karola Nawrockiego jako kandydata na prezydenta oraz pokazanie Przemysława Czarnka – który mówi o sobie, że jest narodowcem, spadkobiercą ideowym endecji – jako kandydata na szefa rządu.

Proces ten próbuje zatrzymać Morawiecki – czy to z powodów ideowych, czy po prostu polityczno-osobistych. Wie, że dla niego i dla jego frakcji w takim nowym PiS miejsca zabraknie. Dlatego ludzie byłego premiera mówią o postępującej „suwpolizacji PiS", czyli przejmowaniu kontroli nad strategią i przekazem partii przez byłych ziobrystów.



eprasa.pl fe4ae05645

Gdyby sytuację w PiS porównać do gry planszowej, to do końca rozgrywki jest jeszcze daleko. Obserwujemy wciąż rundy wstępne, gdy przede wszystkim gromadzi się zasoby, które będą potrzebne w kluczowych momentach, jak już będzie można wprost powiedzieć, że chodzi o władzę nad PiS. Jak teraz wygląda sytuacja na planszy? Partyjne szyki są rozciągnięte jak nigdy.

### Pretendent Morawiecki

Działalność byłego premiera w zasadzie od początku tej kadencji Sejmu to próba wybicia się na niezależność. Morawiecki czyni to na kilka sposobów.

Po pierwsze, jest hiperaktywny. Wiece, debaty z politykami z innych partii, spoty, wywiady, rolki w socialach, artykuły; wszędzie go pełno. Nie dał się zepchnąć do roli has-beena, weterana, o którym można rutynowo wspomnieć na jakimś kongresie, ale nikt go zbyt serio nie traktuje. Krótko mówiąc, Morawiecki nie jest Beatą Szydło. A jego aktywność to także budowanie własnych kanałów komunikacyjnych z wyborcami.

Po drugie, mówi innym językiem niż pisowski mainstream; a jeśli tym samym, to przynajmniej z silnym akcentem. Jeśli komunikat PiS brzmi: „Unia jest zła, ale lepiej w niej mimo wszystko zostać" (Czarnek powiedział ostatnio: „To my robimy łaskę, że jesteśmy w Unii"), to Morawiecki mówi: „Musimy zostać w Unii, choć ma ona wady i trzeba ją zmienić". Z daleka i dla wyborców bliższych rządowi to nie jest może wielka różnica, ale dla prawicy rozróżnienie jest czytelne. Morawiecki nieustannie i wręcz do znudzenia przypomina również, że trzeba walczyć o wyborców centrowych, bo bez nich nie ma powrotu do władzy. I znów – nieważne, że były premier nie ma klucza do takich wyborców, chodzi o to, że szuka sposobu, żeby się odróżnić od reszty partii.

Po trzecie, daje jasne sygnały, że Kaczyński nie jest już jego bezdyskusyjnym zwierzchnikiem, lecz kimś, z kim można negocjować jak równy z równym, a czasem po prostu ignorować jego polecenia. Jedna czy druga taka sytuacja mogła być przypadkiem, ale ich seria to już taktyka. Założenie Rozwoju Plus wbrew jasnemu stanowisku prezesa to wisienka na pieczonym od dawna torcie.

Po czwarte, Morawiecki gromadzi wokół siebie ludzi. Na liście członków jego stowarzyszenia jest prawie 40 posłów i europosłów PiS. Większość z nich doskonale wiedziała, że przystąpienie do tego grona to ryzyko wykluczenia z partii.

Co istotne, Morawiecki sięgnął nie tylko po swych najbliższych współpracowników, których wciągał do rządu na stanowiska wiceministrów i ministrów: Janusza Cieszyńskiego, Pawła Jabłońskiego, Marcina Horałę, Krzysztofa Szczuckiego, Olgę Semeniuk-Patkowską, Michała Dworczyka czy Piotra Müllera. Udało mu się także przyciągnąć Pawła Rychlika, Annę Baluch czy Zbigniewa Chmielowca i grupę innych, równie nieznanych ogólnopolsko polityków.

Obrazek z terenu, o którym opowiada jeden z posłów niechętnych ekspremierowi: – *Ze dwa miesiące temu Morawiecki przyjechał do nas do okręgu na spotkanie z wyborcami. Normalnie, gdy odwiedza nas któryś z partyjnych vipów, zjeżdżają się wszyscy posłowie, senatorowie i co ważniejsi samorządowcy z okolicy. A na tym wiecu był Morawiecki i jeden poseł, który teraz jest w stowarzyszeniu Rozwój Plus. Na poziomie lokalnym wszyscy czujemy, o co chodzi i do czego to prowadzi*.

Prawdopodobnie wyglądało to tak, że Morawiecki lub jego emisariusze miesiącami zbierali informacje na temat lokalnych układów w PiS i wyszukiwali posłów, którzy są w konflikcie z lokalnymi władzami partii, czują się odsunięci, niepokoją się o reelekcję, nie mają dostępu do prezesa. I zaprosili ich do współtworzenia frakcji. Grzegorz Lorek z Piotrkowa Trybunalskiego jest skłócony z Antonim Macierewiczem, Krzysztof Lipiec w woj. świętokrzyskim przegrał wojnę z Anną Krupką, Anna Baluch z okręgu lubelskiego weszła do Sejmu już w trakcie kadencji itd., itd.

Podobnie robił Zbigniew Ziobro kilkanaście lat temu, jednak na mniejszą skalę; inne rozłamy w PiS – Polska Plus, PJN czy Prawica RP – nie szły aż tak daleko w głąb pisowskiej tkanki.

Werbując ludzi, Morawiecki chce urosnąć na tyle, by nie dało się go z PiS usunąć bez wielkiej szkody dla całego ugrupowania. A w dalszej perspektywie – zdobyć władzę nad partią.

Popularna w PiS plotka głosi, że był gotowy do ofensywy po wyborach prezydenckich, ale wówczas się cofnął, bo Nawrocki niespodziewanie wygrał. Teraz – jak twierdzi jeden z członków Rozwoju Plus – już nie można czekać. – *Ja nie akceptuję tego, co robi poseł Dariusz Matecki, który wrzuca zdjęcia przypadkowych ludzi z polskich ulic, żeby straszyć zalewem migrantów, nie chcę, żeby Jacek Kurski z Jackiem Sasinem współdecydowali o strategii ugrupowania. Musimy zawalczyć o władzę w partii, a do tego musimy mieć liczną reprezentację w przyszłym Sejmie, w komitecie politycznym, we władzach okręgów. A w tej kadencji jesteśmy konsekwentnie marginalizowani* – mówi POLITYCE.

Otoczenie Morawieckiego nie jest zresztą jednorodne. Słyszymy, że najbardziej skłonni do radykalnych ruchów – łącznie z secesją – są europosłowie. To zresztą logiczne, bo ich mandat daje im niezależność finansową i polityczną aż do 2029 r.

Sam Morawiecki nie chce wychodzić z PiS, ale liczy się z tym, że jego działania doprowadzą do takiego efektu. Zakładając Rozwój Plus, podjął świadomie ryzyko i tę rundę wygrał, bo Kaczyński się cofnął. Ale rund jest jeszcze wiele.

### Było pite?

W PiS wyłania się także grupa polityków, którzy, co do zasady, sympatyzują z Morawieckim, ale nie chcą wstąpić do jego frakcji. Uważają, że nominacja Czarnka była błędem, są skłóceni z Kurskim, podzielają wiele poglądów byłego premiera. A przede wszystkim uważają, że wycięcie frakcji Morawieckiego oznaczałoby osłabienie także ich pozycji, bo kontrolę nad PiS przejęliby z czasem tzw. maślarze.

W tym gronie jest wpływowy europoseł Adam Bielan, który ewidentnie nie jest fanem nominacji Czarnka (na platformie X zwrócił się do zausznika byłego ministra edukacji słowami „Było pite?") i który zaprosił do siebie Kaczyńskiego i Morawieckiego na kolację, która po siedmiu godzinach nocnych rozmów doprowadziła do zawieszenia broni i zgody prezesa na istnienie Rozwoju Plus (więcej o roli Adama Bielana na s. 21).

To także jeden z wiceprezesów partii, europoseł Joachim Brudziński czy były wicepremier Piotr Gliński. Tacy ludzie są też wokół prezydenta – Paweł Szefernaker, Michał Przydacz, może Zbigniew Bogucki. Wielu mniej znanych posłów PiS myśli podobnie, obawiają się wielkiej wojny domowej i rozłamu, który zaszkodzi PiS, a w konsekwencji im samym; mają też serdecznie dość publicznych awantur w mediach społecznościowych, za które obwiniają obie walczące frakcje. Paradoksalnie niezłe relacje z Morawieckim ma także wojująca z nim przez lata Beata Szydło, która teraz czuje się marginalizowana w PiS. ▶



eprasa.pl fe4ae05645

▶Frakcja przeciwników Morawieckiego właśnie się formalizuje we własnym stowarzyszeniu dowodzonym przez Czarnka (30 kwietnia doniósł o tym „Newsweek"), ale wciąż trudno o precyzję w jej opisie. Zaczęło się od sławnego zdjęcia, które we wrześniu wrzucił na platformę X europoseł Patryk Jaki, poza nim byli tam Czarnek, Sasin i europoseł Tobiasz Bocheński. Później, za sprawą Bocheńskiego i jego wpisu o niemieckim maśle na pokładzie samolotu linii Lot, do grupy tej przylgnęło określenie „maślarze".

Jej spoiwem jest przekonanie, że Morawiecki jest odpowiedzialny za utratę władzy w 2023 r. i późniejszy odpływ wyborców do prawicowej konkurencji. Maślarze uważają, że PiS powinien stawiać na jak najostrzejszą „tożsamościową" retorykę, by odbić elektorat Korony i Konfederacji, a centrum – o którym lubi mówić były premier – jest bezludne. A przede wszystkim widzą w Morawieckim konkurenta w walce o władzę w partii i dlatego dążą do jego usunięcia.

Nasz rozmówca uważa, że frakcja ta ma porównywalną liczbę posłów jak w Rozwoju Plus – trochę byłych działaczy Suwerennej Polski, trochę posłów PiS. Ale granica między zdeklarowanymi maślarzami a politykami, którzy podobnie do nich myślą, jest płynna. Tacy „półmaślarze" to np. szef klubu PiS Mariusz Błaszczak, rzecznik partii Rafał Bochenek, była marszałkini Sejmu Elżbieta Witek, posłowie Andrzej Śliwka i Kacper Płażyński oraz pewnie wielu jeszcze polityków PiS, którzy są skonfliktowani z Morawieckim i jego ludźmi, ale niekoniecznie uznają przywództwo Jakiego i Bocheńskiego. Do wspomnianego – antymorawieckiego – stowarzyszenia zapisało się podobno kilkudziesięciu posłów.



### Kaczyński słabnie

Niejasny jest status Kurskiego, który powoli, ale skutecznie odbudowuje wpływy po porażce wyborczej w 2024 r. i znów ma podobno dostęp do ucha prezesa. Nawet jeśli nie jest traktowany jako członek grupy Jakiego i Bocheńskiego, to ewidentnie chce żeglować w podobnym kierunku.

Maślarze są zdeterminowani w swoich próbach pozbycia się Morawieckiego. Świadczy o tym ich krótkotrwała ofensywa po ogłoszeniu porozumienia Kaczyńskiego z byłym premierem – maślarze pisali wtedy, że stowarzyszenie Rozwój Plus zostało „zawieszone". Trzeba było interwencji Nowogrodzkiej, żeby ta awantura przycichła.

– *Morawiecki szkodzi PiS i trzeba to wreszcie przeciąć. Rozwód jest kwestią czasu, konflikt prędzej czy później wróci. Nie możemy sobie pozwolić na to, by Morawiecki i jego ludzie mieli po wyborach taką pozycję, by meblowali rząd, a oni do tego dążą* – mówią politycy bliscy maślarzom. Ich zdaniem wyrzucenie ludzi Morawieckiego nie zaszkodziłoby notowaniom PiS, a groźbę założenia partii uważają za blef.

Inny rozmówca dodaje: – *Ludzie Morawieckiego nieustannie pokazują się jako ci lepsi i mądrzejsi, grają tylko na siebie. Osiedlowego warzywniaka nie dałoby się prowadzić w takiej atmosferze, a co dopiero partii. Większość PiS odetchnie z ulgą, jak to się wreszcie skończy*.

Bunt Morawieckiego – który nie wycofał się z założenia stowarzyszenia – postawił prezesa PiS przed dylematem. Dobrego ruchu nie miał. Mógł wyrzucić byłego premiera lub mu ustąpić. Koszt pierwszego rozwiązania to rozłam i osłabienie całej partii; nawet utrata 2–3 pkt, które zabrałby Rozwój Plus (a to najbardziej optymistyczny dla PiS scenariusz), byłaby bardzo bolesna, a najprawdopodobniej oznaczałaby kres marzeń o powrocie do władzy.

Koszt drugiego rozwiązania to pokazanie słabości i zalegalizowanie frakcji krytycznej wobec strategii PiS i wyborów personalnych Kaczyńskiego. Która jest zwarta i ma lidera ewidentnie chcącego zostać przywódcą całej partii.

Prezes od lat nie mierzył się z takim problemem. Owszem, za rządów PiS grupa posłów sprzeciwiła mu się w sprawie tzw. piątki dla zwierząt (posypały się wtedy partyjne kary, ale ostatecznie sprawa się rozmyła), ale wówczas bunt był punktowy, a nie całościowy, zabrakło także wtedy przywódcy, który nadałby tej akcji polityczny kształt.

Część polityków PiS – bliższych maślarzom – uważa, że Kaczyński cofnął się na chwilę. – *Prezes ustąpił Morawieckiemu po raz ostatni. Kolejny przypadek niesubordynacji zakończy się amputacją Rozwoju Plus, a Kaczyński będzie mógł powiedzieć wyborcom prawicy: patrzcie, ja zrobiłem wszystko, co mogłem, poszedłem na kompromis, a Morawiecki okazał się zdrajcą i rozłamowcem* – mówi poseł niechętny byłemu premierowi.

Niezależnie od tego, czy tak się stanie, lekcja z ostatnich miesięcy jest taka, że wszechwładza prezesa nad partią się kruszy. Nikt się specjalnie nie przejął groźbami partyjnych kar ani nawoływaniami do jedności i wspólnego przekazu, wiele dni posłowie okładali się kłonicami w mediach społecznościowych mimo wyraźnego zakazu Kaczyńskiego. Kilka czy kilkanaście lat temu byłoby to nie do pomyślenia. Nie mówiąc o tym, że gdyby dekadę temu ktoś ogłosił, że zakłada stowarzyszenie dla ludzi, którym coś się nie podoba w PiS, i zaprosił do niego kilkudziesięciu posłów, to zostałby z partii wyrzucony pewnie jeszcze tego samego dnia. A Morawiecki przetrwał i zmusił prezesa do ustępstw.

### Płuca, skrzydła, fortepiany

PiS wyszedł z tej odsłony konfliktu pokiereszowany, ale cały. Jego liderom brakuje już metafor do zobrazowania sytuacji; jest partia oddychająca dwoma płucami, grająca na wielu fortepianach, rozwijająca dwa skrzydła.

Przy wewnętrznej zgodzie – a przynajmniej rozejmie – nie jest to koncepcja całkiem bezsensowna. Obecne sondaże są średnio zachęcające, strata do KO – wyraźna, ale PiS ma wciąż potężną bazę wyborczą i ogromne doświadczenie kampanijne. Czarnek, którego początki są nieudane, może zostać za kilka miesięcy wymieniony na kogoś sprawniejszego, przy aplauzie Morawieckiego. Rząd i tworzące go partie trapią ich własne problemy. Przy niższej frekwencji (wynikającej z rozczarowania urobkiem koalicji 15 października) PiS może znów dostać szansę, zwłaszcza jeśli uda mu się sprowadzić do parteru Koronę i zabrać większość jej wyborców oraz jakoś porozumieć się z Konfederacją. To jeden scenariusz.

Drugi jest też prawdopodobny. Jeszcze dwa–trzy miesiące zastoju w sondażach wydatnie zwiększyłyby prawdopodobieństwo powrotu do otwartej wojny w PiS, bo obie wrogie frakcje tylko czekają na dogodny moment do ataku. Źródła konfliktu nie wyschły, gra trwa.

WOJCIECH SZACKI



eprasa.pl fe4ae05645



DAWID ŻUCHOWICZ/AGENCJA WYBORCZA.PL

# Zajazd U Bielana

ANNA DĄBROWSKA, MICHAŁ TOMASIK

**Zaufany Jarosława Kaczyńskiego, doradca Mateusza Morawieckiego, łącznik z Donaldem Trumpem. Adam Bielan potrafi być wszystkim dla wszystkich – i dlatego nikt w PiS do końca mu nie ufa.**

Dwa dni po kolacji Mateusza Morawieckiego z Jarosławem Kaczyńskim, zorganizowanej w mieszkaniu Adama Bielana, wieloletni polityk PiS i szef kampanii wyborczych Tomasz Poręba napisał na X: „Po katastrofie smoleńskiej pojawiły się natychmiastowe ruchy odśrodkowe. Było to szokujące. Zaczęto kwestionować przywództwo Jarosława Kaczyńskiego. Między innymi z inicjatywy dzisiejszego właściciela przydomowej restauracji powołano PJN, potem powstała Solidarna Polska. Wszędzie wieszczono koniec PiS-u". Wielu naszych rozmówców z różnych partyjnych frakcji zwraca nam uwagę na ten wpis. Wiadomo, że Poręba, pisząc o właścicielu przydomowej restauracji, miał na myśli Adam Bielana.

Osoba bliska Nowogrodzkiej: – *Adam jest kelnerem wyrabiającym się między Kaczyńskim i Morawieckim, biega wokół nich i szacuje, od którego w odpowiednim momencie dostanie większy napiwek. On chce dużo znaczyć i mieć pieniądze* – mówi osoba z otoczenia Kaczyńskiego.

Kiedy panowie wciąż rozmawiali przy kolacji, Bielan, za ich zgodą, już opublikował na X zdjęcie z tego spotkania. Z informacją, że prezesowi i byłemu premierowi udało się porozumieć. – *To zdjęcie bardzo rozjuszyło przeciwników Morawieckiego* – twierdzi ważny polityk PiS.

## Przy jednym i drugim uchu

O tym, że Bielan trzyma z Morawieckim, mówi już wielu w PiS, choć chcą zachować pozory neutralności, bo z pewnością tak łatwiej jest zorganizować choćby taką pojednawczą kolację w swoim domu. A ostatnio się w tym wyspecjalizował: w czerwcu ubiegłego roku gościł Szymona Hołownię i Jarosława Kaczyńskiego (był wtedy również Michał Kamiński). W PiS mówią, że prezes jest wdzięczny Bielanowi za tamto spotkanie. – *Jarosław miał poważne obawy, że Hołownia da się przekonać Tuskowi, aby odłożyć zaprzysiężenie Karola Nawrockiego na prezydenta. Adam ściągnął fotografa „Faktu", aby robił zdjęcia, gdy pod jego dom podjeżdżały limuzyny Hołowni i Kaczyńskiego* – mówi poseł PiS.

Polityk do zadań specjalnych, intrygant, strateg, „skrytobójca" Kaczyńskiego, łącznik PiS z administracją amerykańską, uwielbiający pieniądze. Przez niespełna 30 lat w polityce Adam Bielan dorobił się wielu tytułów, a o jego wpływach i dokonaniach krążą legendy. W Sejmie ▶



eprasa.pl fe4ae05645

▶ zadebiutował w 1997 r. jako 23-latek, z listy AWS, a w 2001 r. znalazł się w nowo powstałej partii braci Kaczyńskich. Razem z Michałem Kamińskim tworzyli niegdyś słynny duet spin doktorów PiS. W 2002 r. pomogli Lechowi Kaczyńskiemu zostać prezydentem stolicy. Kaczyński sporo w nich inwestował, pozwalał jeździć po świecie, szczególnie do USA, aby zwozili na Nowogrodzką pomysły na skuteczną kampanię. W 2004 r. – po to, by zdobywał międzynarodowe kontakty i trochę w nagrodę – Bielan został europosłem, a w 2007 r. wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego. W 2005 r. spin doktorzy, nauczeni w USA prostych kampanijnych chwytów, wynieśli PiS pierwszy raz do władzy.

W 2010 r. po porażce Jarosława Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich, tuż po katastrofie smoleńskiej, Adam Bielan zdradził prezesa i zaczął zakładać partię Polska Jest Najważniejsza. – *Ale kiedy zorientował się, że Kaczyński podniesie się po porażce, zaczął knuć z PiS, więc wyrzuciliśmy go z PJN i tak zaczął się jego powrót na Nowogrodzką* – wspomina dawny polityk PJN. Najpierw rękę wyciągnął do niego Jarosław Gowin, który chciał budować centroprawicową partię, ale po spektakularnej porażce w eurowyborach w 2014 r. uznał, że bez Kaczyńskiego się nie da, i wszedł do obozu Zjednoczonej Prawicy, a Bielan do Senatu. W 2019 r. Bielan mentalnie był już bliżej Kaczyńskiego niż Gowina. – *Był dogadany z Kaczyńskim, że ma rozbić Porozumienie Gowina, wyciągnął naszych młodszych posłów i założyli partię Republikanów, która w 2023 r. weszła do PiS, a Bielan znów odebrał od prezesa nagrodę wypłacaną w euro, bo z jedynki wszedł na europosła do Brukseli* – mówi polityk PiS z frakcji „maślarzy".

## Kreator sytuacji

Polityk pracujący w sztabach wyborczych PiS opowiada, że Bielan potrafi wykreować wiele sytuacji, przy których pojawiają się duże pieniądze i – jak dodaje – jakoś na tym osobiście korzystać. Wspomina, że do sztabu prezydenckiego Andrzeja Dudy w 2020 r. przyprowadził speca od kampanii, i to z samej Australii. – *Miał robić spektakularne memy, ale nie było to wcale takie dobre, a zainkasował za to grubą kasę. Chodzą słuchy, że swoje wziął z tej działki Bielan* – twierdzi nasz rozmówca. Ktoś inny wspomina, że w kampanii w 2023 r. – na otwarcie nowego sztabu – po odejściu jej szefa Tomasza Poręby Bielan przyprowadził doradców kampanijnych Viktora Orbána. – *Kręcili spoty, które były po prostu słabe i nieadekwatnie drogie. Pochłonęły nam krocie z budżetu na kampanię internetową. Nie wykluczam, że Bielan też coś na tym zarobił* – twierdzi jeden ze sztabowców PiS. Kiedy nasi rozmówcy opowiadają o tym, że dla Bielana liczy się kasa, zawsze dochodzą do afery z NCBiR na skalę tej z Funduszem Sprawiedliwości Ziobry.

Niektórzy zauważają, że coraz większą popularność zyskuje w partii teoria, że Morawieckiego z Bielanem spaja strach przed zarzutami karnymi. Nad byłym premierem wisi afera związana z wielomilionowymi nadużyciami w Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, nad którą sprawował bezpośredni nadzór. – *Mówi się coraz głośniej, że Bielan z Morawieckim liczą na to, że jak będą osłabiać PiS od środka, to Tusk daruje im zarzuty za te afery, na których obaj podobno nieźle się dorobili* – twierdzi ważny poseł PiS. Zastrzega, że to może być tylko teoria spiskowa. Ale to, że nazwisko Bielana pojawia się w aferze NCBiR, jest faktem.

## Przepompownia

Luty 2023 r. Dziennikarze Radia Zet informują o nieprawidłowościach w programie Narodowego Centrum Badań i Rozwoju „Szybka Ścieżka – Innowacje Cyfrowe". Konkurs ma wyłonić podmioty, które w zakresie cyberbezpieczeństwa i cyfryzacji przemysłu przeprowadzą badania i prace nad innowacyjnymi rozwiązaniami w działalności gospodarczej. O dofinansowanie z puli 811 mln zł mogą się ubiegać wszelakie przedsiębiorstwa: mikro, małe, średnie, duże, konsorcja. Dziennikarze opisują przypadek 27-latka, który otrzymał prawie 55 mln zł dofinansowania na spółkę założoną 10 dni przed ostatecznym terminem składania wniosków. Wniosek otrzymał najniższą ocenę dopuszczającą do finansowania i deklarował pracę nad „rozwiązaniami IOT do śledzenia towarów w łańcuchu dostaw i monitorowania parametrów ich transportu".

Projekt jest jednym ze 117 zgłoszonych i otrzymał dziesięciokrotnie wyższe dofinansowanie, niż wynosiła średnia. Wątpliwości budzi nie tylko projekt. Na ostatniej prostej konkursu NCBiR wydłużyło termin składania wniosków, a także podniosło kwotę – z 645 do 811 mln. Choć instytucja tłumaczy, że wydłużony termin miał wynikać z awarii systemu, dziwnym trafem projekt 27-latka został zgłoszony kilkadziesiąt minut przed końcem rozszerzonego okresu wnioskowania.

Sprawie przyglądają się posłowie KO. Dariusz Joński i Michał Szczerba dokonują kontroli poselskiej i ustalają, że nowo powstała firma nie ma szans na zgromadzenie wymaganego 17-milionowego wkładu własnego, potrzebnego do realizacji projektu. Kolejni dziennikarze wskazują na zbieżność adresu firmy ze spółkami związanymi z Partią Republikańską Adama Bielana, a nawet siedzibą partii.

Wątpliwości budzi także największa dotacja – 123 mln zł – dla firmy Chime Networks z Białegostoku, składającej projekt „rozwiązań w zakresie cyberbezpieczeństwa podmorskiej infrastruktury światłowodowej w oparciu o innowacyjną technologię wielordzeniowych włókien oraz ultraczułych systemów detekcji i identyfikacji zagrożeń". Dziennikarze wskazują na powiązania firmy z wiceministrem Jackiem Żalkiem, odpowiedzialnym za nadzór merytoryczny nad NCBiR, i prof. Karolem Kramkowskim, członkiem rady NCBiR. Duet Joński–Szczerba zwraca uwagę, że białostocka firma jest na granicy upadłości, a państwo przekazuje jej właśnie 122 mln zł.

Nieprawidłowościami zajęły się Najwyższa Izba Kontroli oraz Europejski Urząd ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych (OLAF), ponieważ środki NCBiR w dużej mierze pochodzą z Unii Europejskiej. Obie instytucje składają zawiadomienia: NIK do prokuratury polskiej, OLAF do Prokuratury Europejskiej. Choć w sprawie postawiono pierwsze zarzuty – w styczniu 2026 r. Prokuratura Regionalna w Warszawie skierowała do Sądu Okręgowego w Warszawie pierwszy akt oskarżenia obejmujący 33 osoby – to sprawa politycznych rozliczeń stoi w miejscu.

Bielan był przesłuchiwany w charakterze świadka. Twierdzi, że nie ma z nią nic wspólnego: – *Obecne zarzuty i aresztowania dotyczą nieprawidłowości w programie Bridge Alfa. Każdy, kto zna szczegóły tej sprawy, doskonale wie, że nie mam z nią nic wspólnego. Ludzie, którzy mnie oczerniali, sami wylądowali w areszcie i ciążą na nich poważne zarzuty prokuratorskie, a niedoszły beneficjent – spółka od słynnego „kabla" – wytoczyła mi proces o zniesławienie.*

Nadzór nad NCBiR – pełnił go wiceszef resortu funduszy Jacek Żalek – miał przypaść republikanom Adama Bielana



eprasa.pl fe4ae05645

po rozłamie w Porozumieniu Jarosława Gowina. Kiedy posłowie zasiadali w ministerstwach – głównie wykrojonym spod kurateli Piotra Glińskiego Ministerstwie Sportu – inni współpracownicy Bielana znajdowali zatrudnienie w NCBiR. P.o. dyrektorem NCBiR mianowano Pawła Kucha, jego doradcą zaś został były asystent Adama Bielana, a asystentem Kucha jego brat Karol. Sieć powiązań NCBiR ze współpracownikami Bielana sięga dalej. Posłowie Joński i Szczerba ocenili, że kierownictwo „otoczyło NCBiR siecią spółek", które miały zarabiać na konkursach.

Polityczną odpowiedzialność poniósł wiceminister Jacek Żalek, który podał się do dymisji, ale potwierdził udział Bielana w „patologicznym układzie i mechanizmie nadużyć w NCBiR". Adam Bielan ruszył do mediów, by tłumaczyć, że to nie on sterował decyzjami podejmowanymi w NCBiR, że doszło do nieprawidłowości na szczeblu urzędniczym (zawiódł człowiek), a w walce o przetrwanie postanowił zatopić wiceministra. W tej sprawie najważniejszym sędzią miał być prezes Jarosław Kaczyński, który decydował o politycznych losach podwładnych i rozsądzał spory między partyjnymi frakcjami. Jeden z rozmówców POLITYKI tłumaczy, że Adam Bielan doskonale zna słabości i podejrzliwość prezesa. Połączył Żalka z doniesieniami posłów KO (wraz ze Szczerbą należeli kiedyś do Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego), ze znienawidzonym przez prezesa posłem Przemysławem Wiplerem (Bielan oskarżył go o udział w aferze NCBiR, za co Wipler go pozwał), a nawet z Bogdanem Klichem (był ministrem obrony w czasie katastrofy smoleńskiej). Słowem: przekonał prezesa, kto jest w tej historii zły, bez względu na fakty.

## Kampanijna młodzieżówka

Opieszałość prokuratury na odcinku politycznej odpowiedzialności zastanawia, ponieważ od trzech lat jest w posiadaniu stenogramów rozmów nagranych przez Krzysztofa Bednarka, jednego z prezesów NCBiR. Z zeznań Żalka przed prokuraturą, ujawnionych przez Onet, wynika, że stenogramy zawierają ustalenia dotyczące rozdysponowywania środków na konkretne projekty oraz zabezpieczenia środków dla Partii Republikańskiej w spółkach Skarbu Państwa.

Jeden z ważnych polityków PiS, który słyszał krążące w partii teorie o tym, że wspólnym celem Bielana i Morawieckiego miałoby być rozbicie PiS w zamian za bezkarność, nie daje temu wiary. Widzi to inaczej: – *Morawiecki chce przejąć PiS od Jarosława, bo jest chorobliwie ambitny, a doświadczenie Bielana jest bezcenne w wyciąganiu ludzi i rozbijaniu struktur. Tak jak robił to już dla naszego prezesa. A mają do tego narzędzia, bo Bielan jest szefem naszej delegacji w Brukseli i jakieś obietnice może ludziom składać.*



**Kiedy politycy jeszcze rozmawiali przy kolacji, Bielan już wypuścił zdjęcie do sieci. Rozjuszyło ono przeciwników Morawieckiego.**

Do wyciągania młodych sympatyków PiS według naszego rozmówcy ma służyć powołane pod koniec 2024 r. z inicjatywy Bielana stowarzyszenie NowaPL.org. Na jego czele stoi dyrektor biura europosła Adama Bielana Szymon Stachowiak. – *Mamy przecież w PiS młodzieżówkę, a Bielan powołuje swoją bez kontroli kierownictwa partii. Wiele wskazuje na to, że stowarzyszenie stanie się kombajnem do mielenia pieniędzy pozyskanych np. z Brukseli na rzecz wzmacniania Bielana i Morawieckiego* – oburza się jeden z posłów.

W listopadzie prezydent Nawrocki wystąpił na organizowanym przez NowaPL.org ECR Kongresie Młodych 2025 „Silna Polska. Przyszłość jest w nas", który był finansowany właśnie przez Europejskich Konserwatystów i Reformatorów – trzecią co do wielkości rodzinę polityczną w PE, do której należy PiS. Kongres zorganizowano z rozmachem, w iście kampanijnym stylu.

## Amerykański łącznik

Bielan jest znany z amerykańskiego rozmachu, w końcu sam prezes wysyłał go kiedyś do USA, aby uczył się takiej oprawy polityki. Zresztą po zdradzie w odbudowaniu zaufania prezesa pomogły Bielanowi kontakty zagraniczne. Kiedyś wspierał Kaczyńskiego podczas spotkania z ówczesną premier Wielkiej Brytanii Theresą May, organizował spotkanie z prawnikiem nowo wybranego prezydenta Donalda Trumpa Rudolphem Giulianim, załatwiał liderowi wywiady z „Financial Timesem" i „Bildem". W 2025 r. wprowadzał do Białego Domu prezydenta Karola Nawrockiego.

Jeden z naszych rozmówców twierdzi, że Bielanowi takie wejścia zapewnia znajomość z bliskim doradcą Trumpa – chodzi o Vince'a Haleya, dyrektora Rady ds. Polityki Krajowej w Białym Domu. Ten z kolei jest zaprzyjaźniony z braćmi Rachoniami. Michał jest dyrektorem TV Republika, a jego brat był za PiS attaché prasowym ambasady Polski w Waszyngtonie. Sam Trump zdradził, kto skłonił go, aby przed wyborami prezydenckimi w Polsce poprzeć Karola Nawrockiego. „Chcę podziękować Vince'owi Haleyowi za rekomendację. Vince był fantastyczny i doceniam to" – stwierdził Trump. Haley przyleciał na zaprzysiężenie Nawrockiego. – *Nie można odmówić Bielanowi, że ma relacje w USA, ale wejście do Białego Domu i jego, i Karola to w dużej mierze zasługa Rachonia. Ale Bielan znów kreuje opowieść o tym, że to wszystko on* – mówi zirytowany polityk PiS. Ciekawe, kogo wybierze Adam Bielan, jeśli dojdzie do rozłamu w PiS? Czy pójdzie z Kaczyńskim, czy za Morawieckim? Osoba z otoczenia prezesa uważa, że do 2029 r., kiedy kończy się kadencja w Parlamencie Europejskim, nie będzie się opowiadał: – *A do kolejnych eurowyborów sytuacja jakoś się wyklaruje i pójdzie za tym, z kim bardziej będzie mu się opłacało.*

ANNA DĄBROWSKA, MICHAŁ TOMASIK

© ADAM BIELAN/X



eprasa.pl fe4ae05645



# Porzucona twierdza

Prezydent Karol Nawrocki i zastępca prezesa IPN Mateusz Szpytma (z prawej) podczas ponownego pochówku pisarza i żołnierza AK Sergiusza Piaseckiego, wrzesień 2025 r.

**Mówiło się o gruntownej reformie, a nawet likwidacji. Ale po wygranych wyborach rząd Tuska stracił zainteresowanie Instytutem Pamięci Narodowej. Czy kolejny prawicowy kandydat ma szansę zająć teraz miejsce Nawrockiego na stanowisku prezesa IPN?**

RAFAŁ KALUKIN

W swojej ulubionej pozie, czyli z zaciśniętymi pięściami, w gotowości do bitki. Takiego Karola Nawrockiego „Sieci" pokazały już w listopadzie 2023 r., kiedy był „tylko" prezesem IPN i zapewne nikomu nie przyszło do głowy przymierzać młodego historyka z Gdańska do prezydentury. W rozmowie z tygodnikiem zadeklarował wtedy, że „IPN będzie twierdzą nie do zdobycia".

Było to zaraz po przegranych przez PiS wyborach, kiedy prawica fortyfikowała się w oczekiwaniu na przejęcie władzy przez ekipę Donalda Tuska. Nawrocki niewątpliwie miał prawo do obaw, gdyż przychodzący premier dawał w kampanii do zrozumienia, że planuje zrobienie porządku z IPN. Krytykował Instytut, że „tyle ma wspólnego z pamięcią, ile TVP z informacją" i że „nie robi tego, do czego został powołany". Co interpretowano rozmaicie: jako zapowiedź głębokiej reformy placówki, a może nawet jej likwidacji. Radykalne rozwiązanie wpisała do swojego programu Lewica.

Jeżeli nawet istniał jakikolwiek plan, późniejsze wybory prezydenckie przekreśliły możliwość jego realizacji. Dzisiaj jest dla wszystkich oczywiste, że Nawrocki nie pozwoli Tuskowi niczego zmienić w zasadach funkcjonowania IPN. Obietnica „twierdzy nie do zdobycia" została więc spełniona, a niewykluczone, że prezydent będzie miał wkrótce kolejny sukces na tym polu.

**Wzrosły szanse na prezesurę w IPN jego dawnego podwładnego Mateusza Szpytmy.** 51-letni historyk z Podkarpacia był przez dekadę wiceprezesem, najpierw pod Jarosławem Szarkiem, a później pod Nawrockim. Rekomendowany w połowie kwietnia przez kolegium IPN zdołał wkupić się w łaski PSL i dzięki głosom ludowców oraz prawicy uzyskał parę dni temu rekomendację sejmowej komisji. Na najbliższym posiedzeniu zagłosuje już cały Sejm i wszystko wskazuje, że przy wsparciu ludowców kandydat przejdzie tę próbę pomyślnie.

Rafy pojawią się dopiero w Senacie, gdzie PSL już nie odgrywa roli języczka u wagi. Potrzebne byłoby więc szersze porozumienie na rzecz Szpytmy, ewentu-

© PIOTR NOWAK/PAP



eprasa.pl fe4ae05645

alnie absencja części klubu Koalicji Obywatelskiej bądź Lewicy. Na pierwszy rzut oka wydaje się to mało realne, bo dlaczego akurat najbardziej sceptyczne wobec IPN siły miałyby iść na rękę środowisku Nawrockiego i jemu samemu?

W kuluarach krążą jednak spekulacje o politycznych targach w tej sprawie, choćby cichej umowie: prezes IPN w zamian za zaprzysiężenie pominiętych dotąd sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Ale to raczej myślenie życzeniowe niektórych polityków KO, bo chociaż IPN pozostaje oczkiem w głowie prezydenta, odpuszczenie TK byłoby zapewne zbyt wielką ceną za zielone światło w wyborze następcy. Co nie oznacza, że nie pojawi się inna oferta dealu.

Nadal mimo wszystko mglista perspektywa wyboru człowieka Nawrockiego zdążyła jednak postawić na nogi niemal cały historyczny mainstream. W chwili powstawania tego tekstu już ponad 250 osób podpisało się pod petycją przeciwko kandydaturze Szpytmy, a wciąż przybywały kolejne. Znaleźli się w tym gronie najbardziej poważani badacze dziejów najnowszych, m.in. Andrzej Friszke, Antoni Dudek, Paweł Machcewicz i Marcin Kula. Sama inicjatywa wyszła jednak od związanych dawniej z IPN doktorów Adama Pułaskiego oraz Sławomira Poleszaka, którzy mają subiektywne powody bić na alarm, gdyż za rządów PiS padli ofiarą politycznych czystek.

„Wbrew budowanej narracji o swojej apolityczności i profesjonalizmie Mateusz Szpytma był i jest nadal jedną z twarzy skrajnego upolitycznienia IPN, który na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat stał się de facto partyjną przybudówką PiS" – stwierdzają w tekście petycji. Zarzucając następnie Instytutowi, że zamiast dialogu „oferuje w głównej mierze monolog na temat najnowszych dziejów Polski, wpisujący się w bieżące zapotrzebowania formułowane przez środowiska prawicowe, a nierzadko również skrajnie prawicowe". W dalszej części uzasadnienia jest jeszcze mowa o czystkach kadrowych, zatrudnianiu kolesi, marnowaniu pieniędzy na toporną historyczną propagandę kosztem wartościowych badań, wreszcie ogólną niegospodarność w zarządzaniu zasobami.

Krótko mówiąc, w pozostawionym przez Nawrockiego folwarku nic nie działa, jak należy. Pozwalając teraz wybrać jego zastępcę, koalicja rządząca będzie musiała wziąć odpowiedzialność za popełnione wcześniej grzechy. Mateusz Szpytma jest bowiem kandydatem kontynuacji.

**Kandydat prawicy to nierzucający się w oczy typ sumiennego urzędnika z prowincji.** Już ćwierć wieku temu aplikował do świeżo wówczas powstałego IPN, stawiając pierwsze kroki w krakowskim oddziale. Poznał tam przyszłego prezesa Instytutu Janusza Kurtykę, który pod koniec 2005 r. zabrał Szpytmę do Warszawy, żeby go zrobić swoim asystentem. Z tych czasów pochodzi powtarzana do dziś anegdota „Mateusz, podaj teczkę". W przypadku IPN trochę dwuznaczna.

Po śmierci Kurtyki w katastrofie smoleńskiej Szpytma wraca na rodzinne Podkarpacie, żeby zorganizować w Markowej Muzeum Polaków Ratujących Żydów im. Rodziny Ulmów. Współtworzy scenariusz wystawy, później zostaje jej kuratorem. Jego zaangażowanie ma dodatkowy wymiar, gdyż po matce jest spokrewniony z Ulmami. Zadanie zlecił jeszcze samorząd, ale otwarcie placówki zbiega się w czasie z początkiem „dobrej zmiany". Odwiedzający Markową prezydent Andrzej Duda chwali, że to „wielkie miejsce Rzeczpospolitej, bo wydarzyły się tu rzeczy, dzięki którym my, jako Polacy, możemy czuć się godnie".

Pamięć o rodzinie Ulmów, która poniosła w czasie wojny najwyższą cenę za ukrywanie Żydów, stanie się w rękach PiS poręcznym narzędziem do walki z „pedagogiką wstydu", czyli badaniem mniej chwalebnych postaw Polaków w okresie Zagłady. Specjalizujący się w tej dziedzinie Jan Grabowski i Dariusz Libionka zauważą po odwiedzeniu Markowej: „Twórcy wystawy są dumni z nastawienia Polaków do Żydów podczas wojny – i pragną, aby ta duma udzieliła się zwiedzającym. Podstawowym przekazem muzeum jest przekonanie, że podczas okupacji Żydzi zostali objęci przez Polaków ochronnym parasolem solidarności i pomocą, której kres, jak w wypadku Ulmów, wyznaczała własna śmierć". Szpytma odpowiedział, że historycy nie zrozumieli idei placówki, chociaż została zawarta w samej nazwie.

Był już wtedy z powrotem w IPN, który znalazł się pod ścisłą kontrolą PiS. Rozgrywającym był Ryszard Terlecki, wtedy jeszcze bliski Jarosławowi Kaczyńskiemu, skądinąd wcześniej również związany z krakowskim IPN. W 2016 r. wylansował na nowego prezesa mało znanego Jarosława Szarka oraz dobrał mu zarząd m.in. ze Szpytmą jako jednym z wiceprezesów.

Instytut właśnie wkraczał w nowy etap swojego istnienia. Straciła już na znaczeniu lustracja, bo od dawna nie było znanych nazwisk do lustrowania. Pisać wartościowych książek już nie było komu po wyrzuceniu niezależnie myślących historyków. Cała para poszła za to w historyczną propagandę, co oficjalnie zaliczane było do „edukacji publicznej". Produkowaną masowo i przewidywalną w propagowaniu prawicowych bądź katolickich kodów. Rozpisaną na tysiące tytułów, pikników historycznych, promocyjnych wkładek w prawicowych tygodnikach. Po kadencji Szarka przyszedł Nawrocki, ale zmieniło się jedynie to, że nowy prezes miał twardą rękę w zarządzaniu kadrami.

Współpracujący z obydwoma Szpytma zmienił w tym czasie obszar historycznych zainteresowań z ratowania Żydów na dzieje ruchu ludowego. I trzeba mu oddać, że przyczynił się do wydania paru wartościowych publikacji w tej zaniedbanej dotąd dziedzinie. Ukoronowaniem jego wysiłków była pięciotomowa edycja niedostępnych od dawna tekstów Wincentego Witosa. Przy okazji zaczął bywać na imprezach poświęconych założycielowi ruchu ludowego, gdzie poznał czołówkę polityków PSL. Nawet doczekał się publicznych pochwał z ust prezesa Władysława Kosiniaka-Kamysza za udział IPN w corocznych Zaduszkach Witosowych.

Niektórzy koledzy po fachu są jednak zdania, że ludomania Szpytmy nie wzięła się z pasji badawczej, tylko że został „zadaniowany" na odcinek peeselowski, żeby ocieplać tam wizerunek PiS i przekonywać do pogłębiania współpracy. Tak czy owak tamte wysiłki dzisiaj procentują, gdyż w PSL uważany jest właściwie już za swojego.

**Tryb wyboru prezesa IPN to jeden z większych ustrojowych dziwolągów.** Wiele jest teoretycznie ważniejszych urzędów, ale bodaj nie ma urzędnika zmuszonego przechodzić przez równie skomplikowaną procedurę. Poczynając od wskazania kandydata, co stanowi wyłączną prerogatywę kolegium IPN, składającego się z przedstawicieli Sejmu, Senatu i prezydenta. Ich kadencja trwa siedem lat i nie da się jej skrócić. Obecne kolegium zostało wybrane w lipcu 2023 r., a więc jeszcze za rządów ▶



eprasa.pl fe4ae05645

▶ PiS. W dziewięcioosobowym składzie dominują zatem nominaci prawicy wywodzący się zresztą z rozmaitych jej skrzydeł – od radiomaryjnego po prawicowy mainstream w osobie prof. Andrzeja Nowaka. Dwa miejsca przypadły z kolei reprezentującym opozycyjny wówczas Senat prof. Grzegorzowi Motyce oraz dr. Bartoszowi Machalicy.

Wytypowanego przez kolegium większością głosów kandydata na prezesa IPN muszą następnie poprzeć Sejm i Senat. W tak zaprojektowanym mechanizmie bardzo łatwo zatem o klincz, bo większość w kolegium musi się pokrywać z większością w obu izbach parlamentu. Już z wyborem Nawrockiego w 2021 r. był problem, bo większość senacka z oczywistych względów nie pałała do niego entuzjazmem. Słabym ogniwem wtedy okazali się jednak ludowcy, którzy poparli Nawrockiego w zamian za głosy dla forsowanego przez nich kandydata na rzecznika praw obywatelskich. Bez tego Nawrocki raczej nie miałby później szans na prezydencką nominację. Jego odejście do pałacu spowodowało jednak problem z wyborem następcy.

Jako pierwszy jeszcze jesienią poległ w Sejmie Karol Polejowski. Tako samo wcześniej zastępca Nawrockiego w IPN, tylko że wyższy szarżą i z tego tytułu pełniący obowiązki prezes w czasie bezkrólewia. Od razu było jednak wiadomo, że nie przejdzie w Sejmie. Część osób ze środowiska historyków jest jednak zdania, że postawienie na Polejowskiego było jedynie sztuczką mającą pomóc rozmiękczyć ludowców, którzy źle znoszą twarde konfrontacje.

Po przegranej pierwszego kandydata widać już było wyraźnie, że zabawa w wybieranie nowego prezesa IPN może trwać aż do wyborów w 2027 r., a nawet do wygaśnięcia kadencji kolegium za kolejne trzy lata. Chyba że ktoś ustąpi, cofnie nogę. W tej sytuacji obły i mający zarazem dobre relacje z PSL Szpytma faktycznie mógł robić wrażenie kandydata kompromisowego, chociaż w istocie niewiele go różni od poprzednika. Tyle że ludowcy najwyraźniej połknęli przynętę. I teraz to od Koalicji Obywatelskiej głównie będzie zależeć, co z tym fantem dalej zrobić.

A w KO zwykle wszyscy potulnie czekają, aż Tusk wyłoży karty na stół. Problem w tym, że lidera takie sprawy jak polityka historyczna niezbyt interesują, chociaż z wykształcenia jest historykiem. Chyba że chodzi o projekty spektakularne, jak kiedyś Muzeum II Wojny Światowej, a teraz Muzeum Historii Polski, którego szykowanie przez ponad dwie dekady stało się niemalże narodową epopeją, szczęśliwie już prawie zakończoną. Ale już babraniem się w wojenkach o IPN „kierownik" najwyraźniej nie ma ochoty się zajmować, więc czeka do ostatniej chwili z decyzją.

Stan niepewności coraz bardziej jednak frustruje gildię historyków, w większości przecież życzliwych tej stronie. Jeszcze dwa lata temu środowisko wręcz rwało się do pomagania rządowi w reformowaniu IPN. Ogłaszano publicznie koncepcje i plany, składano mniej lub bardziej konkretne oferty. Stosunkowo nieliczni domagali się likwidacji i przeniesienia akt po SB do Archiwów Akt Nowych. Dużo liczniejsi oponenci tłumaczyli, że to nie miałoby sensu, bo ponowna archiwizacja zajęłaby długie lata, a poza tym IPN jest potrzebny, tylko że trzeba go inaczej zaprojektować.

Pomysłów na reformę było wiele, niektóre dosyć oczywiste (koniec lustracji), inne nowatorskie (IPN jako centrum dystrybucji grantów na badania, regionalizacja pamięci poprzez oddanie struktur terenowych samorządom). Ale wszystko na nic, bo Tusk milczał niczym sfinks i milczała też jego partia. A po wyborach prezydenckich dyskusje o przyszłości Instytutu stały się już na tyle abstrakcyjne, że dzisiaj mało komu chce się je prowadzić.

**Nieustające zdziwienie wywołuje z kolei hojność rządu w finansowaniu IPN.** Rozbudowana struktura na 2,5 tys. etatów pochłania bowiem aż 600 mln zł rocznie, co trudno uzasadnić wątłymi osiągnięciami badawczymi. A jeszcze na początku kadencji sporo się mówiło o „wzięciu głodem" Instytutu. Nawiązywał do tego zresztą Nawrocki we wspomnianej rozmowie z „Sieciami" w postaci budzącego grozę dylematu: „Czyjego pomnika nie zbudować – Wojciecha Korfantego czy może Wincentego Witosa?". Niemniej propagandę historyczną na wszelki wypadek złagodził, żeby nie dostarczać pretekstu do cięć.

Rząd co prawda ustawowo zmuszony jest uwzględnić w projekcie budżetu plan finansowy Instytutu, ale już posłowie mogą później przesuwać pieniądze na inne cele. W przypadku IPN korekty okazały się jednak symboliczne, a w porównaniu z ubiegłorocznym budżetem ostatnio instytucja nawet trochę zyskała. Jakie powody stały za tą decyzją, tego nie wiadomo. Argumentów na rzecz oszczędności byłoby z pewnością więcej. Wystarczyło zajrzeć do raportu NIK, w którym opisano wieloletni trend mnożenia stanowisk kierowniczych kosztem naukowych, co również tłumaczyłoby spadek jakości badań.

Inna sprawa, że historykom z IPN koledzy po fachu na ogół zazdroszczą komfortu zawodowego, bo w ramach obowiązków etatowych zajmują się głównie pisaniem książek, które następnie wydaje im pracodawca, płacąc za to dodatkowe honoraria autorskie. Za tę samą pracę mają więc podwójne wynagrodzenie, a ponieważ nie stoi za tym logika rynkowa, płaci państwo.

Trudna do racjonalnego wyjaśnienia polityka rządu wobec IPN siłą rzeczy wzmaga dzisiaj niepewność wokół wyboru nowego prezesa. Być może obawy zainteresowanych tematem są na wyrost i kandydat przepadnie w Senacie, co wciąż wydaje się mimo wszystko najbardziej prawdopodobnym scenariuszem. Pytanie wtedy, co dalej, bo robienie trzeciego kółka z identycznym finałem też już mało kogo rajcuje.

Krąży więc wśród historyków scenariusz zaproponowania kolegium IPN nieformalnego kompromisu, żeby wystawiło wspólnego kandydata całego środowiska. Czyli najlepiej jakiegoś umiarkowanego konserwatystę pokroju dyrektora Muzeum Powstania Warszawskiego, ewentualnie odwołanego wcześniej z dyrektorskiej posady w Muzeum Historii Polski Roberta Kostry (niestety, żaden z nich nie ma wymaganych w ustawie tytułów naukowych). Zarazem musiałby to być ktoś z kompetencjami menedżerskimi i przede wszystkim przychodzący spoza IPN. Bo tylko ktoś taki miałby odwagę porozbijania wieloletnich wewnętrznych układów.

**Tylko po co chodzić większości w kolegium na kompromisy, skoro dzisiejszy IPN pozostaje pod kontrolą PiS?** Owszem, bez formalnie wybranego prezesa, tylko z pełniącym obowiązki. I z konieczności nieco przyczajony, ale przecież rządzącej większości pozostał już tylko jeden budżet do przygotowania, a potem wszystko może się zmienić. Można się zarazem cieszyć wszystkimi innymi profitami, nie będąc przy tym nawet specjalnie niepokojonym. Twierdza nie została zdobyta również z tego powodu, że mimo gromkich zapowiedzi nie było chętnych do jej zdobywania.

RAFAŁ KALUKIN



eprasa.pl fe4ae05645




# Henkel Sustainability Awards for Retail rozdane!

**Poznaliśmy laureatów nagród Henkel Sustainability Awards for Retail, które przyznawane są w ramach konkursu ECU Sustainability Awards. Jak co roku Henkel wyróżnił te firmy, które działają w duchu zrównoważonego rozwoju, uwzględniając trzy aspekty: ochronę środowiska naturalnego, efektywność ekonomiczną i odpowiedzialność społeczną.**

W dniach 14–15 kwietnia w Warszawie odbyła się 17. edycja Poland & CEE Retail Summit. To kongres obejmujący pełen przekrój tematów retailowych: od strategii handlowych, przez e-commerce, digitalizację, AI i logistykę, aż po ESG. Jak co roku nie zabrakło na nim przedstawicieli handlu detalicznego oraz sektora FMCG skupionych wokół idei zrównoważonego rozwoju i gospodarki obiegu zamkniętego. **Kiril Marinov, dyrektor zarządzający działu Henkel Consumer Brands** podczas panelu dyskusyjnego „O pozycji firmy decyduje nie ambicja, lecz to, co organizacja jest w stanie udźwignąć", mówił tak:

– *Ambicja jest istotnym punktem wyjścia, ale o sile organizacji decyduje przede wszystkim to, czy potrafi ją przekuć w realne działania. Ludzie, elastyczne procesy oraz konsekwentne inwestycje w rozwój – kluczowe znaczenie mają te trzy elementy. Przedsiębiorstwa potrafiące połączyć te obszary mają szansę na budowanie konkurencyjnej przewagi, co potwierdza 150-letnia historia firmy Henkel. Naszym celem jest dalszy rozwój biznesu w Polsce, wzmacnianie zaufania partnerów i tworzenie wartości na kolejne dekady.*




## *Henkel nagradza najlepszych*

Od 6 lat, w ramach konkursu ECU Sustainability Awards, stanowiącego nieodłączną część Poland & CEE Retail Summit, rozdawane są nagrody Henkel Sustainability Awards for Retail, które firma Henkel wręcza za osiągnięcia w zakresie odpowiedzialnego handlu detalicznego. Szansę na statuetkę mają ci dostawcy rozwiązań, producenci oraz retailerzy działający w duchu zrównoważonego rozwoju, uwzględniając trzy aspekty: ochronę środowiska naturalnego, efektywność ekonomiczną i odpowiedzialność społeczną. I tak w kategorii „Sustainable Leadership & Excellence" triumfował Lewiatan Holding S. A., nagroda w kategorii „Commercial Initiatives" trafiła do Grupy Żabka, a w kategorii „Operational Improvements" do Decathlon Polska. Wręczył je podczas gali Kiril Marinov, podkreślając, że w tym roku zgłoszono ponad 60 inicjatyw – każda z nich ma znaczenie, przyczyniając się do budowania lepszej przyszłości.

## *Henkel – 150 lat innowacji*

Warto zaznaczyć, że tegoroczna edycja nagrody miała szczególny wymiar. Odbyła się bowiem w roku 150-lecia założonej przez założyciela Fritza Henkla firmy, która od początku rozwijała się w oparciu o długofalowe podejście do biznesu i odpowiedzialność wobec otoczenia. Dziś realizuje strategię Purposeful Growth, łącząc rozwój biznesowy z ograniczaniem wpływu na środowisko i wzmacnianiem pozytywnego oddziaływania społecznego, a Sustainability Awards for Retail są jednym z narzędzi wspierających tę transformację w całym ekosystemie handlu.

Artykuł sponsorowany

eprasa.pl fe4ae05645

**Ustawa wygaszająca miała przywrócić sprawiedliwość: żeby Ukraińcy, którzy uciekli do nas przed wojną, nie mieli większych przywilejów niż inni. Dla najsłabszych okazało się to bardzo niesprawiedliwe.**

# Z życia wygaszonych

PAWEŁ RESZKA

Ponad 750 tys. dorosłych Ukraińców mieszkających w Polsce pracuje. Płacą podatki, ZUS, ubezpieczenie zdrowotne. Wynajmują mieszkania, posyłają dzieci do polskich szkół, biorą 800 plus. Radzą sobie dobrze. Mogą nawet nie zauważyć, że weszły nowe przepisy. Dotkną one od kilku do kilkunastu tysięcy tych, którzy z integracją poradzili sobie gorzej. Wydział Obsługi Mediów MSWiA zapewnia POLITYKĘ, że zmiany „utrzymują solidarność z osobami dotkniętymi konfliktem zbrojnym na Ukrainie", ale – od teraz – zgodnie z zasadą „równego traktowania wszystkich cudzoziemców". Jednak najpoważniejsze organizacje humanitarne zajmujące się uchodźcami alarmują, że skutkiem ubocznym „ustawy wygaszającej" jest powstanie luki systemowej. Do luki wpadli starzy, chorzy, ci z niepełnosprawnościami i opiekujący się dziećmi. Zajrzeliśmy tam.

### Wygaszanie Oleksandra T.

„Wejherowo, dnia 5 marca 2026 r.

Dom Pomocy Społecznej uprzejmie informuje, że w myśl ustawy o wygaszeniu rozwiązań o pomocy obywatelom Ukrainy pan Oleksandr T. nie jest już mieszkańcem tutejszego Domu od dnia 4 marca 2026 r.

Podpis (-)

Dyrektor".

4 marca, dzień przed wejściem w życie ustawy, Oleksandr T. został wykąpany, dostał śniadanie, następnie obsługa spakowała jego rzeczy i wywiozła go do przytuliska dla bezdomnych. Do córki Kateryny pismo o „wygaszeniu" ojca dotarło dopiero po kilku dniach. O tym, co się dzieje, dowiedziała się przez telefon od opiekunki z DPS. – *Zadzwoniła przerażona: „Wywieźli go"!*

Zdaniem Kateryny umieszczenie ojca w schronisku dla bezdomnych zagrażało jego zdrowiu. Oleksandr ma orzeczenie polskiej komisji o niepełnosprawności w stopniu znacznym i wymaga stałej i długotrwałej opieki. Nie porusza się samodzielnie, nie jest w stanie wykonywać podstawowych czynności życiowych. W myciu i jedzeniu pomogli mu inni bezdomni. – *Bardzo mili ludzie* – ocenia Kateryna, która natychmiast pojechała po ojca.

Mieszkał w DPS od marca 2022 r. Córka ewakuowała go z domu opieki pod Kijowem, który znalazł się niemal na linii frontu. W Polsce przeszli całą procedurę kwalifikacyjną – dom w Wejherowie został wskazany jako ten, w którym jest wolne miejsce. Oleksandr ma ubezpieczenie zdrowotne, rodzina płaci za miejsce zgodnie z wyliczeniami: 1,5 tys. zł i dodatkowo całą emeryturę ukraińską pacjenta, tj. 500 zł.



**Maria, emerytka z Czernihowa, wraz z innymi wolontariuszami wyplata siatki maskujące, które pojadą na front. Po zmianie przepisów nie dostała recepty na leki na nadciśnienie. – Czas wracać, bo nieprzyjemnie tak nadużywać gościnności – mówi.**

Kateryna mówi, że była zadowolona z DPS i miała dobry kontakt z opiekunami. – *A teraz, kiedy tam pojechałam, wydawało mi się, że pracownicy z obsługi wstydzą się mi patrzeć w oczy. Tłumaczyli, że nie było wyjścia, bo takie jest prawo. Jednak miałam wrażenie, że nikt do końca tego prawa nie rozumie. Kiedy rozmawiałam z panią dyrektor ds. polityki społecznej w urzędzie wojewódzkim, odparła, że właśnie jedzie do Warszawy na szkolenie.*

Córka wywiozła ojca do Ukrainy, gdzie znalazła mu miejsce w prywatnym domu seniora. – *Tam nie ma bezpiecznych miejsc, ale nie miałam wyjścia* – przyznaje. Gdy ojciec był już w Ukrainie, z polskich urzędów zaczęły przychodzić odpowiedzi na jej pisma. Zastępca burmistrza Wejherowa pisał: „Zakres pomocy dla osób posiadających status Ukr został ograniczony do udzielenia schronienia, zapewnienia posiłku oraz niezbędnego ubrania, co zostało zastosowane poprzez



eprasa.pl fe4ae05645

zapewnienie mu schronienia w ośrodku dla bezdomnych". A wojewoda pomorski dodawał: „Zabrała pani ojca z przytuliska do swojego miejsca zamieszkania. W związku z powyższym Wojewoda Pomorski uznaje dalsze prowadzenie postępowania w przedmiotowej sprawie za bezzasadne". Kateryna: – *Postąpiono z nami nieludzko, takie mam zdanie.*

Jednak wojewoda twierdzi, że wszystko odbyło się *lege artis*: „Podstawą zakończenia pobytu obywatela Ukrainy w domu pomocy społecznej była zmiana stanu prawnego wynikająca z wejścia w życie ustawy z dnia 23 stycznia 2026 r., która z dniem 5 marca 2026 r. uchyliła art. 29 i art. 30 ustawy z dnia 12 marca 2022 r. o pomocy obywatelom Ukrainy" – napisał jego rzecznik w odpowiedzi na pytanie POLITYKI.

## Wrażliwość

Ustawę wygaszającą posłowie procedowali w styczniu, gdy w Ukrainie panowały arktyczne mrozy. Bomby niszczyły elektrownie i sieci przesyłowe, setki tysięcy cywilów wegetowało bez prądu i ciepła. Rząd argumentował jednak, że po czterech latach od początku inwazji sytuacja ukraińskich uchodźców jest już stabilna. Czas więc odchodzić od rozwiązań interwencyjnych, tymczasowych.

Rozwiązania interwencyjne wprowadziła ustawa specjalna o pomocy Ukraińcom, uchwalona w 2022 r., gdy do Polski uciekały tysiące cywilów z zaatakowanej przez Rosję Ukrainy. Była przedłużana każdego roku, a zawarty w niej zakres opieki nad uciekinierami za każdym razem nieco ograniczano. Tym razem cała poszła do „wygaszenia". Istotny był czynnik polityczny. Sprawa Ukraińców budziła emocje społeczne – krytykowano dostęp do opieki społecznej, medycznej i zasiłków 800 plus nawet dla dzieci rodziców, którzy nie pracują. W ferworze dyskusji zapominano, że wkład przybyszów w PKB (ok. 15 mld zł rocznie, jak wynika z raportu BGK) jest dużo większy niż obciążenia budżetu. Na przykład te z tytułu 800 plus wynosiły 2,8 mld zł. Koszty leczenia wszystkich ubezpieczonych i nieubezpieczonych Ukraińców wyniosły w 2024 r. 2,2 mld zł, a składki wpłacane przez nich na NFZ to 3,5 mld zł.

Prezydent Karol Nawrocki zapowiedział jednak, że nie będzie podpisywać żadnych tymczasowych rozwiązań. Chciał przywrócenia „sprawiedliwości społecznej" i „elementarnej uczciwości wobec polskich obywateli". Ustawa wygaszeniowa była więc po jego myśli. Postawa prezydenta przyspieszyła działania, ale rząd pracował nad wygaszeniem praw ukraińskich uchodźców od początku 2025 r. Na ostatnim etapie prace, jak to często bywa, odbywały się już na chybcika. – *Myśmy byli na tych konsultacjach, natomiast dużo nie wniosły. Wszystkie rozwiązania były już gotowe* – mówi Małgorzata Dziewanowska, doktorka nauk prawnych, wykładowczyni Uniwersytetu Warszawskiego.

Wprowadzenie rozwiązań systemowych ma swoją logikę. Trudno utrzymywać na dłuższą metę prowizorkę, sensowniej wpisać wszystko do ogólnego prawa dotyczącego pobytu cudzoziemców w Polsce. Jednak sytuacja Ukraińców była inna niż większości obcokrajowców. Wojna za miedzą trwała, uciekinierzy nie mieli dokąd wracać. Rodziło się pytanie, czy nowe prawo nie skrzywdzi najsłabszych. Prof. Maciej Duszczyk – do niedawna wiceminister spraw wewnętrznych, jeden z głównych twórców rozwiązań prawnych – uspokajał, że nie będzie chaosu, a rząd ma dość czasu, by wszystko dobrze przygotować. – *Jeśli chodzi o grupy wrażliwe, to choć ograniczamy ich katalog, jednak utrzymujemy dotychczasowe rozwiązania* – zapewniał.

Grupy wrażliwe według nowego prawa to niepełnosprawni (w stopniu umiarkowanym lub znacznym); seniorzy (kobiety 60+, mężczyźni 65+), kobiety w ciąży, osoby wychowujące niemowlęta (do roku życia), ci, którzy odnieśli obrażenia w czasie wojny. Prof. Duszczyk w wywiadzie dla zero.pl wyjaśniał, że: – *Kiedy pisze się ustawę dotyczącą 2 mln osób, zawsze znajdą się osoby, które są niezadowolone.* Z pewnością może się do nich zaliczać Oleksandr – niepełnosprawny senior, którego wyrzucono z DPS.

## Zaświadczenie

Miesiąc po wejściu w życie ustawy widać, że zapewnienia o dobrym przygotowaniu i braku chaosu były skażone urzędniczym optymizmem. Jak mówi Halyna Andruszkow, szefowa fundacji Uniters (jednej z najbardziej prężnych organizacji pomagających Ukraińcom), przypadków podobnych do historii Oleksandra jest wiele: – *Mogłabym opowiadać godzinami.* Są historie ludzi wyrzucanych z domów pomocy; pacjentów, którym przerwano dializy i terapie onkologiczne; niepełnosprawnych pozbawionych pomocy lekarskiej; opowieści o kolejkach do NFZ tak długich, że wyprzedzały je zmiany legislacyjne. – *Walentyna, moja mama, kobieta 87-letnia, miała zoperowane jedno oko bezpłatnie. Operację drugiego musi opłacić w całości z własnej kieszeni, bo w czasie oczekiwania zmieniły się przepisy* – opowiada Weronika i pokazuje ciągnącą się tygodniami korespondencję ze szpitalem:

„Dzień dobry, przepraszam za kłopot, piszę w sprawie operacji Walentyny, która została odwołana 20 sierpnia, trzy miesiące temu. Chciałabym wiedzieć, kiedy mniej więcej ktoś z Państwa zadzwoni do nas w sprawie tej ▶



**Anna, samotna matka dwójki dzieci: 11 i 5 lat. Jej miejscowość jest pod okupacją. W Polsce od roku. Pracuje, pobiera 800 plus. Wszystko układało się dobrze do wypadku samochodowego. Często traci przytomność, zarabia mniej, boi się, że nie wystarczy jej na rachunki.**

© PAWEŁ RESZKA (2)



eprasa.pl fe4ae05645

▶ operacji. Jesteśmy bardzo zaniepokojeni. Weronika, córka pacjentki".

„Dzień dobry, w tej chwili nie mamy miejsca na bloku operacyjnym, sekretariat będzie się kontaktował. Z poważaniem...".

Ogonek przed punktem konsultacyjnym przy Domu Ukraińskim w Warszawie ustawia się od rana, jeszcze przed otwarciem. Stoją ludzie starsi, niedołężni, niepełnosprawni. – *Mamy bardzo dużo zgłoszeń od ludzi, którzy przestali otrzymywać leki po wejściu w życie ustawy* – mówi Julia Repenko, szefowa.

Maria Horylenko ma 76 lat, nie pobiera polskiej emerytury. Mieszka w ośrodku zbiorowego zakwaterowania (OZZ), dlatego według prawa należy się jej bezpłatna opieka medyczna. – *Poszłam do przychodni z zaświadczeniem, że mieszkam w OZZ. Jednak odesłano mnie z kwitkiem. Nie dostałam recepty na leki na nadciśnienie* – opowiada. Na warszawskim Służewie Maria wraz innymi wolontariuszami wyplata siatki maskujące, które pojadą na front. Sasza, emeryt, który wyplata obok Marii, włącza się do rozmowy: – *A moją żonę przyjęli do przychodni!* – *A co im pokazała?* – zainteresowała się Maria. – *Takie samo zaświadczenie jak twoje.* Przez chwilę trwa dyskusja o nowych przepisach. Emeryci nie mają pewności, czy zostali „wygaszeni", czy też nie. – *Zdaje się, że wkradł się bałagan!* – zauważa Sasza.

Nie mówimy tu o wielkich sumach, bo leki Marii kosztują 100 zł miesięcznie. Dla Polski to niewiele, ale dla emerytowanej telefonistki z Czernihowa sporo (otrzymuje 500 zł emerytury). Na szczęście znajomy przywiózł jej lekarstwa z kraju – nie takie jak przepisał polski lekarz, ale dość podobne.

– I co pani planuje?

– *Przyjechałam tu, jak miałam 72 lata, teraz mam 76. Czas wracać!*

– A jak pani myśli o Polsce?

– *Pozytywnie. Poznałam mnóstwo miłych ludzi, na początku mieszkałam u polskiej rodziny zupełnie bezpłatnie. Ale czas wracać, bo nieprzyjemnie tak nadużywać gościnności.*

Z ekonomicznego punktu widzenia najlepiej byłoby, żeby Maria i jej podobni nie nadużywali gościnności, a zostali tylko ci, którzy pracują i dokładają się do budżetu. Chyba taki był niepisany cel ustawy wygaszającej. Dlatego maksymalnie ograniczono grupy wrażliwe, co już z humanitarnego punktu widzenia takie oczywiste nie jest. Do wrażliwych nie należy np. Eugenia – ma 58 lat, więc jest przed wiekiem emerytalnym. Żyje ze sprzedawania rękodzieła: serwetki, skarpetki, torebki. Pracowała w Polsce fizycznie, ale siadło zdrowie. Nietrzymanie moczu, przepuklina powłok brzusznych.




**Marcin Ćwiek prowadzi ośrodek zbiorowego zakwaterowania Sun City w Bramkach. Jak powiedzieć 70 osobom, że od lipca będą musiały się z nim rozliczać na zasadach komercyjnych?**

– *Od zeszłego roku czekałam na operację. Odkładali ją kilka razy. W końcu już prawie była moja kolejka. Jeszcze jedna wizyta u pulmonologa i na stół.*

– I nie przyjęli?

– *„Nie możemy, zmieniło się prawo".*

Dom Eugenii nie istnieje – na wsi pod Hulaj Polem przebiega linia frontu. Kobieta mieszka ze starszą 65-letnią siostrą w OZZ na przedmieściach.

### Anna i samochód

Ustawodawcy wyrzucili z przepisów sformułowanie „osoby w trudnej sytuacji życiowej", które pozwalało pomagać tym, którzy nie zaliczali się do grup wrażliwych, ale z różnych powodów przestali sobie radzić. W ten sposób do luki systemowej wpadła Anna. I to w dramatycznych okolicznościach. Ktoś z miejscowych przybiegł do OZZ Sun City w Bramkach pod Warszawą. Lilia, administratorka, usłyszała, że koło sklepu samochód uderzył w przechodnia: – *„Przy jezdni leży dziewczyna, chyba od ciebie". Biegnę, widzę ogromny korek. Buty rozrzucone: jeden tu, drugi tam. Karetka, krew, ciało. Pomyślałam: „Już po Ani".*

Anna, samotna matka dwójki dzieci (11 i 5 lat). Rozwiedziona, mąż nie płaci alimentów. Pochodzi z obwodu zaporoskiego, jej miejscowość jest pod okupacją. W Polsce od roku. Bardzo zaradna. Znalazła pracę, posłała dzieci do szkoły i przedszkola. Dokumenty w porządku. Ubezpieczenie zdrowotne opłacone. 800 plus pobiera. – *Wszystko szło dobrze, aż do wypadku, ale sama sobie jestem winna. Mogłam nie przechodzić w miejscu niedozwolonym* – opowiada. Po wypadku był szpital, potem trzy miesiące rehabilitacji. – *Żyłam głównie z oszczędności. Jak tylko wydobrzałam, wróciłam do pracy. Mam dwoje dzieci, muszę pracować. Praca ciężka, w magazynie.* Po wypadku wysiłek fizyczny stał się dla Anny wyzwaniem. – *Traci przytomność. Często i bez widocznej przyczyny* – mówi Lilia.

Kiedy Anna traci przytomność, nie może pracować i przepada jej dniówka. Do wypadku wyciągała nawet 5 tys. zł, co wraz z 800 plus na dwójkę dzieci dawało 6,6 tys. zł. Po wypadku miesięczne dochody skurczyły się do 4,6 tys. zł. A zgodnie z ustawą wygaszającą od 1 lipca ma płacić za pobyt w ośrodku pełną stawkę i za siebie, i za dzieci: – *Czyli 2850 zł miesięcznie, plus 400 na przedszkole. Jedzenie, ubrania, dojazdy i inne wydatki będą musiały się zamknąć w kwocie 1350 zł.* Czy da radę? – *Jeśli będę mogła pracować, to owszem.*

Przez ustawę wygaszającą – która miała sprawić, że stanie się samodzielna – paradoksalnie szansę na samodzielność straciła:



eprasa.pl fe4ae05645

*– Miałam plany. Chciałam się nauczyć polskiego, poszukać lżejszej pracy, w swoim fachu, jestem manikiurzystką. Ale życie będzie ograniczało się do 10 godzin w hali magazynowej i zajmowania się dziećmi.*

**Sun City**

OZZ Sun City w Bramkach (koło Błonia pod Warszawą) składa się z kilku budynków, gdzie zakwaterowano po 20 osób. Warunki przypominają akademik – wspólna kuchnia, dwie toalety z prysznicami na domek. – *Tu były kwatery dla pracowników sezonowych* – mówi właściciel Marcin Ćwiek. – *Z uchodźcami zaczęliśmy pracować spontanicznie. Pierwszych zakwaterowałem w domu rodziców. Następnych w ośrodku. Bezpłatnie, bo miałem miejsce, a o pieniądzach w takich chwilach się nie myśli.*

Dopiero po jakimś czasie podpisał umowę ze starostwem i Sun City stało się ośrodkiem zbiorowego zakwaterowania w rozumieniu ustawy. Najpierw Ukraińcy nie płacili nic, a Marcin brał kasę od państwa. W kolejnych latach było to ograniczane i uchodźcy musieli częściowo pokrywać koszty.

– *Jeszcze pół roku temu mieliśmy 200 osób, do których dopłacało państwo. Dziś tylko 130, reszta mieszka „komercyjnie". Ale pracy dookoła jest dość: magazyny, zakłady produkcyjne, gospodarstwa rolne.*

– I pracują?

– *Po 12 godzin dziennie, serio. Kto może, ten idzie do pracy.*

– A kto nie może?

– *I tutaj jest kłopot. Według ustawy wygaszającej prawie wszyscy będą musieli od lipca płacić za siebie 100 proc.*

Zgodnie z ustawą płacić muszą np. matki, które mają trójkę i więcej dzieci (wcześniej były grupą wrażliwą). Jedną z nich jest Ola. Z pracą w magazynie ledwie sobie radzi, bo choruje na przepuklinę. Do lżejszej roboty nie pójdzie, bo choć jest tu od początku wojny, nie nauczyła się języka. Dzieci za to mówią doskonale. Kolegują się z polskimi rówieśnikami, uczą się, córka chodzi na tańce.



**Lilia jest administratorką w Sun City. Codziennie odbiera po kilka telefonów: – Dzwonią przeważnie emeryci. Pytają, czy nie mamy wolnych miejsc, bo nie wiedzą, gdzie się podziać.**

– Co pani zrobi po 1 lipca? Przecież trzeba będzie płacić za mieszkanie.

– *Nie wiem.*

U Ćwieka mieszka ok. 70 osób w podobnej sytuacji. Częściowo są to emeryci, ale w większości – samotne matki, które nie pobierają 800 plus. Wszyscy oni będą musieli „mieszkać na zasadach komercyjnych" – 750 zł od człowieka, bez wyżywienia. Oprócz matek z dziećmi 100 proc. będą płacić emeryci, którzy mają rodziny w Polsce. Niektórzy już dziś są w dramatycznej sytuacji – jak Lera, która przyjechała do Polski jako 17-latka. Teraz wychowuje samotnie dwóch synów. Starszy, trzylatek, może mieć autyzm. – *Tak mówił pediatra, kazał diagnozować. Próbuję umówić się do specjalisty, do psychologa. Ale nie wiem, dokąd iść, żeby dostać orzeczenie o niepełnosprawności. Nie mogę pracować, bo muszę siedzieć z synem. To jakieś błędne koło.* Kiedy Lera się oddala, syn zaczyna wyć. Dziewczyna nie ma pojęcia, co z tym robić. Na większość pytań odpowiada: – *Nie wiem.*

**Eksmisja**

OZZ przechodzą z gestii MSWiA pod opiekę Ministerstwa Rodziny, ale za jakiś czas mają zniknąć. To też ma sens, bo przecież chodzi o to, by Ukraińcy stali się częścią społeczeństwa. Stałe zmniejszanie dopłat, program „Wspólnie do niezależności" (pomagający w pokrywaniu kosztów wynajmowania mieszkania przez pierwsze pół roku) sprawiły, że liczba mieszkańców stale spada. Jak informuje MSWiA, od 2022 r. przez ośrodki przeszło ponad 500 tys. osób. Dwa lata temu w OZZ mieszkało 40 tys. osób, w marcu 2025 r. – 28 tys., dziś grupa ta liczy13 tys. ludzi. Co zrobić z tymi, którzy ciągle nie radzą sobie poza tym systemem?

Kilka najbiedniejszych rodzin od jakiegoś czasu nie płaci za mieszkanie w Sun City. Lilia udaje, że nie zakwaterowała Lery bezpłatnie, a Marcin Ćwiek udaje, że jej nie zauważa. Ale ośrodek nie może działać charytatywnie.

– I co pan zrobi 1 lipca, kiedy 70 osób straci dopłaty?

– *Powinienem im pokazać cennik i powiedzieć: „Płaćcie albo się wynoście". Będzie to trudne. Nie wyobrażam sobie tego. Znam ich historie, jestem z nimi zżyty. Domy rozbite albo zajęte przez Rosjan. W ich miejscowościach nie ma prądu, dokoła wojna. To są ludzie w dramacie życiowym i to, co ich teraz spotyka, jest okrutne.*

•••

Dr Małgorzata Dziewanowska twierdzi, że dla Ukraińców, którzy trafili do Polski z powodu wojny, najtrudniejszy był brak stabilizacji. – *Mówi się, że mieli cztery lata, żeby wszystko spokojnie ogarnąć. Jednak nie jest tak do końca. Ustawa z 2022 r. była ciągle zmieniana, proces legislacyjny toczył się niemal do ostatniej chwili. Oni nie mieli pewności, czy będą mogli zostać. Pracodawcy nie mieli pewności, czy będą mieli kogo zatrudniać. Wynajmujący nie wiedzieli, czy będą mieli najemców. Wszystko wisiało w powietrzu, a oni przecież uciekli od wojny i starali się funkcjonować w obcym kraju.*

Dr Dziewanowska przypomina, że od 2022 r. Polska zainwestowała dużo sił i środków w przyjęcie uchodźców z Ukrainy. Efektem jest ponadmilionowa społeczność dobrze radząca sobie na rynku pracy. – *Ważne, żeby chcieli zostać, nie mieli poczucia, że zabieramy im wszystko i zmuszamy do wyjazdu. Bo jeśli wyjadą, to znaczy, że wszystko, co w nich zainwestowaliśmy, poszło na marne.*

PAWEŁ RESZKA

© PAWEŁ RESZKA (2)



eprasa.pl fe4ae05645

# Sto twarzy bezsenności

Bezsenność to tortura, ale i znak czasów – epoki pośpiechu i deficytu odpoczynku. Czasów, w których to nie my panujemy nad myślami, lecz one fundują nam gonitwę.



ILUSTRACJA ADELA PODGÓRSKA

PAWEŁ WALEWSKI

Anna Fabrowicz pamięta moment, gdy po raz pierwszy zrozumiała, że sen w jej życiu przestał być czymś oczywistym. – *Po prostu obudziłam się w nocy, nie wiadomo z jakiego powodu, i nie byłam w stanie już spać.* Dziś ma 58 lat, pierwszą lekcję nocnej czujności odebrała około trzydziestki. Żadnej choroby ani katastrofy życiowej. Była wtedy zapracowaną graficzką komputerową, która do późnych godzin wykonywała zlecenia. Regularnie zaczęła wybudzać się około trzeciej nad ranem i przez dwie–trzy godziny chodziła po mieszkaniu, czekając, aż sen wróci jak spóźniony pociąg. Następnego dnia funkcjonowała na kawie i determinacji, jak sama mówi, „drepcząc pół dnia do tyłu".

Zupełnie inny bilet do krainy czuwania wykupiła Beata Turkiewicz, 55-letnia stewardesa. Kiedy zaczynała latać, miała 20 lat i – jak większość ludzi w tym wieku – nie zastanawiała się nad biologicznymi rachunkami, które przyjdzie kiedyś zapłacić. Problem pojawił się po kilkunastu latach pracy w powietrzu. – *Potrafiłam zasnąć, ale po trzech*



eprasa.pl fe4ae05645

***godzinach był koniec spania* – wyznaje.** Wtedy starała się przyciągnąć sen, licząc minuty do budzika, zdając sobie sprawę, że o trzeciej nad ranem jej szanse na regenerację właśnie wyparowały: – *Nie umiałam się zrelaksować, byłam zmęczona, choć musiałam funkcjonować z dwójką małych dzieci i pracą.*

W głowie trwała nieustanna operacja logistyczna: zmiana stref czasowych, poranne i nocne grafiki lotów, rodzina, umierająca matka.

Rafał Cisło, 45-letni prywatny przedsiębiorca z Tomaszowa Lubelskiego, dołącza do tego nocnego chóru z własną wersją męki. 10 lat temu zaczął się wybudzać o 3–4 nad ranem. – *Nigdy nie miałem problemu z zasypianiem, aż pojawiła się męczarnia* – opisuje godziny między nocą a świtem. Żadnej książki, muzyki, tylko nadzieja: – *Leżałem, czekając, aż sen wróci, a pogłębiało się tylko zmęczenie. Później cały dzień do bani, sprawność umysłu słaba, a to rodziło nadgodziny i wpadłem w błędne koło* – opisuje mężczyzna, który czuje się odpowiedzialny za rodzinę z trójką małych dzieci.

## Rodzina problemów

Te trzy historie splatają się w mozaikę bezsenności, gdzie noc staje się areną osobistych bitew i udręki. Co się za tym kryje? Masowa epidemia: 30 proc. społeczeństwa doświadcza problemów ze snem, choć nie wszystkie mają charakter choroby – często stoją za nimi nieregularny tryb życia oraz nadmiar bodźców. Jednak co najmniej połowa z tej rzeszy wymaga uwagi lekarskiej. Kliniczna bezsenność dotyka co 10. osoby, stanowiąc jednak ułamek szerszego spektrum: zaburzenia oddychania w czasie snu, tzw. bezdech senny, to problem ok. 14 proc. mężczyzn i 7 proc. kobiet, zespół niespokojnych nóg dotyczy 5–15 proc. populacji, a zaburzenia rytmu okołodobowego snu i czuwania 7–10 proc.

Bezsenność nie ma więc jednej twarzy. To raczej wspólna nazwa dla całej rodziny problemów: trudności z zasypianiem, wybudzeń w środku nocy albo snu, który – mimo odpowiedniej długości – nie daje odpoczynku. Statystyki są chłodne, ale doświadczenie bezsenności już nie. Bo kiedy ktoś budzi się o trzeciej nad ranem i wie, że za kilka godzin zacznie się dzień, liczby przestają mieć znaczenie. Liczy się tylko jedno pytanie: dlaczego sen – ta najbardziej naturalna z ludzkich czynności – nagle przestaje przychodzić?

Dla prof. Adama Wichniaka z Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie, eksperta z zakresu medycyny snu, pojawienie się gonitwy myśli po zgaszeniu światła nie jest zaskoczeniem: – *Człowiek wręcz musi podsumować dzień i poukładać wszystko w głowie. Jedną z funkcji snu jest właśnie takie porządkowanie.*

W dawnych czasach ludzie mieli na to przestrzeń przed położeniem się do łóżka. Wieczór oznaczał półmrok, rozmowę, powolne wyciszenie. Dziś większość dnia jest wypełniona aktywnością, a jeśli nie jest, to skutecznie wypełniamy go sami. Dlatego dla wielu osób pierwszy moment, w którym naprawdę zostają sam na sam ze swoimi myślami i emocjami, przychodzi dopiero po zgaszeniu światła. Wtedy osierocony przez bodźce umysł zaczyna nadrabiać zaległości: planuje, analizuje, rozlicza.

Jest na to inny sposób – godzinny bufor między dniem a nocą. – *Zamiast rzucać się pod kołdrę z bagażem niedokończonych spraw, warto poświęcić ostatnie 60 minut dnia na rytuał, który oddziela aktywność od regeneracji* – zaleca prof. Wichniak. Zacznij od podstaw – piżama, szlafrok, łazienkowa rutyna. Ale zamiast od razu gasić światło, zatrzymaj się w fotelu. Z notatnikiem w ręku dokonaj krótkiego audytu minionego dnia i przelej na papier wszystko to, co domaga się uwagi jutro. To nie jest zwykłe robienie listy zadań; to akt poznawczego odciążenia. Dopiero gdy troski zostaną zdeponowane na papierze, pozwalasz sobie na przejście do łóżka. Nie idziesz tam, by myśleć – lecz by wreszcie, bez zbędnego balastu, spróbować zasnąć.

## Amfiteatr snu

Pytanie, ilu osobom taki rytuał pomoże? – *Ten, kto nie zasypia, bo w łóżku nie potrafi wyłączyć myśli – zamartwia się i planuje – jest kandydatem do leczenia psychologicznego, które będzie ukierunkowane na jego emocje* – wyjaśnia prof. Wichniak. Istnieje jednak inna kategoria nocnych marków – którzy twierdzą, że pod kołdrą czują się niemal błogo. Nie dręczą ich demony przeszłości, nie budzi ich lęk o stan konta. Leżą, patrząc w sufit z rodzajem bezradnego spokoju, a sen mimo to nie nadchodzi. W takich przypadkach współczesna medycyna porzuca receptariusz na rzecz rygoru terapii poznawczo-behawioralnej. To metoda paradoksalna, przypominająca nieco stoicką dyscyplinę: wzmacniamy sen poprzez jego reglamentację. Skracamy czas spędzany w łóżku, wymuszamy wstawanie rano o nieludzko regularnych porach i nakazujemy opuszczenie sypialni, gdy nocna cisza zaczyna ciążyć. Łóżko ma być amfiteatrem snu, a nie poczekalnią na cud.

Oczywiście biologia wciąż potrafi rzucić kłody pod nogi. Trzecia droga to ta wybrukowana przez somatykę: przewlekły ból, który nie pozwala o sobie zapomnieć, lub cień depresji, który kładzie się na powiekach grubszą warstwą niż zmęczenie. Przez dekady lekarze hołdowali tu sztywnemu, niemal inżynieryjnemu paradygmatowi – jeśli pacjent nie spał, szukano usterki w maszynerii ciała. Diagnoza brzmiała niczym wyrok odroczony: najpierw wyleczymy nadciśnienie, uśmierzymy ból kręgosłupa, spacyfikujemy lęk, a snem zajmiemy się na samym końcu, jako dekoracją na odnowionej fasadzie zdrowia.

– *Sen był traktowany jako luksusowy produkt sprawnie działającego organizmu. Dziś ta hierarchia uległa zmianie* – mówi prof. Wichniak. Stąd u większości pacjentów podstawową metodą leczenia są techniki z zakresu psychologii – wzmacniające sen lub wyciszające szum informacyjny, jaki mózg próbuje desperacko przefiltrować. Interwencje behawioralne mają za zadanie przeprogramować nasze wieczorne nawyki, podczas gdy techniki poznawcze działają jak wyłącznik dla niefunkcjonalnych emocji (uczą, jak uciszyć ten wewnętrzny monolog, zanim przerodzi się on w męczące nocne zamartwiania).

Skoro coraz więcej pacjentów z bezsennością wymaga psychoterapii, czy nie jest to przyznanie się medycyny do porażki? To fałszywy trop. Medycyna działa tam, gdzie ma działać – w chorobie. – *Jeśli bezsenność jest objawem nadczynności tarczycy, przewlekłego bólu, depresji czy zaburzeń lękowych, dysponujemy skutecznymi metodami leczenia i potrafimy pomóc* – twierdzi nasz ekspert. W takich sytuacjach sama terapia poznawczo-behawioralna nie jest pierwszym krokiem, a już na pewno niejedynym. – *Problem zaczyna się tam, gdzie bezsenność nie wyrasta z choroby, lecz z codzienności: z włączonych do późna ekranów, nieregularnych godzin pracy i odpoczynku, stresów w sypialni, która coraz częściej przypomina przedłużenie biura. Tabletka może uśpić na noc, ale nie przeorganizuje dnia ani nie zmieni nawyków. A bezsenność bardzo często jest właśnie historią o nawykach.* ▶



eprasa.pl fe4ae05645

### ▶ Strategie nasenne

Czym zatem można odzyskać noc? Nasi bohaterowie szukali odpowiedzi na to pytanie latami, błądząc między energetycznymi żyłami wodnymi i przemeblowaniem sypialni, amerykańskimi suplementami a surową farmakologią. U Anny Fabrowicz nadejście wieczoru uruchamiało spiralę napięcia: łóżko przestawało być miejscem odpoczynku, stawało się sceną bezsennej warty. Po dwóch latach przypomniała sobie o identycznych problemach matki, która tropiła w domu żyły wodne, rzekomo zakłócające sen. Poszła więc do różdżkarza, który na planie mieszkania nakreślił strzałki i orzekł, gdzie nie powinna spać. To przyniosło czasową ulgę, choć pani Anna przyznaje z sarkazmem: – *Być może uwierzyłam, że w innym miejscu śpi mi się lepiej?* Początkowo unikała konwencjonalnych rozwiązań: – *Melatonina nie działała. Wymaga dyscypliny, a ja jestem mało zdyscyplinowana. Silniejszych proszków się bałam, bo mogą uzależniać.*

Przełom przyszedł wraz z radykalnym remanentem życia. Porzuciła dyktaturę terminów na rzecz projektowania biżuterii. To pozwoliło jej stać się gospodynią własnego czasu – luksus, który w świecie bezsenności wart był więcej niż jakikolwiek kruszec. Dziś jej sen wspiera ćwierć uspokajającej tabletki. Po dekadzie chodzenia „na zwidzie" uznała, że woli spokój dawkowany w miligramach niż nocną matnię. Przyznaje to otwarcie, jak osoba, która w końcu przestała układać się z własnym lękiem przed świtem.

Beata Turkiewicz szybciej wybrała podobną strategię. – *Kiedy wiedziałam, że muszę wstać rano wypoczęta, brałam pół pigułki i przynajmniej te cztery godziny spałam* – opowiada. Przez lata był to jeden z najbardziej rozpowszechnionych leków wśród załóg linii lotniczych – jedna z trzech nasennych „zetek" (zolpidem, zopiklon i zaleplon), o podobnym do benzodiazepin uzależniającym działaniu. Później odkryła odpowiedniki dostępne bez recepty, które w amerykańskich supermarketach stały obok płatków śniadaniowych. – *Nigdy nie lubiłam szamaństwa, wierzę w medycynę* – wyznaje, lecz w końcu odstawiła wszystko. Pomogła ziołowa wersja uspokajająca na start, kluczowe było oczyszczenie głowy i zmiana stylu życia: zachorowanie na covid wykluczyło latanie, leki nasenne kolidowały z jego terapią, a spokojniejszy rytm dnia zrobił resztę. Sen wracał powoli – po latach życia między strefami czasowymi największym luksusem okazała się u pani Beaty przewidywalność.

Rafał Cisło postawił na trzecią drogę – autorski balans między eksperymentowaniem na własną rękę a rygorem higieny snu. Szybko odstawił leki, które podsuwali mu bliscy. – *Nawet jeśli po nich spałem trochę dłużej, następnego dnia nie miałem energii* – przyznaje. Dziś jego wieczorna rutyna przypomina raczej trening niż spontaniczne zasypianie. Telefon przełącza w tryb „nie przeszkadzać", telewizor wyeliminował niemal całkowicie, komputer wyłącza długo przed snem. Zamiast tego – muzyczne audycje radiowe

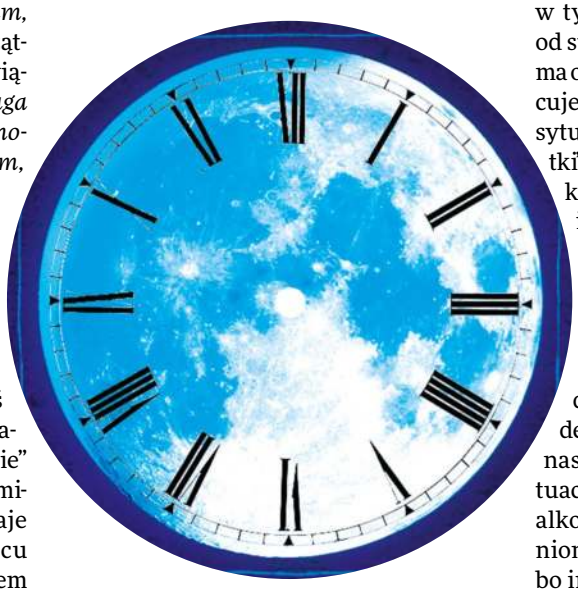

i książki. Do tego regularny ruch: pływanie, bieganie, tenis. Jeśli potrzebuje wyciszenia, sięga po preparaty ziołowe, traktowane bardziej jak środek uspokajający niż nasenny. Najważniejsza jest jednak godzina: – *Jeśli przegapię moment i nie położę się przed 23, mogę być pewien, że obudzę się o trzeciej nad ranem i nie zasnę.*

Prof. Wichniak widzi to tak: – *Współczesna medycyna jest w stanie uśpić mózg, ale nie snem fizjologicznym, który by regenerował, poprawiał samopoczucie i pamięć. Nie potrafimy farmakologicznie leczyć bezsenności, możemy tylko łagodzić jej objawy.*

### Lek, który nie zaszkodzi

Oznacza to, że za pomocą tabletek – i krótkotrwale – można skrócić problemy z zasypianiem, zredukować liczbę wybudzeń, wydłużyć czas snu, lecz aby nie rozkręcić spirali uzależnienia, trzeba z lekarzem ustalić, jak długo co przyjmować: które środki są bezpieczne przez tydzień, które przez dwa–cztery tygodnie, a które przez kilka miesięcy (np. antydepresyjne).

Dlatego nie ma uniwersalnego leku na noc. Wszystko zależy od historii, z jaką pacjent przychodzi. Jeśli mówi, że od kilku dni nie śpi, bo właśnie zmarł mu ktoś bliski albo dowiedział się o poważnej chorobie, jest to ostra reakcja na trudne i stresujące zdarzenie. W takich sytuacjach można sięgnąć po benzodiazepiny (leki z cięższej kategorii, używane ostrożnie, ale skuteczne w stanach silnego napięcia psychicznego). Inaczej wygląda rozmowa z młodym zdrowym człowiekiem, który przyznaje, że sypia źle kilka razy w tygodniu, bo poniedziałek zaczyna od stresującego startu tygodnia, w środę ma odprawę z szefem, a raz w miesiącu nocuje w hotelu podczas delegacji. W takich sytuacjach wyborem są wspomniane „zetki" – krócej działające środki nasenne, które pomagają zasnąć bez głębokiej ingerencji w architekturę snu.

Są też przypadki pośrednie, gdzie bezsenność staje się cieniem długotrwałego stresu. Pacjent uwikłany w wielomiesięczny rozwód czy przewlekłe napięcie w pracy bardziej potrzebuje wyciszających antydepresantów niż klasycznych tabletek nasennych. Jeszcze inaczej wygląda sytuacja osób, które próbują regulować sen alkoholem. Jeśli ktoś jest od niego uzależniony i mówi wprost: „Muszę się napić, bo inaczej nie zasnę", częstym wyborem są leki przeciwpsychotyczne. U starszych pacjentów priorytetem staje się natomiast bezpieczeństwo – dlatego dobrze sprawdzi się melatonina o przedłużonym uwalnianiu (dostępna na receptę), która delikatnie ustabilizuje rytm dobowy.

Prof. Wichniak zwraca uwagę, że za granicą lekarze mają od niedawna jeszcze jedną opcję: nowoczesne leki oreksynowe, regulujące układ odpowiedzialny za czuwanie. W Europie są już zarejestrowane, ale w Polsce wciąż niedostępne – głównie ze względu na cenę sięgającą około stu euro. A szkoda, bo – jak mówi psychiatra – pozwalają przywrócić naturalny sen bez porannego kaca, który bywa nieodłącznym skutkiem silniejszych leków nasennych. W świecie bezsenności to różnica, którą wielu pacjentów natychmiast by doceniło.

PAWEŁ WALEWSKI



eprasa.pl fe4ae05645



**Przewodnik górski bez uprawnień został skazany na więzienie za organizację wyprawy, która zakończyła się śmiercią jednej z uczestniczek. Popyt na usługi takich amatorów nie słabnie, są tańsi i sprawni marketingowo.**

# Spada się tylko raz

W drodze na Mont Blanc

MARCIN PIĄTEK

To miała być przygoda życia. Aneta i Maciej w czerwcu 2018 r. wybrali się we francuskie Alpy. Marzeniem pary 40-latków było wejście na Mont Blanc, ale Aneta, pierwszy raz będąca w wysokich górach, przyznała, że to ponad jej siły. Postanowiła poprzestać na wspinaczce do schroniska na wysokości 3167 m. I poczekać, aż kilkunastoosobowa grupa, w tym jej partner, wrócą z 4806 m, czyli najwyższego szczytu Europy.

Na drodze do schroniska pojawiła się przeszkoda: nasyp śniegu, który trzeba było ominąć. Było stromo, Aneta poślizgnęła się i spadła na skały jakieś 200 m niżej. Zginęła na miejscu. Śmiertelny wypadek uruchomił lawinę pytań. Odpowiedzi były druzgocące dla organizatora wyprawy Zbigniewa B. Okazało się, że wyruszył z klientami po męczącej podróży z Polski i krótkim odpoczynku. Nie sprawdził ekwipunku podopiecznych, nie zalecił włożenia kasków i raków, nie zweryfikował, czy znają techniki asekuracyjne, nie zorganizował szkolenia w tym zakresie. No i nie miał uprawnień wymaganych przez lokalne prawo do prowadzenia komercyjnych wypraw na Mont Blanc. A gdyby nawet je miał, zgodnie z francuskimi przepisami mógł zabrać co najwyżej dwóch klientów. A nie kilkunastu, którzy zresztą w drodze na szczyt się rozdzielili.

## Bez wyobraźni

Proces Zbigniewa B. ciągnął się od 2019 r. Polskie sądy uważały się za niewłaściwe, argumentując, że skoro do tragedii doszło we Francji, niech tam rozstrzyga się kwestia ewentualnej kary dla Zbigniewa B. W końcu sprawa trafiła na wokandę w Polsce, oskarżonemu postawiono zarzut nieumyślnego spowodowania śmierci i na początku kwietnia Sąd Okręgowy w Sosnowcu skazał B. na półtora roku bezwzględnego pozbawienia wolności. Wyrok jest prawomocny, w uzasadnieniu sąd napisał: „Oskarżonemu zabrakło jakiejkolwiek wyobraźni (...). To się skończyło tragedią, a mogło skończyć jeszcze większą".

Zbigniew B. działał na rynku turystyki ekstremalnej od kilkunastu lat. Najpierw jeździł jako uczestnik, ale podpatrzył, że można na tym biznesie nieźle zarobić, i poszedł na swoje. Założył nawet w tym celu stowarzyszenie. Nazwał je Homohibernatus, co w tłumaczeniu na polski oznacza człowiek zamrożony. To złowrogie miano, patrząc przez pryzmat tragicznego losu uczestników wypraw w wysokie góry, nie zniechęcało klientów. Wręcz przeciwnie, na brak chętnych B. nie mógł narzekać. Nawet gdy w środowisku pojawiały się głosy, że z organizowanych przez niego wypraw nie wszyscy wracają. ▶

© SHUTTERSTOCK



eprasa.pl fe4ae05645

▶Po Anecie była Rita Bładyko, która w 2019 r. zmarła w czasie ekspedycji organizowanej przez Homohibernatus na ośmiotysięcznik Manaslu. Wcześniej korzystała z usług tej firmy m.in. w Alpach i Kaukazie. W końcowej fazie podejścia na Manaslu miała kryzys, zdradzała objawy choroby wysokościowej, trzeba ją było eskortować do obozów pośrednich. B. z dwoma innymi klientami zdobyli szczyt, potem dołączył do Bładyko w obozie trzecim na wysokości 6,7 tys. m. Tam kobieta zmarła. Zdaniem lekarzy trzeba ją było jak najszybciej sprowadzić poniżej granicy 5 tys. m.

Gdy pojawiła się informacja, że śledztwo w sprawie tragedii na Mont Blanc ruszyło, na jednym z portali swoje doświadczenia z wyprawy z Homohibernatusem na Denali, najwyższy szczyt Ameryki Północnej, podsumował podpisany z imienia i nazwiska uczestnik. Wspominał: pojechałem tam z nie-agencją, nie-sprzętem, nie-przewodnikami mającymi środki łączności, które nie zapewniały łączności. I ostrzegał, że chcąc wrócić z tego rodzaju wyprawy żywym, należy wystrzegać się usług oferowanych przez B. Ale sądząc po licznych relacjach z wypraw zamieszczonych na internetowym profilu firmy, interes kręcił się świetnie.

B. dawał bowiem konkurencyjne ceny. Aneta i Maciej zapłacili za udział w wyprawie po 2,3 tys. zł. Wynajęcie przewodnika francuskiego kosztowało wówczas cztery razy więcej. – *Jaka cena, taka jakość usługi. Przybywa ludzi, którzy chcą przeżyć ekstremalną przygodę, pochwalić się, wrzucić zdjęcia na media społecznościowe. I nie przepłacić. A w górach są sytuacje, w których jesteś jak saper, czyli mylisz się raz. Żeby zminimalizować ryzyko, trzeba korzystać z fachowców, którzy znają na trasie każdy kamień, nie panikują w razie załamania pogody, mają odpowiedni sprzęt. Swoją drogą, Mont Blanc bez doświadczenia w górach wysokich? Grubo* – uważa Michał, jeden z licencjonowanych przewodników działających w Polsce.

### Na górskie medytacje

Zbigniew B. powołał stowarzyszenie nie bez powodu. Uczestnikom wyprawy podsuwał do podpisu formularz potwierdzający, że są członkami Homohibernatusa i biorą udział w ekspedycji na własną odpowiedzialność. Instruował, że w razie spotkania lokalnej żandarmerii albo licencjonowanych przewodników mają



**Piotr Mazik, zawodowy przewodnik tatrzański, wielokrotnie spotykał na szlakach „nielegałów"**

mówić, że są grupą znajomych na wycieczce. Sąd uznał te zeznania za jeden z dowodów, że B. działał z premedytacją. – *Informował też klientów, że posiada zawodowe uprawnienia i jest wpisany na listę przewodników prowadzoną w Ministerstwie Sportu i Turystyki. Było to kłamstwo* – mówi Bogusław Kowalski, instruktor wspinaczki i alpinizmu oraz biegły sądowy w tych dziedzinach.

Piotr Mazik, prezes Stowarzyszenia Przewodników Tatrzańskich, mówi o nielegalnej konkurencji „przewodnicy instragramowi", bo właśnie poprzez ten portal najchętniej ogłaszają oni organizację np. kursów personalnych, rozwoju duchowego, szkoleń motywacyjnych albo fotograficznych. – *To profile skrojone pod miłośnika gór, ze zdjęciami pięknych widoków i filmową muzyką w tle. Nie możemy nikomu zabronić medytacji w Tatrach, ale to często tylko wabik. W gruncie rzeczy chodzi o wprowadzenie na konkretny szczyt, za opłatą, ale pokątnie, przelewem na telefon albo gotówką do ręki* – mówi.

Zgodnie z Kodeksem wykroczeń podejmowanie się przewodnictwa górskiego i wprowadzanie w błąd co do posiadanych uprawnień podlega karze ograniczenia wolności albo grzywny. Ale najwyraźniej jest to niewystarczająca sankcja, gdyż instagramowych przewodników przybywa. Piotr Mazik: – *Mogli być naszymi klientami i postanowili zrobić nam konkurencję. Ewentualnie nie dostali się na kursy szkoleniowe albo nie byli w stanie ich ukończyć. Zdobycie uprawnień to długi proces, przejście drogi do przewodnika tatrzańskiego pierwszej klasy musi trwać latami. Już sama selekcja jest ostra, a poza tym w trakcie zdobywania uprawnień na najwyższy poziom trzeba mieć minimum 90 dni przepracowanych w roli przewodnika, wykazać się znajomością technik wspinaczkowych oraz wykazem przejść w warunkach letnich i skialpinistycznych* (wspinaczki połączonej ze zjazdem na nartach – przyp. red.). *Całość wieńczy państwowy egzamin.*

Czarnorynkowe przewodnictwo uchodzi płazem i nawet wypadki albo przypadki, w których trzeba było wezwać na ratunek górskie pogotowie, rzadko prowadzą do dochodzenia, jakie były faktyczne role uczestników wyprawy. Jeśli trzymają fason i twierdzą, że wybrali się w góry jako grupa znajomych i nie można nikomu przypisać odpowiedzialności związanej z rolą lidera – a w najbardziej tragicznych przypadkach odpowiedzialnością za nieumyślne spowodowanie śmierci – sprawa się rozpływa. Nawet udowodnienie, że ktoś wziął pieniądze za organizację, nie oznacza, że musi liczyć się z zarzutami.

Piotr Mazik wspomina, że na czarnym rynku długo funkcjonował człowiek, który wprowadzał klientów na trudne i nieoznakowane szczyty odpłatnie, ale nie za przewodnictwo, tylko za robienie zdjęć. Bogusław Kowalski: – *Nie jesteśmy krajem górskim, nie mamy kultury górskiej, więc sędziowie mają nikłą wiedzę na temat ryzyka wiążącego się ze wspinaczką. Swego czasu głośna była sprawa firmy, której szefostwo oskarżono o organizowanie nielegalnych wypraw na Matterhorn. Ustalono, że inkasowali pieniądze od klientów, ale sąd uznał, że zakres działania firmy kończył się na dowiezieniu uczestników na miejsce. Więc w zasadzie są firmą przewozową. I po sprawie.*

### Podróż w przepaść

Przewodnicy z Instagrama starają się nie wchodzić w drogę tym legalnie działającym. Mazik: – *Doskonale wiedzą, że na popularne trasy wychodzimy z klientami rano. Zaczynają swoje wyprawy później, co oczywiście oznacza, że w górach może ich zastać noc.* Rafał, ratownik Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego: – *Mamy mnóstwo pracy. W 2024 r. liczba akcji ratunkowych w polskich Tatrach, w stosunku do 2023, wzrosła o ponad jedną trzecią. Łącznie było ich 1200. Aż 18 wypadków było śmiertelnych. Miniony rok był nieco spokojniejszy, liczba interwencji spadła, ale zginęło 16 osób. Najczęstsze przyczyny to, oprócz utraty równowagi w stromym terenie, brak doświadczenia, brak odpowiedniego*



eprasa.pl fe4ae05645

*ekwipunku albo nieumiejętne korzystanie ze sprzętu.*

Ratownicy TOPR nie wnikają w szczegóły, dlaczego zostali wezwani i jaki udział miał w tym przewodnik tylko z nazwy. Polskie Tatry nie są zbyt rozległe, więc do spotkań tych legalnych i nielegalnych jednak dochodzi. Zdarzało się, że podważanie kompetencji tych ostatnich kończyło się nerwowo. Piotr Mazik mówi, że on sam reaguje głównie w sytuacjach kryzysowych, o włos od wypadku. – *Na przykład, gdy jakiś przyrząd jest źle wpięty. Pokazuję to w obecności klienta, tłumacząc, że opuszczanie go w tej sytuacji to właściwie pewny upadek. Wnioski pozostawiam klientowi. Niedawno na Mnichu miałem taką sytuację: przewodnik bez uprawnień wprowadził na szczyt dwie osoby, ale nie potrafił ich opuścić. W końcu poprosił mnie o zastępstwo, więc zaasekurowałem najpierw ich, a potem jego. Bezpieczne opuszczanie partnera na linie to elementarz wspinania.*

Na zarzuty, że zawodowi przewodnicy wyolbrzymiają problem nieuczciwej konkurencji po to, by nagonić klientów dla siebie, Mazik odpowiada: – *Wiele osób niemających zawodowych uprawnień świetnie radzi sobie na trudnych trasach. Bywa, że wspinają się lepiej niż zawodowi przewodnicy, więc z ich punktu widzenia obowiązek korzystania z kogoś, kto przeszedł kurs i zdał egzamin, nie ma sensu.* Ale pojawiają się przypadki wprowadzania takiego nakazu, np. na Gerlachu. Słowacy zdecydowali, że na najwyższy szczyt Tatr osoby niemające kursów taternickich mogą wejść, tylko wynajmując przewodnika z uprawnieniami. Taka przyjemność kosztuje 2,1–2,8 tys. zł (w zależności od liczebności grupy, maksymalnie może liczyć trzy osoby). Mandat za złamanie tego przepisu jest uznaniowy, ale może iść w setki euro.

Na Gerlach prowadzi kilka dróg i żadna nie jest oznakowana. W minionych latach podczas wspinaczki zginęło kilkoro Polaków, najtragiczniejszy wypadek miał miejsce w styczniu 2022 r., gdy w przepaść spadło trzech młodych mężczyzn. Poszli złą trasą, z której korzysta się latem. Tylko jeden z nich miał uprawnienia przewodnika, ale niewystarczające na Gerlach. W powypadkowych relacjach słowackich ratowników powracało jak refren: nieodpowiedni sprzęt, brak umiejętności, źle wybrana trasa. Uratowani, którzy utknęli albo się zgubili, pokazywali potem, że w błąd



**Zbigniew B. działał na rynku turystyki ekstremalnej od kilkunastu lat**

wprowadziła ich mapa wgrana w zegarek albo w telefon. Zdarzało się też, że taka mapa prowadziła wprost w przepaść.

Michał: – *W wielu krajach Europy zawód przewodnika jest ściśle regulowany. Posiadanie uprawnień zawodowych w jednym kraju unijnym upoważnia do świadczenia usług w innym, ale stosowne zezwolenie trzeba odnawiać co kilkanaście miesięcy. Ale np. w Austrii właściwie co land, to obyczaj. Widać też na rynku tendencje protekcjonistyczne, np. na Matterhornie jest niepisana zasada, że pierwszeństwo mają przewodnicy szwajcarscy. Poszli w to nawet Nepalczycy, którzy wprowadzili obowiązek wynajęcia lokalnego przewodnika. Miałem w związku z tym zabawną sytuację: przydzielono nam jako tzw. liderkę wyprawy nauczycielkę, która o wspinaniu nie miała pojęcia. Pytała mnie, który z tych szczytów przed nami to Everest.*

Michał mówi, że mając w planach trasę, na której niezbędna jest asekuracja, lepiej zapłacić za wiedzę i doświadczenie profesjonalisty. Bo spada się raz. Ale dodaje też, że taka wyprawa to nie zawsze jest sielanka. – *Przewodnicy szwajcarscy są ze szkoły „nie ma przebacz". Mają nieprzekraczalne godziny wejścia i zejścia. Jeśli ktoś się ociąga albo opada z sił, słyszy: podkręcasz tempo albo wracamy.*

### Górski, ale nie wysoko

Popyt na przewodników górskich bez uprawnień bierze się z ich przewagi cenowej, jak również braku świadomości chętnych na takie wyprawy, czym grozi korzystanie z usług amatorów. Inna sprawa to stosunkowo niewielka liczba dostępnych w Polsce przewodników wykwalifikowanych. Piotr Mazik mówi, że w Stowarzyszeniu Przewodników Tatrzańskich tych aktywnych jest obecnie ok. 350, a wśród nich mniej więcej 40 to elita wysokogórskich, czyli ci I i II klasy.

Kolejki do wypraw pod okiem profesjonalistów skróciłyby się, gdyby do działania w Polsce dopuścić tych, którzy przeszli szkolenie za granicą i zdobyli odpowiednie certyfikaty. Czyli przede wszystkim zrzeszonych w międzynarodowym stowarzyszeniu IVBV. Kurs IVBV trwa cztery lata, kosztuje ok. 80 tys. zł, a selekcja jest bardzo ostra. Premiuje się uniwersalność, tzn. oprócz wysokich umiejętności wspinaczkowych, w tym na lodowcach, trzeba bardzo dobrze jeździć na nartach. Polaków z tą legitymacją jest ponad 40. Ale nie mogą legalnie pracować w kraju. Zgodnie z prawem podstawą do uzyskania w Polsce statusu przewodnika zawodowego jest tylko posiadanie legitymacji jednego z przewodników lokalnych. Czyli tatrzańskiego, beskidzkiego lub sudeckiego.

Obie grupy – przewodnicy IVBV i należący do stowarzyszeń lokalnych – mają ze sobą na pieńku. U zarania konfliktu było wprowadzenie na Słowacji, jakieś 20 lat temu, kategorii przewodnika wysokogórskiego, za czym stało właśnie IVBV. W ten sposób Słowacy ograniczyli polskim sąsiadom możliwość pracy na większości tras w swojej części Tatr. Arbitralnie uznając, że polska legitymacja przewodnika tatrzańskiego, nawet I klasy, to za mało. Bo formalnie to tylko przewodnik „górski", a IVBV wymaga „wysokogórskiego". Michał: – *IVBV to prywatne stowarzyszenie, ale ma dużą siłę przebicia, uprawnienia jego członków honoruje się w większości krajów Europy. Niektórzy z naszych doszli do wniosku, że warto iść na ten kurs i zdobyć legitymację. Środowisko przewodników tatrzańskich uznało, że grają pod dyktando Słowaków, zasilają szeregi konkurencji. Do tego doszły personalne animozje.*

Od dłuższego czasu trwają prace nad nowelizacją ustawy o usługach turystycznych, w której ma być na nowo zdefiniowany status zawodowego przewodnika górskiego. Obie skonfliktowane strony nawzajem podejrzewają się o lobbing, który ma im dać rynkową przewagę. Nie wiadomo, czy mają ku temu podstawy. Projekt ustawy nie ujrzał jeszcze światła dziennego. Ponoć w Ministerstwie Sportu i Turystyki nie ma on odpowiedniego przewodnika.

MARCIN PIĄTEK

© AGNIESZKA KNICHNICKA, RAFAŁ KLIMKIEWICZ/EDYTOR.NET



eprasa.pl fe4ae05645

# Ptaki mają głos

O fake newsach i kłótniach w świecie ptaków, plotkowaniu przy karmniku i o tym, że wróbel z poznańskich Jeżyc dogada się z wróblem z warszawskiej Pragi – opowiada prof. Piotr Tryjanowski, ornitolog z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.



Wikłacze, pospolite w Afryce i Azji, mają chropowaty, trochę chuligański ton, którym potrafią konkurenta „przesunąć" o kilka gałęzi dalej bez użycia dzioba.

ZBIGNIEW BOREK: **– Mistrzostwa Polski w Naśladowaniu Ptaków przyciągają coraz więcej uczestników i jeszcze więcej widzów. Dlaczego ludzie tak licznie naśladują ptaki, a nie np. dziki?**

PIOTR TRYJANOWSKI: – To bardzo ciekawe pytanie, bo ono więcej mówi o nas niż o ptakach. Jako jeden z nielicznych elementów przyrody ptaki są jednocześnie powszechne, znane i lubiane, łatwo dostępne i bardzo dźwiękowe. Ich głosy są wyraziste, rytmiczne, często melodyjne, po prostu nadają się do naśladowania. Dzika trudno „zagrać", a śpiew ptaka, przynajmniej niektóry, już tak – i to z gracją i finezją. Ptasi śpiew jest dla nas czymś pozytywnym, kojarzy się z wiosną, bezpieczeństwem, naturą. Naśladując ptaki, trochę wchodzimy w ten świat – to forma kontaktu z przyrodą, ale też rywalizacji i zabawy. W pewnym sensie to taka ludzka wersja ptasiego popisu.

**Czy kiedy rano za oknem słyszę ptasią orkiestrę, to mam do czynienia z poezją miłosną, czy raczej z osiedlową kłótnią o to, kto zajął komu miejsce parkingowe na gałęzi?**

Jeśli przez poezję rozumiemy komunikat kierowany choćby do partnerki, czasem bardzo wyszukany, to w ptasim śpiewie jest sporo z poezji. Śpiew to w dużej mierze akustyczna wizytówka samca – demonstracja kondycji, doświadczenia, „klasy". Ale jest w nim też rzeczywiście rys czegoś, co można nazwać osiedlową kłótnią. Bo w gruncie rzeczy to praktyczna komunikacja. Śpiew często oznacza: „tu jestem, to moje miejsce" – i jest skierowany nie tylko do samicy, lecz również do konkurentów. Ptak potrafi zresztą modulować przekaz: inaczej odzywa się do znanego sąsiada, inaczej, gdy pojawia się intruz. Rzecz ważna: choć mówimy o ptasiej orkiestrze, nie ma tu dyrygenta. Poszczególne gatunki dostrajają się do siebie – w czasie i częstotliwościach – tak, by się nie zagłuszać.

**Czyli inaczej niż w telewizji czy radiu, gdy słuchamy debat polityków?**

Każdy znajduje swoją niszę akustyczną, swoje „okno nadawcze". Dzięki temu ten poranny chór nie jest chaosem, tylko naturalnie uporządkowanym krajobrazem dźwiękowym. Jednocześnie jest to więc poezja i spór o miejsce – miłość i rywalizacja, które w świecie ptaków nieustannie się przeplatają.

**Niektóre ptaki potrafią imitować dźwięk alarmu samochodowego lub płacz dziecka. To po złości czy uważają, że nasz świat jest dźwiękowo ubogi i próbują go ubogacić?**

Skłonność do przypisywania intencji też jest bardzo ludzka... Zdolność imitacji dźwięków nie wynika z chęci robienia nam psikusów, lecz z mechanizmu uczenia się i wykorzystywania zasłyszanych sygnałów. Jeśli coś da się opanować i włączyć do repertuaru, to bywa używane. Trochę jak z nauką języków u ludzi – także egzotycznych czy nawet martwych. Ptasie imitacje są raczej rozszerzaniem repertuaru niż komentarzem do naszego świata. To również dowód, że dla ptaków nasz świat stał się częścią ich świata – także w sensie akustycznym.

**Wielu właścicieli papug przysięga, że nie tylko mówią, ale i pyskują z sensem.**

Niekiedy szukamy partnera do rozmowy tak gorliwie, że dostrzegamy go tam,

© PIOTR TRYJANOWSKI



eprasa.pl fe4ae05645

gdzie go w rzeczywistości nie ma – i nie dotyczy to tylko papug. W ich przypadku mamy do czynienia z ciekawą relacją wzajemną. Z jednej strony są właściciele, często spragnieni kontaktu, rozmowy, relacji. Z drugiej – same papugi również funkcjonują w oderwaniu od swojego naturalnego środowiska społecznego. W efekcie powstaje coś w rodzaju międzygatunkowego układu: nawet jeśli rozmowa nie zawsze ma ścisły sens, to i tak spełnia ważną funkcję. Nie powinniśmy jednak popadać w skrajności i traktować papug jak mówiących automatów czy przypisywać im ludzkiego poziomu rozumienia, choć ich zdolności bywają imponujące.

**Czyli jednak papugują?**

Klasycznym przykładem jest Alex, papuga żako, która stała się obiektem przełomowych badań nad inteligencją zwierząt prowadzonych przez amerykańską psycholożkę porównawczą dr Irene Pepperberg. Alex potrafił rozpoznawać kolory, kształty, liczby, a nawet odpowiadać na proste pytania. Tyle że od razu pojawia się zastrzeżenie: warunki laboratoryjne, intensywne treningi i gatunki wyjątkowo predysponowane poznawczo nie są reprezentatywne dla świata ptaków jako całości.

**Z tego, co pan mówi, wynika, że to my papugujemy.**

Największą przeszkodą w rozumieniu ptaków jest nasze przywiązanie do ludzkiego modelu języka – chcielibyśmy mieć słowa, znaczenia, tłumaczenia jeden do jednego. Tymczasem, nawet jeśli ptaki potrafią łączyć dźwięk z jakimś znaczeniem, nie musi to działać na zasadzie słowo = rzecz. Operują odmiennym systemem komunikacji – kontekstowym, opartym na sekwencjach, tonie, rytmie. To system znaczący, skuteczny, a jednocześnie nie do końca rozumiany jak ludzka mowa.

**Czy wróbel z poznańskich Jeżyc dogada się z wróblem z warszawskiej Pragi, czy może będą na siebie patrzeć z taką samą podejrzliwością jak kibice Lecha i Legii?**

Ptaki z różnych regionów rzeczywiście „mówią" trochę inaczej, dialekty opisano u wielu gatunków. Nie tylko tych egzotycznych – klasycznym przykładem jest paskówka białobrewa, niepozorny ptaszek przypominający wróbla, żyjący w obu Amerykach – ale też naszych, polskich: ortolana, słowika rdzawego, a nawet pospolitej zięby. To zjawisko pod wieloma względami zaskakująco podobne do tego, co znamy z języka ludzkiego: różnice w śpiewie mogą dotyczyć choćby tempa, frazowania czy „akcentu" i są charakterystyczne dla konkretnych populacji. Czy to przeszkadza w porozumieniu? Niekoniecznie. Kluczowa nie jest tylko sama forma sygnału – czyli to, jak brzmi śpiew – ale też gotowość nadawcy i odbiorcy do komunikacji. Jeśli jest „wola rozmowy", to na poziomie gatunkowym ptaki bez większego problemu się dogadują, wróbel z Jeżyc spokojnie więc porozumie się z wróblem z Pragi. Przy okazji zatem pozdrawiam także kibiców Legii.

**A będą komplikacje?**

Mogą się pojawić na poziomie społecznym. Lokalna populacja wróbla może być bardziej podejrzliwa wobec przybysza, a jego odmienny „akcent" może mieć znaczenie w relacjach, zwłaszcza godowych. Taka odmienność bywa też atutem. Obco brzmiący repertuar może wprowadzać nowość do populacji – coś w rodzaju odświeżenia puli genetycznej, co z punktu widzenia procesów ewolucyjnych bywa korzystne. To oczywiście nie działa wprost i mechanicznie, ale pokazuje, że różnice w śpiewie nie są tylko przeszkodą.

**Czy spotykane u ptaków oszukiwanie sygnałami alarmowymi można traktować jak ludzkie fake newsy? Celową dezinformację?**

Sikorka bogatka bywa wręcz mistrzem fałszywych alarmów. Zdarza się, że osobnik wydaje sygnał ostrzegawczy nie dlatego, że widzi drapieżnika, ale po to, by spłoszyć inne ptaki i samemu zyskać dostęp do znalezionych nasion słonecznika czy resztek jedzenia. Tego typu zachowania mogą mieć też funkcję społeczną. Częściej obserwuje się je u samców, można to interpretować jako formę demonstracji: „jestem czujny, odważny, mam dostęp do zasobów". To oczywiście nie jest świadoma manipulacja w ludzkim sensie, ale efekt doboru naturalnego. Co więcej, ptaki potrafią nadużywać nie tylko alarmów przed drapieżnikami. W naszych badaniach pokazywaliśmy, że mogą reagować głosem typowym dla obecności pasożyta lęgowego – kukułki – nawet wtedy, gdy go w okolicy faktycznie nie ma.

**Sprytne, taki lot nad kukułczym gniazdem.**

Taki sygnał również może wywołać zamieszanie wśród innych osobników i przynieść nadawcy korzyść. Szczególnie rozwinięte zdolności do takiego oszukiwania mają ptaki z rodziny krukowatych. To grupa o bardzo wysokich zdolnościach poznawczych, potrafią nie tylko manipulować sygnałami, ale też czytać zachowania innych i reagować na nie w sposób strategiczny. Czy to są fake newsy? W pewnym sensie tak, choć oczywiście ptaki nie mają intencji ani świadomości, jaką przypisujemy ludziom. Ale mechanizm – przekazywanie nie do końca prawdziwej informacji dla własnej korzyści – jest zaskakująco podobny.

**Czy u ptaków podobnie jak u ludzi możemy spotkać osobniki – ujmijmy to tak – wygadane i milczki?**

W naszej części świata podstawowy wzorzec komunikacji u ptaków jest związany z płcią, a nie z „osobowością". Najprościej mówiąc, to samce są zwykle bardziej wygadane, bo to one śpiewają, bronią terytorium i przyciągają partnerki, natomiast samice są z reguły cichsze.

**O czym ptaki plotkują przy karmniku? Obgadują czasem nas, ludzi?**

Gdyby spróbować to przełożyć na język ludzki, ptasie rozmowy przy karmniku raczej nie polegałyby na anegdotach czy ocenach charakteru, lecz krążyły wokół podstawowego pytania: kto jest wrogiem, a kto sprzymierzeńcem? Z naszych badań nad tzw. dystansem ucieczki, czyli tym, jak blisko można podejść do ptaka, zanim zdecyduje się odlecieć, wynika, że ptaki w gruncie rzeczy kategoryzują ludzi w pragmatyczny sposób.

**W jaki?**

Ich komentarze o nas dałoby się sprowadzić do trzech podstawowych komunikatów. Po pierwsze: czy warto uciekać, czyli czy człowiek stanowi zagrożenie. Po drugie: czy warto go wykorzystać, bo może przynosi jedzenie albo stwarza okazje do jego zdobycia. Po trzecie wreszcie: ignorować, bo ani nie szkodzi, ani nie pomaga. I ta trzecia kategoria jest szczególnie ciekawa. W środowiskach miejskich widzimy coraz więcej ptaków – gołębie miejskie, wróble, a w tropikach to nawet marabuty – które nie reagują na obecność człowieka, bo „uznały", że to bodziec nieistotny. Z ich punktu widzenia to racjonalne – każda reakcja kosztuje czas i energię, które można przeznaczyć choćby na żerowanie.

**Jeśli więc codziennie będę się „kłócił" z gołębiami, które nie dają mi spać albo śmiecą na balkonie, to nic nie wskóram?**

Jeśli bodziec – hałas, gest czy „kłótnia" – pojawia się zawsze w ten sam sposób i o tej samej porze, zwierzęta szybko się do niego przyzwyczajają i przestają reagować. ▶



eprasa.pl fe4ae05645

▶ Inaczej jest, gdy sygnał ma charakter nieregularny, trudny do przewidzenia. Wtedy znacznie trudniej go zignorować, bo nie da się go łatwo wpisać w bezpieczny schemat. I to ma praktyczne znaczenie, także kiedy ludzie próbują odstraszać ptaki. Uczymy się ignorować bodźce, które nic dla nas nie znaczą, dotyczy to także ludzi. Gdybyśmy reagowali na każdy sygnał z otoczenia, bylibyśmy poznawczo przeciążeni – to dlatego telemarketerzy stosują wciąż nowe metody zagajania rozmów i telefonują do nas o różnych porach dnia.

**Gdybyśmy więc chcieli stworzyć słownik ptasio-polski, od czego powinniśmy zacząć?**

Dobrym punktem wyjścia byłaby *tabula rasa*, czyli próba słuchania bez narzucania gotowych kategorii. Jeśli jednak mielibyśmy szukać czegoś najbardziej podstawowego, to nie konkretnego „słowa", ale typu sygnału. Najważniejsze byłyby te dźwięki, które informują o zagrożeniu, np. alarmy ostrzegające przed drapieżnikiem, często zrozumiałe nie tylko w obrębie jednego gatunku. Z tego też wynika coś o nas samych: lubimy ptasi śpiew m.in. dlatego, że jest dla nas sygnałem bezpieczeństwa. Gdy ptaki śpiewają spokojnie, oznacza to, że nie wykrywają zagrożenia, a więc i my możemy się czuć bezpiecznie. A czy da się tego nauczyć? W ograniczonym stopniu tak, zwłaszcza jeśli chodzi o rozpoznawanie alarmów czy podstawowych wzorców. Ale pełne tłumaczenie na ludzki język jest poza naszym zasięgiem.

**Czy nadejdzie dzień, w którym dzięki technologii AI naprawdę porozmawiamy z ptakami?**

Z jednej strony, technicznie jesteśmy na drodze, która rzeczywiście może nas doprowadzić do czegoś w rodzaju rozmowy z ptakami. Już dziś potrafimy całkiem dobrze interpretować niektóre sygnały – zarówno dźwiękowe, jak i wizualne. Wiemy, że określone typy głosów oznaczają np. zagrożenie, obecność drapieżnika czy kontakt między osobnikami. Co więcej, ptaki stają się bardzo ważnym modelem do badań nad samą naturą języka. W tym kontekście szczególnie istotnym gatunkiem jest zeberka – niewielki ptak pochodzący z Australii. Jeśli chodzi o rozwój zdolności komunikacyjnych, okazuje się nawet lepszym modelem niż klasyczne ssaki laboratoryjne. Z drugiej strony, nasza wiedza o „języku" ptaków wciąż jest ograniczona. Rozumiemy fragmenty systemu, ale daleko nam do pełnego przekładu czy dialogu w ludzkim sensie. To raczej rozszyfrowywanie pojedynczych sygnałów niż swobodna rozmowa.

**Często mówi się o „ptasim móżdżku" w kontekście niskiej inteligencji. Patrząc na to, jak ptaki komunikują się i radzą sobie także w miastach, czy to nie jest tak, że to my mamy problem ze zrozumieniem ich geniuszu, bo nie nadajemy na tych samych falach?**

Problem polega nie na braku inteligencji u ptaków, tylko na tym, że przez długi czas źle ją mierzyliśmy. W XIX w. badania nad porównawczą psychologią i mózgiem opierały się na obserwacjach kur, które zdecydowanie nie są najlepszym przykładem poznawczego maksimum. Na tej podstawie utrwalił się obraz ptasiego mózgu jako prostego i mało wydajnego. Dziś wiemy, że ptaki mają wprawdzie mniejsze mózgi niż ssaki, ale inaczej zorganizowane. Kluczowe nie jest tylko ile, ale jak. Struktury odpowiedzialne za pamięć przestrzenną, orientację czy koordynację ruchu bywają u nich bardzo dobrze rozwinięte. Dzięki temu świetnie radzą sobie w nawigacji czy zapamiętywaniu miejsc, co w ich świecie jest najważniejsze. W tym sensie rzeczywiście nie nadajemy na tych samych falach i ich geniusz często nam umyka.

**Mądre inaczej.**

My oczekujemy inteligencji w ludzkiej formie – języka, abstrakcji, technologii – a ptaki wyspecjalizowały się w innych obszarach. Zamiast więc mówić o „ptasim móżdżku", lepiej powiedzieć: mamy do czynienia z innym typem inteligencji – nie gorszym, tylko dostosowanym do innych wyzwań. Wciąż uczymy się go rozpoznawać.



Prof. dr hab. **Piotr Tryjanowski** – kierownik Katedry Zoologii na Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu. Biolog, ornitolog, specjalista z ekologii behawioralnej, od wpływu klimatu, ptaków krajobrazu rolniczego i ekologii miast. Działa w międzynarodowych i krajowych zespołach badawczych, członek rady Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, zarządu Fundacji Natura International Polska oraz rad naukowych instytutów badawczych PAN.

**Czy ptaki nam się opłacają? Proszę wybaczyć dosadność tego pytania, ale odnoszę wrażenie, że za wszelką cenę próbujemy je wykorzystać do praktycznych celów.**

Rzeczywiście, np. w Szwecji pojawił się nawet pomysł na start-up, który zatrudniał krukowate do zbierania niedopałków: ptak wrzuca odpad do specjalnego urządzenia i dostaje w zamian pokarm. Ptaki z rodziny krukowatych – kruk, wrona siwa czy sroka – potrafią rozwiązywać problemy, używać narzędzi, planować działania.

**A może wystarczy samo słuchanie ich śpiewu?**

Na początku to jest przyjemne tło, ale z czasem uczymy się rozpoznawać gatunki. I okazuje się, że to nie jakiś śpiew, tylko kos albo szpak. Pojawia się więc element rozpoznania, a wraz z nim tzw. efekt nagrody. Mózg reaguje na to wyraźnie, już kilka tygodni uważnej obserwacji może mieć mierzalny wpływ na funkcjonowanie pamięci. Ptasie wokalizacje mogą działać kojąco, obniżać poziom stresu, regulować uwagę. To nie jest już tylko metafora muzyki natury, ale coś, co mierzymy i opisujemy naukowo.

**Czy wyobraża pan sobie życie bez ptaków?**

Nie, chyba jestem od nich uzależniony, nie tylko jako naukowiec, ale też jako ktoś, u kogo ta fascynacja zaczęła się jeszcze w dzieciństwie.

**To tylko kwestia osobista?**

Ludzkość również nie poradziłaby sobie bez ptaków. W sensie biologicznym ich rola jest fundamentalna. W latach 50. i 60. minionego wieku Chińczycy wybili 1–2 mld wróbli polnych, czyli też dobrze nam znanych mazurków, bo Mao Zedong obliczył, że skoro każdy wróbel zjada określoną ilość ziarna rocznie, to ich likwidacja pozwoli wyżywić dodatkowe miliony ludzi. Skończyło się to katastrofą: eksplozją liczby owadów i poważnymi stratami w rolnictwie. To pokazuje, że ptaki są częścią systemu, który utrzymuje równowagę w przyrodzie. Ptaki to także ogromna część naszego doświadczenia świata – dźwięków, rytmu dnia, pór roku. One wzmacniają naszą wrażliwość estetyczną, budują coś trudnego do nazwania: poczucie, że jesteśmy częścią większej całości. Bez nich naprawdę trudno wyobrazić sobie świat, który nadal byłby naszym światem.

ZBIGNIEW BOREK

© ARCHIWUM PRYWATNE



eprasa.pl fe4ae05645

# NOWE WYDANIE JUŻ W SPRZEDAŻY







Czerwcowe Zwierciadło dostępne z dwoma naturalnymi kosmetykami **ARGANOVE** do wyboru:

naturalny hydrolat różany do twarzy i ciała
mineralny dezodorant naturalny w sprayu orange & cydr
mineralny dezodorant w sprayu patchouli & bergamot
oraz
mineralny dezodorant naturalny w kulce GREEN TEA
mineralny dezodorant naturalny w kulce AMBRA




ZWIERCIADLO.PL

RÓŻNE RODZAJE DODATKÓW ORAZ OKŁADEK DOSTĘPNE W WYBRANYCH PUNKTACH SPRZEDAŻY

MagazynZwierciadlo  zwierciadlo_miesiecznik  sklep.zwierciadlo.pl

eprasa.pl fe4ae05645



Polacy pokochali wakacje pod palmami. W ubiegłym roku na zagraniczny wypoczynek z biurami podróży ruszyło blisko 10 mln rodaków. W tym roku jednak wojna w Zatoce Perskiej sprawiła, że pojawił się niepokój: może bezpieczniej plaże w egipskiej Hurghadzie czy tureckiej Antalyi zamienić na Mielno albo Kołobrzeg?

# Rok lastów

ADAM GRZESZAK

*To będzie rok lastów* – prorokuje Maciej Nykiel, prezes biura podróży Nekera. Lasty, czyli oferty last minute, to wczasy sprzedawane przez biura podróży w ostatniej chwili, kilka dni przed wyjazdem, po obniżonej cenie. Polowanie na takie okazje od dawna jest pasją sporej grupy miłośników podróży. W tym roku okazji nie zabraknie, bo wyjątkowo wiele osób waha się, jak spędzić tegoroczne letnie wakacje.

Wybrać wypoczynek krajowy czy zagraniczny? I dokąd ruszyć? W biurach podróży przyznają, że przybywa osób, które wprawdzie są zainteresowane wyjazdem, ale decyzję odkładają na później. – *Tłumaczą, że czasy są niepewne, nie wiedzą, czy do chwili wyjazdu nie wzrośnie cena. Staramy się je przekonywać, oferując za niewielką dopłatę gwarancję niezmienności ceny. Można też skorzystać z ubezpieczenia od rezygnacji z wycieczki, które umożliwia odzyskanie całości kwoty bez żadnego tłumaczenia, jakie są przyczyny odstąpienia od umowy* – wyjaśnia prezes Nykiel.

Rosnąca liczba wahających się sprawia, że biura podróży do końca nie wiedzą, ile miejsc sprzedadzą w regularnej cenie, a ile trzeba będzie oferować jako last minute. A na takie okazje czekają ci, którzy gotowi są polecieć byle gdzie i byle kiedy, aby tylko za pół ceny spędzić tydzień w hotelu all inclusive. Bo wypoczynek all inclusive, czyli z pełnym wyżywieniem i bezpłatnymi alkoholami, to dziś polska turystyczna opcja domyślna.

Touroperatorzy lastów nie lubią, wolą jak najszybsze rezerwacje, czyli ofertę first minute, którą potrafią oferować za cenę często bardzo atrakcyjną. Ale co zrobić, gdy nie wszyscy chcą planować wakacje z wielomiesięcznym wyprzedzeniem, a pokoje hotelowe w kurortach i fotele w czarterowanych samolotach biuro

© ARTUR BOGACKI/SHUTTERSTOCK



eprasa.pl fe4ae05645



Klif w Orłowie

podróży kontraktuje rok wcześniej w ciemno, nie wiedząc, czy nie zdarzy się w kraju i na świecie coś, co przestraszy lub popsuje nastroje klientom. Dlatego, jeśli nie wszystko się sprzeda, lepiej na finale zrobić przecenę, niż płacić za niewykorzystane miejsce. Branża turystyczna, choć obraca miliardami (27 mld zł w 2025 r.), nie jest szczególnie zyskowna. W ubiegłym roku – jak obliczył Instytut Badań Rynku Turystycznego Traveldata – na jednym kliencie zarabiała średnio 110 zł.

### Wakacje z Donaldem

W tym roku branża szykowała się na bicie kolejnego frekwencyjnego rekordu, ale stało się: prezydent Donald Trump zafundował światu rollercoaster z wojną w Zatoce Perskiej i kryzysem energetycznym. Branża turystyczna odczuła to natychmiast i bardzo boleśnie. – *Nie wysyłaliśmy wprawdzie turystów do krajów Zatoki Perskiej, ale ta wojna pokrzyżowała nam plany* – przyznaje Wioletta Drozdowska z biura Albatros Travel. – *Korzystaliśmy z linii lotniczych z Zatoki, głównie Emirates i Qatar Airways, oraz lotnisk w Dosze i Dubaju jako portów przesiadkowych w wycieczkach do południowej Azji i Afryki. Po wybuchu wojny nagle musieliśmy sprowadzić do kraju turystów, którzy utknęli w Wietnamie czy Tajlandii, a potem znaleźć nowe trasy i inne linie lotnicze, by wysłać kolejne grupy naszych turystów*. Nowymi przewoźnikami biura zostały Turkish Airlines, Lufthansa i Finnair. Lot okazał się za drogi, choć wycieczki Albatrosa do tanich nie należą.

Biura podróży odczuły skutki wojny, gdy nagle musiały wykreślić z oferty turystycznej popularne kraje Zatoki Perskiej, ale boleśniejsze było uderzenie w transport lotniczy, będący podstawowym środkiem komunikacji. Co piąty pasażer odlatujący w ubiegłym roku z polskich lotnisk leciał samolotem czarterowym. I oto nagle paliwo lotnicze zdrożało o 100 proc. Co gorsza, pojawiły się problemy z jego dostępnością, bo europejskie porty lotnicze zaopatrywały się dotychczas u producentów z Zatoki Perskiej. „Ocena potencjalnych niedoborów paliwa lotniczego, dokonana przez Międzynarodową Agencję Energetyczną (IEA), jest niepokojąca" – ostrzegł Willie Walsh, dyrektor generalny Międzynarodowego Zrzeszenia Przewoźników Powietrznych IATA. „Szacujemy, że pod koniec maja możemy zacząć obserwować odwołania lotów w Europie z powodu braku paliwa lotniczego".

Stowarzyszenie lotnisk Airports Council International (ACI) Europe wystosowało do UE ostrzeżenie, że w ciągu najbliższych trzech tygodni na lotniskach może go zabraknąć. Większość linii lotniczych wdrożyła plany oszczędnościowe, niektóre zredukowały siatkę połączeń. Komisja Europejska obiecała na wypadek sytuacji nadzwyczajnej nadać priorytet dostawom paliwa lotniczego. UE szuka nowych dostawców, w tym także w USA, ale jest z tym problem, bo amerykańskie paliwo różni się nieco od europejskiego. Minister energii Miłosz Motyka zapewnia, że nie ma sygnałów, żeby w Polsce paliwa miało zabraknąć, a krajowe rezerwy są „na odpowiednio dużym poziomie", cokolwiek to miałoby oznaczać.

– *Spośród polskich touroperatorów na razie tylko biuro ETI, specjalizujące się w ofercie egipskiej, wprowadziło dopłatę paliwową. Inne starają się utrzymywać ceny* – wyjaśnia Marzena Buczkowska-German z serwisu wakacje.pl, największego multiagenta na polskim rynku turystycznym. Dodaje, że największe biura podróży korzystają z hedgingu paliwowego – instrumentu finansowego będącego rodzajem ubezpieczenia chroniącego przed skutkami nagłego wzrostu ceny paliwa.

– *Nie było jeszcze przypadku, by zabrakło paliwa dla samolotów czarterowych. Żaden przewoźnik nam nie sygnalizował tego problemu. Braki pojawiały się na lokalnych lotniskach we Włoszech, ale w Polsce paliwo jest dostępne* – uspokaja prezes Nykiel, szef biura podróży, którego głównym akcjonariuszem ma niebawem zostać Enter Air, jedna z największych linii czarterowych w Europie. Największe polskie biuro podróży Itaka stworzyło nawet własną linię czarterową Air 001 z czterema Airbusami.

– *Wpływ sytuacji międzynarodowej dostrzegamy głównie w ostrożności klientów i dopytywaniu o kwestie organizacyjne, ale nie w rezygnacjach z wyjazdów. Rynek pozostaje stabilny, a zainteresowanie ofertą rośnie wraz ze zbliżającym się sezonem* – zapewnia dyr. Magda Plutecka z biura Sun & Fun Holidays, przyznając, ▶



eprasa.pl fe4ae05645

▶ że w marcu widać było pewną dezorientację, więc rezerwacje siadły. – *Wojna w Zatoce Perskiej sprawiła, że wielu klientów szuka miejsc oddalonych od rejonu konfliktu. Więc zamiast Egiptu i Turcji raczej Grecja albo Hiszpania* – wyjaśnia Kinga Woźniakowska, PR menedżerka w Rainbow Tours.

### Filary się chwieją

Turcja i Egipt to zawsze były dwa filary letniego zagranicznego wypoczynku Polaków. Jednak dziś znajdują się zbyt blisko regionu konfliktu, więc ich popularność osłabła. Podobnie jak Cypru, nad którym zestrzelono irańskiego drona i też gorzej się sprzedaje. Zwłaszcza że MSZ w swoich ostrzeżeniach napisało, że jeśli dojdzie do zakłóceń w ruchu lotniczym, to mogą się pojawić kłopoty z opuszczeniem wyspy.

– *Tradycyjnie na szczycie popularności lokują się Włochy i Hiszpania, ale spore wzrosty notuje też Malta, Chorwacja, a nawet Maroko* – wylicza prezes Nykiel. I dodaje, że kolejnym nietypowym zjawiskiem tego roku jest spore zainteresowanie pobytami w zagranicznych hotelach, do których klienci zamierzają dojechać własnym autem. – *To głównie bliska zagranica: Czechy, Węgry, Słowacja, Chorwacja, ale także nieco dalej leżąca Bułgaria.* W czasach PRL wczasy w Bułgarii, dokąd dojeżdżało się własnym autem, to była wakacyjna górna półka. Dziś taka wyprawa traktowana jest jako ekstrawagancja, bo po co jechać tam, gdzie można dolecieć? – *Podróż samolotem jest szybsza i tańsza, zwłaszcza że Bałkany obsługują tanie linie. Samochód zaczyna się opłacać, gdy jedzie nim cztery–pięć osób* – przekonuje prezes Nykiel.

Dawno minęły czasy, gdy zagraniczny wyjazd z biurem podróży był osiągalny tylko dla lepiej zarabiających. Dziś ten model wypoczynku bardzo się zdemokratyzował i najtańsze oferty bywają tańsze od wczasów w kraju. – *Przykładowo tydzień w czerwcu w czterogwiazdkowym hotelu w Tunezji, all inclusive, kosztuje 1,9–2 tys. zł, podobnej klasy hotel w Marsa Alam w Egipcie 2,3–2,5 tys. zł* – wylicza Magda Plutecka. Oczywiście w szczycie sezonu letniego, czyli w czasie wakacji szkolnych, ceny są wyższe.

– *W tym roku ceny rosną, ale średnio o 3–6 proc., więc można powiedzieć, że w tym samym tempie co inflacja* – zauważa Jarosław Kałucki, ekspert branży turystycznej. Mimo to branża zdjęła różowe okulary. – *Brałem niedawno udział w spotkaniu szefów biur podróży i okazało się, że jestem największym optymistą. Koledzy prorokują, że będzie to trudny rok, musimy się przygotować na niższe marże, a o dwucyfrowym wzroście, jak przed rokiem, możemy zapomnieć* – wyjaśnia prezes Nykiel.

### Nie ma jak w domu

Okazuje się, że w tym roku przybywa osób, które wakacje zamierzają spędzić w kraju, i to nie dlatego, że nie stać ich na urlop za granicą – po prostu wolą nie oddalać się zbytnio od domu. Co zaskakujące, nie jesteśmy w tym odosobnieni. Według najnowszego raportu Europejskiej Komisji Podróży, badającego nastroje podróżnych w Europie, 82 proc. obywateli UE w tym roku wybiera się na jakiś wyjazd między kwietniem a wrześniem. „Europejczycy stają się bardziej rozważni i selektywni w sposobie podróżowania. W szczególności podróżni planują krótsze wyjazdy w porównaniu z ubiegłym rokiem" – piszą autorzy raportu. „Napięcia geopolityczne i rosnące koszty coraz bardziej wpływają na decyzje dotyczące podróży. Bezpieczeństwo stało się głównym kryterium wyboru celu podróży". Dlatego tego lata Europejczycy wyraźnie preferują podróże po Europie. Polska jest tu wymieniana jako jedno z najatrakcyjniejszych nowo odkrytych miejsc turystycznych. Bo oczywiście nie stajemy do rywalizacji ze starymi liderami, cierpiącymi z powodu zjawiska overtourismu, jak Francja, Włochy czy Hiszpania.

Polska jako destynacja turystyczna jest atrakcyjna nie tylko dla Niemców, Czechów, Litwinów i innych europejskich nacji, ale także dla Polaków. – *W tym roku zanotowaliśmy wzrost liczby rezerwacji wakacyjnych pobytów hotelowych o 50 proc.* – wyjaśnia Eugeniusz Triasun z serwisu rezerwacyjnego travelist.pl. – *Dominuje Bałtyk, zwłaszcza zachodniopomorskie kurorty: Kołobrzeg, Świnoujście, Mielno, Międzyzdroje. Nieco mniejsze jest zainteresowanie górami. Tu mamy nie tylko Zakopane, ale także Karkonosze ze Szklarską Porębą czy Karpaczem. I wreszcie jeziora, zwłaszcza Mazury.* Ceny? W czterogwiazdkowym hotelu nad Bałtykiem płaci się ok. 700 zł za dobę z wyżywieniem. Szybko rozrastająca się baza hotelowa wysokiej kategorii sprawia, że przybywa zamożniejszych klientów, których dotychczas odstraszała siermiężność wypoczynku w kraju.

Dla mniej zamożnych jest też dużo tańsza opcja budżetowa na kempingach czy w kwaterach prywatnych. Polska Organizacja Turystyczna przepytała w ubiegłym roku Polaków o plany wakacyjne. 61 proc. zadeklarowało, że zamierza na swój główny (najdłuższy lub najważniejszy) wyjazd ruszyć w Polskę, nieco mniej niż jedna trzecia (31 proc.) chciała zaś wybrać się na urlop za granicą. Kto i dokąd się wybrał, nie wiadomo, bo sposób spędzania wakacji jest nie tylko formą wypoczynku, ale też demonstracją aspiracji i statusu. Nieprzypadkowo mówi się o coraz popularniejszej „turystyce instagramowej", czyli odwiedzaniu tylko tych miejsc, którymi można zaimponować znajomym, publikując zdjęcia w social mediach. Takie miejsca z angielska zwane są *instagrammable*.

Można je znaleźć też w kraju, bo Polska pozostaje najważniejszym miejscem wypoczynku Polaków. I to mimo rozmaitych problemów, a zwłaszcza wyjątkowo nieprzewidywalnej pogody. Z badania CBOS z 2024 r. wynika, że wprawdzie Polska dominuje jako wyłączne miejsce spędzenia wakacji (ale tylko dla 31 proc. osób), jednak badacze zwracają uwagę na szybko rosnący udział wakacji zagranicznych. Być może ten rok wyhamuje to zjawisko, choć raczej go nie odwróci. Polacy są ciekawi świata i nawet Donald Trump ich do zagranicznych wyjazdów nie zniechęci. I to nie tylko do spędzania czasu pod palmą przy hotelowym basenie, ale też podczas coraz popularniejszych city breaków, czyli weekendowych wycieczek do europejskich metropolii. Do Rzymu, Londynu czy Amsterdamu, ale także do Gdańska, Krakowa czy Poznania.

Pamiętajmy też, że według danych Eurostatu 25,5 proc. Polaków powyżej 16. roku życia w 2024 r. nie wyjechało nawet na krótkie wakacje, bo ich nie było na to stać. Możemy się tylko pocieszać, że w innych krajach UE procent takich osób jest wyższy: w Rumunii – 58,6 proc., w Grecji – 46 proc., w Bułgarii – 41,4 proc., na Węgrzech – 39,3 proc., w Portugalii – 35,2 proc. Takie osoby mogą jednak wypoczywać w trybie staycation. To urlop spędzany we własnym domu. Unikasz pakowania, korków, kolejek na lotniskach i problemów z logistyką – reklamują staycation jego zwolennicy. Do tego dochodzi wątek ekologiczny, bo zostawiasz mniejszy ślad węglowy. Przecież tydzień urlopu, zwłaszcza taki z podróżą samolotem, jest bardziej uciążliwy dla środowiska niż pięć tygodni normalnego życia w domu.

ADAM GRZESZAK



eprasa.pl fe4ae05645

# Kto się zajmie najmem

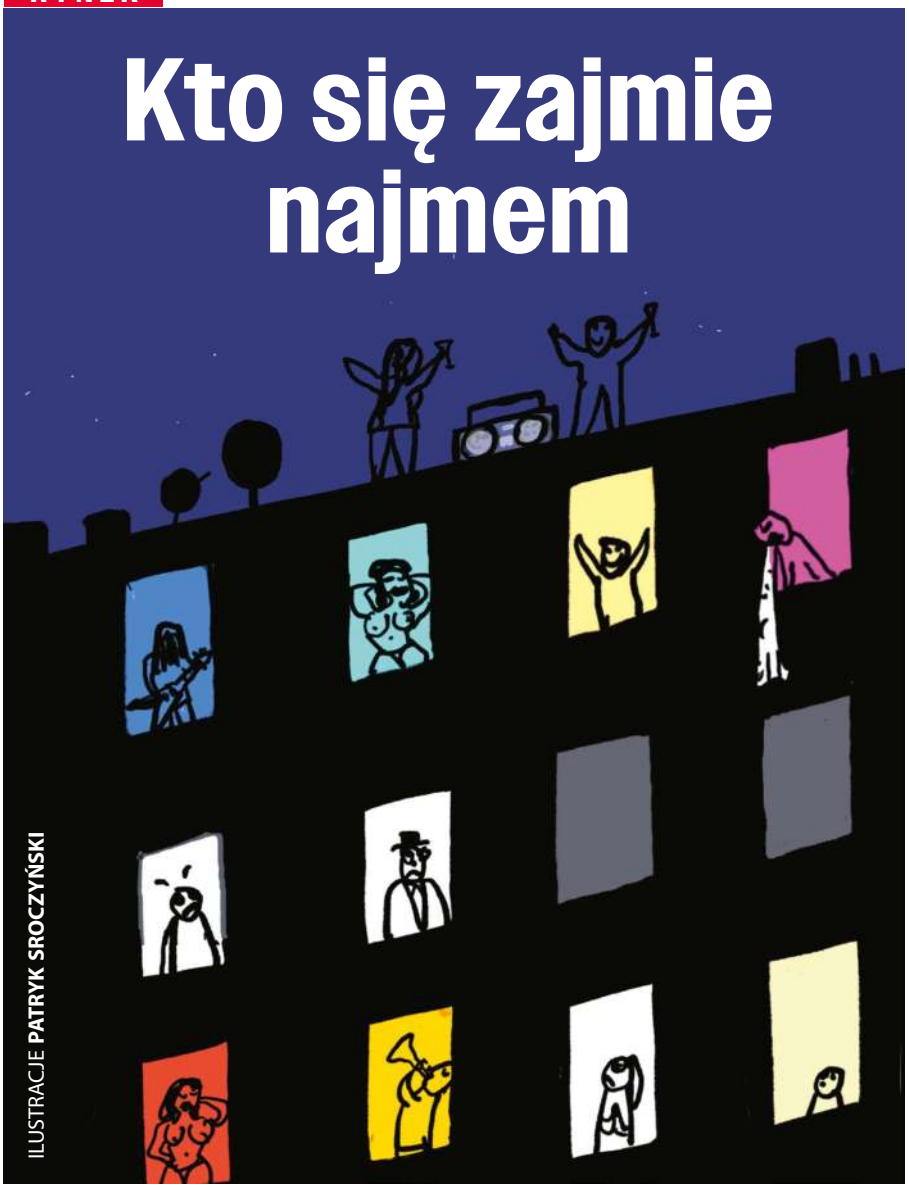

ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

**Mieszkanko w bloku zamiast pokoju w hotelu? – dla turystów świetne rozwiązanie, dla sąsiadów utrapienie. Koalicja spiera się, jak ograniczać najem krótkoterminowy. Opozycja udaje, że nie widzi problemu hałasów i wyludniających się centrów miast.**

**CEZARY KOWANDA**

Ile ich jest, nikt w Polsce dokładnie nie wie. Teoretycznie trzeba je rejestrować w urzędzie gminy, ale wielu właścicieli tego nie robi, a część samorządów takich danych nawet nie zbiera. Mieszkania przeznaczone na najem krótkoterminowy wywołują ogromne emocje.

Bo z jednej strony jako turyści lubimy z nich korzystać – są znacznie wygodniejsze od hotelowych pokoi, lepiej wyposażone, a przy tym często tańsze. Jednak jako mieszkańcy nie chcemy takich lokali na swojej klatce, zwłaszcza gdy wynajmujący je nie przejmują się ciszą nocną ani przepisami porządkowymi. – *Oceniamy, że w całej Polsce na najem krótkoterminowy przeznaczonych jest ok. 85 tys. obiektów. Z tego 50 tys. to mieszkania, a na resztę składają się domy jednorodzinne, aparthotele i miejsca mniej standardowe, jak barki czy łodzie. Wśród 50 tys. mieszkań ok. 60 proc. jest w szarej strefie. Ich właściciele najczęściej udają, że prowadzą zwykły najem, a nie usługę hotelarską. Tymczasem najem krótkoterminowy jest właśnie taką usługą* – podkreśla Grzegorz Żurawski, prezes Polskiego Stowarzyszenia Wynajmu Krótkoterminowego.

**Symbolem tego zjawiska są małe skrytki instalowane przy wejściach do budynków albo na drzwiach mieszkań.** Po ich liczbie widać, jak bardzo taka forma najmu zyskała na znaczeniu. Zazwyczaj przekazanie kluczy do apartamentu odbywa się zdalnie – turysta po zapłaceniu za pobyt na portalu rezerwacyjnym dostaje kod, dzięki któremu otwiera skrytkę i zabiera klucze. Jeśli znajduje się ona wewnątrz budynku, osobno dostaje kod do domofonu. Dzięki temu można zameldować się o dowolnej porze, także późno wieczorem czy w nocy. Podobnie przebiega wymeldowanie: klucze trzeba zostawić w tej samej skrytce do określonej godziny. Właściciele i turyści zazwyczaj w ogóle się nie widzą, kontaktują się najczęściej poprzez komunikator WhatsApp.

Modnym tematem w Polsce jest ostatnio deregulacja, mająca podobno same zalety. Na rynku mieszkań udających hotele możemy się przekonać, jak działa ona w praktyce. Brak jasnych przepisów doprowadził do podziału rynku na dwie strefy.

W jednej są ci, którzy nie zgłaszają swoich mieszkań do gminnych rejestrów usług hotelarskich i z urzędami skarbowymi rozliczają się tak, jakby wynajmowali mieszkanie na zwykłych zasadach. Płacą zatem tylko ryczałt w wysokości 8,5 proc. dochodów. To przede wszystkim prywatni właściciele, którzy mają jedno lub kilka mieszkań na portalach rezerwacyjnych. Najpopularniejszym z nich jest amerykański Airbnb, drugi ważny gracz to zarejestrowany w Niderlandach Booking.

Drugą strefę tworzą ci, którzy podkreślają, że działają w zgodzie z przepisami i przyznają się przed urzędami skarbowymi do prowadzenia działalności gospodarczej w lokalu. To przede wszystkim operatorzy, którzy podpisali umowy z właścicielami i zarządzają ich lokalem, szukając najemców wśród turystów. Właściciele na co dzień się tym nie zajmują – inkasują tylko co miesiąc zysk, uzależniony od tego, ile osób skorzystało z ich apartamentu. Operatorzy podkreślają, że oni płacą znacznie wyższe podatki od tych działających w szarej strefie (np. inną stawkę podatku od nieruchomości), i narzekają na nierówną konkurencję. Politycy obiecują, że ta wkrótce się skończy. ▶



eprasa.pl fe4ae05645

▶ Do 20 maja powinniśmy, zgodnie z unijnymi przepisami, przynajmniej w minimalnym stopniu uregulować najem krótkoterminowy. Co ważne, Unia go nie zakazuje ani nawet nie każe ograniczać. Decyzję pozostawia każdemu państwu członkowskiemu. Unii Europejskiej chodzi o to, żeby ustalić, ile mieszkań jest przeznaczonych na taki najem i czy ich właściciele spełniają wymogi związane z bezpieczeństwem. W Sejmie czeka nas starcie dwóch projektów. Jeden złożyli już posłowie Polski 2050 (a raczej tego, co z niej zostało), a promuje go Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, kierująca resortem funduszy i polityki regionalnej. Nad drugim projektem pracuje Ministerstwo Sportu i Turystyki. Oba pochodzą zatem z partii koalicyjnych, ale w praktyce się od siebie różnią.

Oba zakładają, że powstanie centralny rejestr takich mieszkań, a każdy umieszczający oferty na portalach rezerwacyjnych będzie musiał się w nim znaleźć i dostać specjalny numer. Bez niego najem krótkoterminowy stanie się nielegalny, a kary mają być drakońskie – nawet 50 tys. zł. Chodzi zatem o to, żeby zlikwidować szarą strefę, a właścicieli przy okazji zmusić do płacenia wyższych podatków. Jednak to raczej w niewielkim stopniu ograniczy taki najem. Rząd nie planuje radykalnych zmian – zupełnie inaczej niż Polska 2050. Ta partia poprzez tematy mieszkaniowe próbuje się wyróżnić w koalicji, chociaż dotąd nie poprawiło to jej notowań sondażowych.

**Polska 2050 najpierw zablokowała z Lewicą projekt dopłat do kredytów hipotecznych**, a potem ułatwiła dostęp do rejestrów cen nieruchomości, aby można było sprawdzić, po ile naprawdę sprzedawane są mieszkania. Teraz posłowie Polski 2050 chcą ograniczyć skalę najmu krótkoterminowego. W ich projekcie wspólnoty i spółdzielnie mieszkaniowe dostałyby potężną broń. – *Lokalni zarządcy mogliby oprotestować najem, jeśli zagraża on bezpieczeństwu. Chodzi np. o sytuację, w której lokal nie spełnia kryteriów prowadzenia takiej działalności gospodarczej* – mówi Kamil Wnuk, poseł Polski 2050. Na razie posłowie skierowali do komisji projekt tej partii, chociaż PiS i Konfederacja były przeciw (co pachnie wetem prezydenta), a Koalicja Obywatelska radziła poczekać na propozycję rządową. Tyle że wciąż nie wiadomo, kiedy ona wpłynie do Sejmu.



Dziś wspólnoty i spółdzielnie są zupełnie bezradne w starciu z najmem krótkoterminowym. Niektóre co prawda przyjmują uchwały ograniczające taki najem albo nawet go zakazujące, ale to raczej tylko rekomendacja. Nawet gdy w apartamencie z Airbnb regularnie dochodzi do awantur czy odbywają się w nim nocne imprezy, sąsiedzi nie mogą wiele zrobić. Właściciele i operatorzy takich mieszkań uważają pomysły Polski 2050 za niekonstytucyjne, bo to zamach na prawo własności. Rząd nie zamierza dawać dodatkowej władzy spółdzielniom i wspólnotom.

Operatorzy mieszkań na wynajem proponują kompromisowe rozwiązania. – *Chcemy mieć możliwości sami zgłaszać policji naruszenia ciszy nocnej na podstawie czujników hałasu, które zostały zainstalowane w wielu lokalach. Nawet wcześniej, zanim zacznie się cisza nocna lub hałas zacznie przeszkadzać sąsiadom. Teraz, aby nastąpiła interwencja policji, muszą poskarżyć się mieszkańcy konkretnego bloku, w którym odbywa się nocna impreza. Poza tym uważamy, że powinien zostać przywrócony obowiązek meldunkowy dla wszystkich osób korzystających z usług hotelarskich. Mógłby funkcjonować jako państwowy system online, tak jak w innych europejskich krajach. Dziś bowiem poważnym problemem jest anonimowość gości, która zapewnia im bezkarność* – mówi Grzegorz Żurawski z Polskiego Stowarzyszenia Wynajmu Krótkoterminowego.

W wielu krajach europejskich to samorządy mają narzędzia pozwalające ograniczać najem krótkoterminowy. Na przykład w Paryżu czy Londynie jedno mieszkanie w ten sposób wolno udostępniać turystom tylko przez maksymalnie 90 dni w roku. W centrum Budapesztu taki najem został od początku tego roku zakazany. Podobnie stanie się w całej Barcelonie w styczniu 2029 r. Rząd chce, żeby i u nas samorządy zyskały pewne narzędzia, ale dopiero za trzy lata. Wówczas mogłyby wyznaczać strefy, z których apartamenty na Airbnb czy Bookingu musiałyby zniknąć – czasowo albo nawet na stałe. – *Niestety, przepisy są tak skonstruowane, że zapewne nie będą stosowane. Gminy mogą się bać zaskarżenia swojej uchwały do sądu i zapewne będą się doszukiwać ryzyka wypłacania odszkodowań właścicielom. Taki mechanizm z pewnością trzeba doprecyzować, aby mógł być używany* – mówi Mikołaj Paja, ekspert rynku mieszkaniowego w warszawskim stowarzyszeniu Miasto Jest Nasze.

**To właśnie organizacje społeczne najostrzej dzisiaj walczą z najmem krótkoterminowym** i jego negatywnymi skutkami. Podkreślają, że kiedyś Airbnb działało na zupełnie innych zasadach. Właściciel mieszkania, wyjeżdżając na dłuższy urlop czy w celach służbowych, szukał osoby, która skorzysta z jego nieruchomości w czasie nieobecności. Teraz zdecydowana większość mieszkań na krótki najem to typowa działalność gospodarcza – służą temu celowi przez cały rok albo przez kilka letnich miesięcy. To ostatnie rozwiązanie jest popularne np. w Trójmieście, gdzie lokale wynajmowane studentom w czasie roku akademickiego przekształcane są w lipcu czy sierpniu w apartamenty na najem krótkoterminowy.

Brak jasnych przepisów powoduje, że samorządy nie wiedzą, czy i jak reagować na rozwój tego zjawiska. Warszawa i Kraków to miasta z największą bazą apartamentów na Airbnb i podobnych portalach. W Warszawie ich liczba szacowana była w 2024 r. na 14 tys. (chociaż do gminnego rejestru zgłoszono zaledwie ok. 2,5 tys.). To może niezbyt dużo w niemal dwumilionowym mieście, ale takie lokale koncentrują się głównie w Śródmieściu i na Woli. Poza tym ich liczba znacząco wzrosła w porównaniu z czasami sprzed pandemii – aż o 30 proc.

Autorzy raportu, przygotowanego przez Digital Economy Lab Uniwersytetu Warszawskiego, potwierdzają, że przychody z najmu krótkoterminowego są dla właścicieli – przede wszystkim w centralnych dzielnicach – znacznie wyższe od tych z najmu tradycyjnego. Między



eprasa.pl fe4ae05645

2019 a 2023 r. średni roczny przychód z jednego apartamentu wzrósł o imponujące 70 proc. Nic dziwnego, że przybywa tak wykorzystywanych mieszkań. Szczególnie niepokojące jest tempo tego przyrostu.

**Na każde sto nowych lokali oddawanych przez deweloperów przypada 20 apartamentów na krótki najem.** W przypadku warszawskiej Woli ten wskaźnik jest znacznie wyższy i sięga aż 70 nowych ofert na 100 mieszkań wprowadzanych na rynek. To zjawisko dobrze widać w nowych wieżowcach stolicy powstałych na dawnych terenach przemysłowych, zwłaszcza na wolskim osiedlu zwanym potocznie Hongkongiem. Jednak Warszawa na razie głównie przygląda się temu zjawisku, a nawet podpisała porozumienie z Airbnb, zakładające wymianę informacji o rynku. Oczywiście nie chodzi tu o dane dotyczące właścicieli.

Tymczasem Kraków w ramach obowiązujących przepisów jest zdecydowanie bardziej aktywny. Tam urzędnicy starają się na platformach rezerwacyjnych sprawdzać, czy oferowane lokale znajdują się w gminnej ewidencji. Jeśli tak nie jest, kontrolują właścicieli i grożą karami. Tymczasem stolica uważa, że takie działania byłyby sprzeczne z prawem.

Bitwa w Sejmie między dwoma projektami może być głośna i widowiskowa, chociaż na razie to ten rządowy wydaje się mieć większe szanse na uchwalenie. Zwłaszcza że ostrzejsze regulacje mogłyby natrafić na weto prezydenta, który ma przecież własne doświadczenia z rynkiem nieruchomości i z pewnością nie jest zainteresowany zbyt daleko posuniętą ingerencją samorządów, wspólnot czy spółdzielni.

Aktywiści podkreślają, że przekształcanie kolejnych mieszkań w apartamenty na najem krótkoterminowy ma już konkretne skutki. W centralnych dzielnicach maleje liczba stałych mieszkańców. Jedni uciekają, bo nie chcą mieć ciągłych hałasów za ścianą, inni wykorzystują okazję i sprzedają za dobre pieniądze lokale, które kupują ci przekształcający je natychmiast na apartamenty oferowane poprzez Airbnb czy Booking. Dochodzi do paradoksalnej sytuacji, w której dzielnice z najlepszą ofertą edukacyjną, kulturalną czy transportową się wyludniają, a mieszkańców w szybkim tempie przybywa tam, gdzie brakuje szkół, linii tramwajowych czy miejsc pracy.

Gdyby w Polsce wprowadzić ostrzejsze przepisy, liczba lokali przeznaczonych na najem krótkoterminowy zapewne by się zmniejszyła. Straciliby na tym z pewnością turyści, a kto mógłby zyskać? – *Właściciele takich mieszkań mieliby dwie możliwości, obie korzystne dla lokalnych społeczności. Jeśli zaczęliby wynajmować lokale na zwykłych zasadach (a nie krótkoterminowych), poprawiłoby to sytuację regularnych lokatorów. Większa oferta mogłaby doprowadzić do spadku czynszów. A gdyby z powodu ograniczeń zdecydowali się sprzedać swoje mieszkanie, traktowane dziś jako inwestycja, wpłynęłoby to pozytywnie na rynek nieruchomości, stabilizując, a może nawet obniżając ceny* – podkreśla Mikołaj Paja z Miasto Jest Nasze. Jednak do takiego scenariusza droga jeszcze daleka. W te wakacje z pewnością żadnych ograniczeń w najmie krótkoterminowym jeszcze nie będzie. Ku uciesze turystów i rozpaczy ich sąsiadów.

CEZARY KOWANDA

REKLAMA



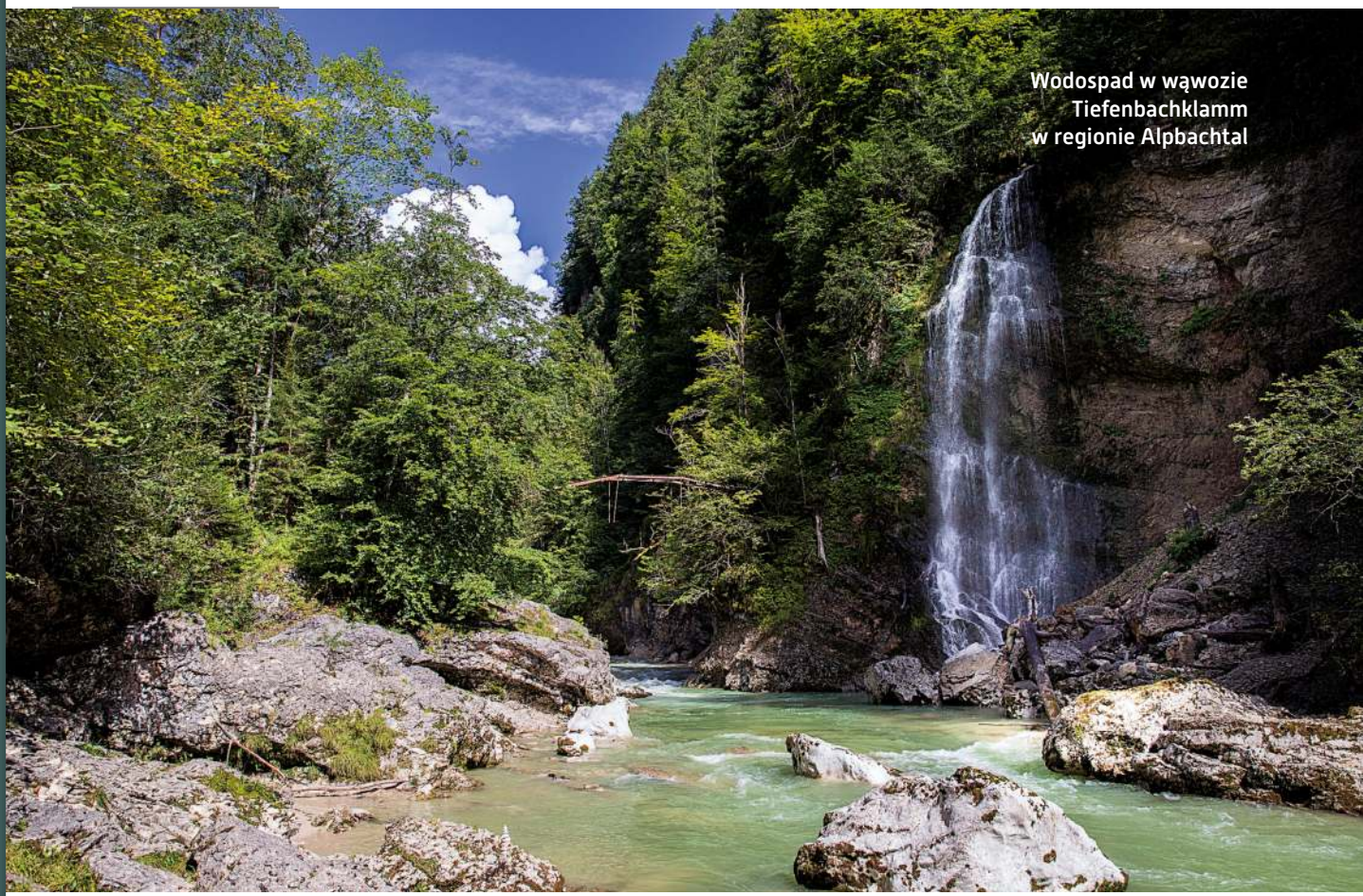

Wodospad w wąwozie Tiefenbachklamm w regionie Alpbachtal

# Lato w Tyrolu

**Imponujące góry i malownicze doliny w połączeniu z licznymi atrakcjami dla dzieci i dorosłych sprawiają, że ten austriacki region idealnie nadaje się na rodzinne wakacje.**

Tyrol Polki i Polacy bardzo dobrze znają z zimowych wyjazdów narciarskich. Ale Tyrol warto też odwiedzić latem, bo i wówczas zapewnia mnóstwo atrakcji. Ten austriacki kraj związkowy, ze stolicą w niemal 150-tysięcznym Innsbrucku, zachwyca różnorodnością i ma bogatą ofertę dla wszystkich, którzy preferują aktywny wypoczynek. Do dyspozycji turystów jest ogromna liczba świetnie przygotowanych szlaków pieszych i rowerowych – o różnym stopniu trudności.

Bazą wypadową do zwiedzania Tyrolu może być sam Innsbruck. Do tego miasta wygodnie dojedziemy z Polski nie tylko samochodem, ale też pociągiem. Kto woli podróżować za dnia, ten może skorzystać z bogatej oferty połączeń PKP InterCity do Wiednia – nie tylko z Warszawy i Krakowa, ale także z Poznania, Wrocławia czy Rzeszowa. Z Wiednia do Innsbrucku kursują pociągi Railjet państwowego przewoźnika ÖBB z dworca Wien Hauptbahnhof oraz składy Westbahn z dworca Wien Westbahnhof. Średnio co godzinę ze stolicy Austrii odjeżdża pociąg do stolicy Tyrolu. Podróż trwa

**Materiał powstał w komercyjnej współpracy z Narodowym Biurem Promocji Austrii**

Lebensgefühl Austria

eprasa.pl fe4ae05645



Gondole Wiedersbergerhornbahn, z których można podziwiać panoramę doliny Alpbach

nieco ponad cztery godziny. Co ważne, koleje austriackie słyną z wysokiej punktualności i wygody. A przy wcześniejszej rezerwacji biletów można liczyć na atrakcyjne promocje.

Kto woli podróżować nocą, ten ma do dyspozycji pociągi Chopin z Warszawy przez Katowice oraz Carpatia z Przemyśla przez Kraków, w których znajdują się wagony do Monachium. Zatrzymują się one rano, o godz. 8.30, w Salzburgu. Stamtąd jeszcze szybciej niż z Wiednia można dostać się do Innsbrucku. Podróż trwa niespełna dwie godziny, a do dyspozycji są składy ÖBB i Westbahn. Pierwsze połączenie po przyjeździe pociągu z Polski jest już o godz. 8.56. Z nocnego pociągu można również skorzystać w drodze powrotnej, maksymalnie wykorzystując czas pobytu w Tyrolu. Pociąg Railjet odjeżdża z Innsbrucku o godz. 18.16 i dociera do Salzburga niecałe dwie godziny później. A o godz. 20.30 podróżnych do Polski zabiera nocny skład, który oferuje wygodne kuszetki i przedziały sypialne.



Kraina przygód dla rodzin Alpbachtaler Lauserland

Także w trakcie wakacji w Tyrolu samochód nie jest potrzebny. Region ten, jak zresztą cała Austria, ma dobrze rozwiniętą sieć transportu zbiorowego, obejmującą regionalne linie kolejowe i wiele połączeń autobusowych. Można skorzystać z wygodnych biletów całodniowych, ważnych we wszystkich lokalnych pociągach (regionalnych oraz S-Bahn) i autobusach. Jeżeli podróżujemy tylko po Innsbrucku, warto wybrać 24h-Ticket 2Plus Innsbruck. Kosztuje on 10,80 euro i jest ważny przez 24 godziny od momentu skasowania. Z jednego biletu mogą korzystać równocześnie dwie osoby dorosłe i nawet troje dzieci (do 15. roku życia).

Podobna oferta rodzinna dostępna jest również dla tych, którzy

ALPBACHTAL TOURISMUS/MATHAEUS GARTNER, ALPBACHTAL TOURISMUS/GABRIELE GRIESSENBOECK, ALPBACHTAL TOURISMUS/SHOOTANDSTYLE.COM

eprasa.pl fe4ae05645



Wyprawa na szczyt w regionie St. Johann in Tirol

podróżują po całym Tyrolu, odkrywając ten niezwykły region. Bilet dzienny o nazwie Tagesticket Tirol 2Plus kosztuje 42,60 euro. Jest ważny od chwili skasowania do końca dnia; również z niego mogą korzystać dwie osoby dorosłe oraz do trojga dzieci. Dostępny jest również wariant biletu o nazwie Euregio Tagesticket 2Plus, kosztujący niewiele więcej, bo 46 euro, i ważny nie tylko w Tyrolu, ale także w przygranicznych włoskich regionach: Południowym Tyrolu i Trentino.

Kto planuje tygodniowe wakacje w Tyrolu i zamierza intensywnie podróżować, korzystając z transportu zbiorowego, może skorzystać z biletu ważnego przez siedem kolejnych dni. Kosztuje on 56,30 euro i jest ważny dla jednej osoby. Dzieci do lat sześciu podróżują w Tyrolu bezpłatnie pod opieką osoby dorosłej.

### Czas dla rodzin

W tym kraju związkowym nie brakuje regionów, które idealnie nadają się na rodzinne wakacje. Na przykład Alpbachtal łączy piękno alpejskiej przyrody z bogatą ofertą dla rodzin, które podczas urlopu cenią wspólny czas i aktywność na świeżym powietrzu. Góry, liczne atrakcje, tematyczne ścieżki oraz wycieczki wśród przyrody pozwalają odkrywać alpejski krajobraz w ciekawy i angażujący sposób. Atrakcje zostały zaprojektowane tak, aby sprawiały dzieciom radość, a rodzicom pozwalały cieszyć się spokojnym urlopem.

W Alpbachtal dzieci mogą poznawać świat gór w różnorodny sposób. Atrakcje takie jak Juppi Zauberwald w Reith im Alpbachtal czy Alpbachtaler Lauserland na Wiedersberger Horn łączą ruch, zabawę i kontakt z naturą. Stacje z zagadkami, place zabaw i interaktywne elementy sprawiają, że górskie spacery zamieniają się w prawdziwe wyprawy odkrywcze dla całej rodziny. Dodatkowych emocji dostarcza Alpbachtaler Lauser-Sauser, czyli alpejski tor saneczkowy typu Alpine Coaster, który z pewnością przypadnie do gustu starszym dzieciom.

Warto także odwiedzić naturalne atrakcje regionu, takie jak trzy wąwozy w Alpbachtal czy Muzeum Tyrolskich Gospodarstw Chłopskich – największy skansen w Tyrolu. To miejsca, w których rodziny mogą z bliska doświadczyć natury i historii regionu podczas spacerów, odkrywania ciekawostek i wspólnych przygód. Wiele z tych atrakcji można łatwo wpleść w plan dnia; doskonale nadają się również na cel krótszych wycieczek. Ofertę uzupełniają bogaty program rodzinny z animacjami i aktywnościami od poniedziałku do piątku, a także regionalne wydarzenia, takie jak festyny w wioskach czy cotygodniowe Strawanzer Nächte. W ciepłe dni przyjemne ochłodzenie zapewniają zaś jeziora kąpielowe oraz zacienione wąwozy.

Alpbachtal jest szczególnie lubiany przez rodziny także dzięki łatwej organizacji wypoczynku. Wiele atrakcji znajduje się blisko siebie, więc można je połączyć w ramach jednego dnia – bez długich dojazdów i skomplikowanego planowania. Program rodzinny Alpbachtal to tygodniowy program aktywności zaprojektowany specjalnie dla rodzin; najważniejsze jest w nim wspólne przeżywanie przygód. Zajęcia odbywają się w różnych miejscach regionu i prowadzą uczestników wprost do natury – z naciskiem na wspólne działanie, odkrywanie i tworzenie.

Program skierowany jest do rodzin w różnym składzie i z dziećmi w różnym wieku. Wszystkie aktywności odbywają się wspólnie z rodzicami lub opiekunami. Elementy kreatywne,

eprasa.pl fe4ae05645



Wędrówka do chaty Anton-Renk-Hütte u podnóża grzbietu Glockturm

kontakt z naturą oraz wspólnie spędzany czas sprawiają, że program rodzinny stanowi cenny element letniego wypoczynku w Alpbachtal. Udział w programie jest bezpłatny dzięki Alpbachtal Card.

### Alpejskie przeżycia

Gdy w oddali cicho rozbrzmiewają dzwonki krów, słońce sprawia, że górskie jeziora zaczynają lśnić, a w powietrzu unosi się delikatny zapach kwiatów, oznacza to, że lato w regionie St. Johann in Tirol właśnie się rozpoczęło. W miejscowościach St. Johann in Tirol, Oberndorf, Kirchdorf i Erpfendorf na gości czeka niezliczona ilość możliwości przeżycia wyjątkowych chwil. Niezależnie od tego, czy wybieramy piesze wędrówki, wycieczki rowerowe, pływanie, wspinaczkę, golf lub inne aktywności, urlop w tym regionie pozostanie niezapomnianym doświadczeniem.



Wodne atrakcje w miejscowości Prutz

Wśród rodzinnych atrakcji wyróżnia się Moor & More – świat przygód w wyjątkowym krajobrazie torfowisk przy Wilder Kaiser w St. Johann in Tirol. To niezwykły teren, przez który prowadzą dwie bezpłatne ścieżki edukacyjno-przygodowe. Zabawne stacje gry, zagadki i ciekawostki przyrodnicze tworzą idealny plan na rodzinny dzień: trochę spaceru, trochę odkrywania i dużo radości. Z kolei Schnackler Erlebnisweg to emocjonująca trasa dla dzieci w dolinie Kaiserbachtal w Kirchdorf in Tirol. Łącząc elementy zabawy i wiedzy, jest idealna dla dzieci i rodziców.

Szlak Yappys Rätselweg w Oberndorf to z kolei górnicza przygoda dla całej rodziny. Bezpłatna trasa przygodowa zachęca do rozwiązywania ciekawych zagadek, podążania tropem przyrody i odkrycia ukrytego skarbu – to świetna propozycja na rodzinny dzień pełen emocji. Podobną propozycją jest Murmi's Kinderland – duży kryty plac zabaw w Kirchdorf in Tirol. Niezależnie od pogody w Murmi's Kinderland na ponad 1200 metrach kwadratowych czeka mnóstwo atrakcji. To kraina zabawy dla dzieci

© ST. JOHANN IN TIROL/MATHAEUS GARTNER, TVB TIROLER OBERLAND/RUDI WYHLIDAL (2)

eprasa.pl fe4ae05645



**Alpejskie przeżycia na dwóch kółkach, okolice Kaunertal**

w wieku od dwóch do dziesięciu lat. Wspinanie, skakanie, bieganie i zjeżdżanie – wszystko w jednym miejscu. Gdy przychodzi ochota na wodne ochłodzenie, w regionie czekają baseny i miejsca do pływania – świetny pomysł na spokojniejsze popołudnie albo regenerację po wyczerpujących górskich trasach.

Dolinę trzytysięczników – region Zillertal – tworzą cztery krainy: Fügen-Kaltenbach, Zell-Gerlos, Mayrhofen-Hippach oraz Tux-Finkenberg. Każda z nich jest wyjątkowa, ale wszystkie łączy zapierająca dech w piersiach górska sceneria, tworząca idealne tło dla alpejskich przeżyć. Przy górnych stacjach kolejek czeka wiele atrakcji dla całych rodzin. W Zillertalu działa aż dziesięć letnich kolejek górskich. A z kartą Zillertal Activcard wiele górskich atrakcji dla całej rodziny staje się łatwo dostępnych. Otwiera ona drzwi do imponującego świata gór, pozwala odkrywać niezliczone ciekawostki i zapewnia niemal nieograniczoną mobilność – zarówno kolejkami, jak i transportem publicznym. Rodziny mogą liczyć nie tylko na wyjątkowe przygody, ale też na atrakcyjne zniżki.

### Woda i przygoda

Park wodny przy Spieljoch to orzeźwiająca propozycja dla małych i dużych. Szczególną atrakcją są rowerki wodne, którymi najmłodsi mogą pływać po stawie, podczas gdy rodzice odpoczywają wygodnie na brzegu. Na górze przygodowej Spieljoch czekają też inne atrakcje, takie jak plac zabaw, ścieżka bosych stóp, małe stacje przygodowe i strefa wspinaczkowa dla dzieci. Na Rosenalm, wysoko ponad Zell am Ziller, znajduje się miejsce pełne fantazji, gdzie dziecięce marzenia stają się rzeczywistością. Już z daleka widać cztery dostępne dla gości wieże, które majestatycznie wznoszą się ku niebu i są w całości wykonane z drewna. Mali i duzi goście Zillertal Arena mogą tu szaleć na wieży wspinaczkowej, zjeżdżać z wieży ze zjeżdżalniami lub majsterkować w wieży z dźwigiem.

AlbertAdler ErlebnisWeg na płaskowyżu Ahorn Plateau zamienia wędrówkę w interaktywną przygodę dla rodzin i wszystkich odkrywców. Towarzyszy im maskotka AlbertAdler, a trasa prowadzi przez historię „Albert, orzeł i walka o Mayrhofen", oferując pełne zabawy stacje. Przygoda zaczyna się przy AdlerAuge, z imponującym widokiem przez Viscope, a kończy na sportowym FalkenSteig. Główną atrakcją jest ponad 70-metrowy most GreifenBrücke, który łączy dreszczyk emocji z panoramicznymi widokami. Warto też wybrać się na baśniową wyprawę lodowcową „Tuxer Riese". W ramach tej wycieczki, organizowanej we współpracy z Naturpark Zillertal, można zanurzyć się w świat legend Zillertalu i ruszyć śladami „Olbrzyma z Tux". Uczestnicy odwiedzają miejsca związane z podaniami i podążają za gigantem aż do jaskini Spannagelhöhle, którą – według legendy – miał on własnoręcznie wydrążyć. Wycieczka kończy się na tarasie panoramicznym z widokiem na lodowiec – olbrzyma ze śniegu i lodu.

Tiroler Oberland, Nauders i Kaunertal to miejsca, które razem zapewniają urozmaicone wakacje, wypoczynek na łonie natury i autentyczne alpejskie przeżycia. Nauders jest przyjaznym rodzinom regionem wypoczynkowym, położonym w trójkącie granicznym Austrii, Włoch i Szwajcarii. Szczególną popularnością cieszy się świat przygód Goldwasser na Bergkastel, który także jest specjalnie dostosowany do potrzeb rodzin (stacje wodne, place zabaw). Kolejka Bergkastelbahn stanowi wygodny punkt wyjścia do licznych wędrówek i górskich przygód.

Tiroler Oberland cieszy się szczególną popularnością wśród rodzin. Oferuje: wodne place zabaw, ścieżki tematyczne, jeziora kąpielowe i odkryte baseny, a także programy z przewodnikiem dla dzieci, place zabaw z zagadkami – słowem: dużo przygód i natury. Jako certyfikowany region przyjazny rodzinom Tiroler Oberland zapewnia również zakwaterowanie dostosowane do potrzeb par z dziećmi.

Park linowy 3 Länder Bogenpark gwarantuje ekscytujące letnie atrakcje zarówno początkującym, jak i zaawansowanym. Na trasach 3D o różnym stopniu trudności odwiedzający mogą sprawdzić swoje umiejętności. Początkujący mogą uczestniczyć w kursach próbnych, podczas gdy zaawansowani – odkryć bardziej wymagające odcinki trasy. Kryta strzelnica łucznicza w Pfunds umożliwia trening niezależnie od pogody – oferuje nawet cele 3D i interaktywne kino strzeleckie.

Szczególną atrakcją dla rodzin w regionie Kaunertal jest też trasa Erlebnisrunde – urozmaicona wędrówka

© TVB TIROLER OBERLAND-KAUNERTAL/SEVERIN WAGENER, ZILLERTAL TOURISMUS/THOMAS PFISTER

eprasa.pl fe4ae05645



przez wąwóz Verpeilschlucht. Platformy widokowe i atrakcje przyrodnicze u podnóża masywu Kaunergrat łączą aktywność fizyczną z imponującymi wrażeniami krajobrazowymi. Do wyjątkowych atrakcji przyrodniczych należy także trasa widokowa Kaunertaler Gletscher Panoramastraße, która oferuje spektakularne widoki na otaczające góry.

## Rowerowy raj

Wakacje w Tyrolu zachwycą zarówno miłośników ambitnych wypraw na rowerach górskich, jak i jazdy rekreacyjnej. Region St. Johann in Tirol oferuje ponad 200 kilometrów tras rowerowych. Zróżnicowane odcinki zapewniają emocje i początkującym, i doświadczonym rowerzystom. Bardziej wymagające podjazdy można wygodnie pokonać dzięki rowerom elektrycznym – w regionie dostępne są liczne wypożyczalnie oraz stacje ładowania i wymiany baterii. Z trasy Grutten Runde Bike Trail można podziwiać Kitzbüheler Horn oraz pasmo Wilder Kaiser. Bikepark w Oberndorf oferuje pierwszy w Tyrolu wyciąg typu ***drag lift*** dla rowerzystów. A Actionberg Harschbichl obejmuje trasy MTB (mountainbike) prowadzące na Harschbichl oraz dynamiczne zjazdy typu downhill.

Także w Zillertal każdy znajdzie swoją wymarzoną trasę: od rodzinnych wycieczek dnem doliny, wzdłuż rzeki Ziller, poprzez szerokie drogi alpejskie, aż po spektakularne odcinki z wymagającymi przewyższeniami. Można tu skorzystać z kolejki – i rowerową wyprawę z niezwykłymi widokami rozpocząć prosto spod szczytów.

Szczególnie przyjazna rodzinom jest trasa Zillertalradweg, która pozwala odkrywać słoneczną dolinę wzdłuż rzeki Ziller. Dodatkowo wzdłuż trasy znajdują się place zabaw, odkryte baseny i parki przygód. A gdy przyjdzie zmęczenie, na jednej ze stacji między Strass a Mayrhofen można w każdej chwili wsiąść do kolejki Zillertalbahn i resztę drogi pokonać już pociągiem.

Z kolei Single Trail Isskogel to trasa dla osób o mocnych nerwach. Wąskie zakręty i strome zjazdy na całej długości wymagają pełnej koncentracji. Po emocjonującym zjeździe z Isskogel można przetestować jeszcze ambitną trasę MTB prowadzącą na Isskogel. Startuje się w Gerlos, skąd droga leśna prowadzi przez zacienione odcinki lasu do Gerlostalalm, następnie do Innerertensalm i serpentynami – z pięknymi widokami – aż do krzyża szczytowego na Isskogel.

Miłośnicy kolarstwa górskiego również w Tiroler Oberland znajdą zróżnicowaną sieć tras o różnych stopniach trudności: od łagodnych odcinków alpejskich po wymagające podjazdy. Można tu wypożyczyć e-rowery górskie i połączyć jazdę z wędrówkami wśród natury. Liczne punkty widokowe z panoramą alpejskich pastwisk urozmaicają trasę i gwarantują, że to idealne doświadczenie dla wszystkich, niezależnie od wieku.

Bo taki właśnie jest Tyrol: tak różnorodny i pełen atrakcji. Zachwyci każdego, nie tylko zimą, lecz także latem.

CEZARY KOWANDA



**Krajobraz Zillertal można podziwiać przez okna kolejki parowej**

eprasa.pl fe4ae05645

# Alpbachtal. Alpejskie szlaki z dziecięcym wózkiem? Żaden problem.

**Rodzinne wakacje nie muszą wiązać się z wyrzeczeniami ze strony rodziców, nudą ogarniającą dzieci czy karkołomną logistyką. Region Alpbachtal zorganizowany jest tak, by wypocząć mogła cała rodzina.**

Na górskich ścieżkach niezbyt często spotkamy rodziny z małymi dziećmi. Piesze wędrówki bywają nużące dla najmłodszych, a pokonanie wielu tras z maluchami jest niemal fizycznie niemożliwe. W Alpbachtal znajdziemy szlaki dla zaawansowanych, ale wyjątkowym aspektem regionu są ścieżki łączące trekking z rozrywką dla całej rodziny. Sztandarowym przykładem jest Juppi Zauberwald. W miejscowości Reith wjeżdżamy 8-osobową gondolą do stacji górskiej. Tutaj rozpoczyna się 2,5 kilometrowa trasa, którą przejdziemy nawet z dziecięcym wózkiem. Pierwszy odcinek to leśna ścieżka z magicznymi stacjami zabaw. Kolejny przystanek – ogród zoologiczny Fürstenhof i stół warsztatowy Juppiego. Po pokonaniu panoramicznej ścieżki Hinterkogel czeka kolejna stacja z mostem przygód i magiczną fontanną, a kawałek dalej platforma widokowa i wodotrysk. Na całej trasie można rozwiązać leśne łamigłówki – posłuży do tego mapa skarbów wydawana przy stacji gondoli.

Kolejką gondolową dojedziemy do Alpbachtaler Lauserland. Znajduje się tu 40 stacji zabaw, w tym minipark linowy i dmuchana poduszka o powierzchni 44 m², która zapewnia bezpieczne lądowanie po skoku z jednej z trzech wież. Całoroczny tor saneczkowy Lauser Sauser pozwala pokonać 134 metry wysokości, rozpędzając się do 40 km/h na trasie o długości 1420 metrów. Pobliski szlak Wiedersberg Horn zaprowadzi na alpejski szczyt nawet mniej doświadczone grupy – na piechotę lub dzięki kolejce górskiej.

Alpbachtal jest idealnym miejscem dla osób chcących wprowadzić dzieci w świat górskiego trekkingu. Familientour to 19-kilometrowa trasa zaplanowana na 3 dni z dogodnie rozłożonymi miejscami noclegowymi i atrakcjami dla dzieci na całym szlaku.



© ALPBACHTAL TOURISMUS/ SHOOTANDSTYLE.COM



© ALPBACHTAL TOURISMUS/MATHAEUS GARTNER



© ALPBACHTAL TOURISMUS/MATHAEUS GARTNER

Opcją dla nieco bardziej doświadczonych grup jest 4-dniowa trasa przez pasmo Rofan, licząca 50 km. Krótsze trasy to szlak na Gratlspitze, wąwóz Kundler Klamm – trasa dostępna także dla wózków dziecięcych, czy nieco bardziej wymagający Tiefenbachklamm z wodospadami i punktami widokowymi. Cały region pełen jest kąpielowych jezior i urokliwych miasteczek. W miejscowości Reith im Alpbachtal latem odbywa się festyn Strawanzernächte. W każdy poniedziałkowy wieczór lipca i sierpnia na rynku wystawiają się lokalne gastronomie i rzemieślnicy – wszystko w rytm regionalnej muzyki na żywo. Nawet w najpopularniejszych miejscowościach liczba miejsc noclegowych jest zbliżona do liczby stałych mieszkańców, dzięki czemu region zachował swój autentyczny tyrolski charakter.

Przy rezerwacji pierwszego noclego odwiedzającym przysługuje bezpłatna Alpbachtal Card, która zapewnia darmowe wycieczki, przejazdy kolejkami górskimi i regionalnymi autobusami.

Więcej informacji na: **www.austria.info**

Austria

eprasa.pl fe4ae05645



© REGION ST JOHANN IN TIROL/MIRJA GEH

# Region St. Johann in Tirol. Wielkie alpejskie wakacje.

**Barokowa architektura, tyrolskie chaty, szlaki piesze dla całej rodziny i trasy wspinaczkowe, na których pisała się historia alpinizmu. W regionie St. Johann in Tirol każdy znajdzie coś dla siebie.**

Z jednej strony rozciągają się Alpy Kitzbühelskie, z drugiej Góry Kaiser. Region St. Johann in Tirol obejmuje zaledwie cztery miejscowości, ale mieści ponad 200 km szlaków pieszych, 200 km tras rowerowych, kolejki linowe i bogatą ofertę sportów ekstremalnych. Lokalnym centrum aktywnego wypoczynku jest niewątpliwie Góra Harschbichl. Znajdziemy tu trasy piesze i via ferrata (dosłownie „droga okuta"), czyli szlaki wyposażone w stalowe liny służące do asekuracji. W punkcie treningowym opanujemy podstawy korzystania z uprzęży i poruszania się po stalowym szlaku. Umiejętności wykorzystacie w praktyce na trasie prowadzącej na szczyt Kitzbüheler Horn. O asekuracji nie można zapomnieć w parku linowym Hornpark nad jeziorem Angereralm z niesamowitymi widokami na Góry Kaiser. Najbardziej spektakularną atrakcją jest tu niewątpliwie Flying Fox – kilkusetmetrowy przejazd na linie zawieszonej 50 metrów nad jeziorem. Harschbichl to też baza dla rowerzystów, którzy mogą poćwiczyć umiejętności w lokalnym Skill Parku lub pokonać jedną z downhillowych tras. Alternatywą dla jednośladu są górskie gokarty – trójkołowymi pojazdami pokonacie niemal 4-kilometrową trasę przez lasy i pastwiska. Tylko od Was zależy, czy będzie to przejazd krajoznawczy, czy downhillowy wyścig.



© REGION ST JOHANN IN TIROL/MIRJA GEH



© REGION ST JOHANN IN TIROL/MIRJA GEH

Nieco spokojniejszą opcją na spędzenie wakacyjnych dni jest piesza wędrówka po Alpach. Koasa Trail należy do szlaków długodystansowych, ale nie wymaga wielkich górskich umiejętności. Szlak liczący 83 km rozłożony jest standardowo na pięć dni marszu przez najpiękniejsze zakątki regionu. Na krótszą wycieczkę z rodziną idealnie nada się Teufelsgasse, czyli skalny labirynt, czy ścieżka przez rezerwat przyrody Kaiserbachtal , którą przejdziemy nawet z wózkiem. Najbardziej cenicie sobie widoki? Horn-Gipfel-Höhenweg to spektakularna górska panorama prowadząca wzdłuż alpejskiej grani. W regionie dostępne są też wycieczki z przewodnikami – bardziej zaawansowane obejmują elementy wspinaczki z instruktorem, do lżejszych należy Full Moon Hike, czyli nocny spacer odbywający się w blasku pełni.

Poza klasycznym trekkingiem warto wybrać się na spacer po Moor & More – parku torfowisk przy Wilder Kaiser, przez który przebiegają dwie ścieżki edukacyjno-przygodowe ze stacjami pełnymi zagadek i zabaw dla dzieci i rodziców. Podobną trasę znajdziecie w dolinie Kaiserbachtal w Kirchdorf – szlak przygodowy Schnackler to przygotowana dla rodzin ścieżka łącząca naukę z zabawą. Jeśli pogoda nie dopisuje, możecie spędzić czas z dziećmi w Murmi's Kinderland – liczącym ponad 1200 m² krytym placu zabaw w Kirchdorf in Tirol.

Wszystkim spędzającym w St. Johann in Tirol minimum trzy noce przysługuje Gondel Bonus, czyli bezpłatny przejazd kolejką Harschbichlbahn, i St. Johann Card zapewniająca zniżki i bezpłatne atrakcje w regionie.

Więcej informacji na: **www.austria.info**

Austria

eprasa.pl fe4ae05645

# Tiroler Oberland, Nauders i Kaunertal. Trzy regiony na alpejskim pograniczu.

**Zachodni kawałek Austrii jak lodowcowy język wsuwa się w alpejski pas dzielący Niemcy i Włochy. W trójkącie granicznym między Szwajcarią i włoskim Tyrolem regiony Tiroler Oberland, Nauders i Kaunertal tworzą wspólną turystyczną krainę.**



© TVB TIROLER OBERLAND NAUDERS/RUDI WYHLIDAL

Północną część Alp Centralnych w sporej części pokrywają lodowce, ale tutejsza natura to coś znacznie więcej niż lodowa kraina. Trzy austriackie regiony obejmują niemal każdy rodzaj alpejskiego krajobrazu. Coraz rzadszym i cenniejszym widokiem są dziś torfowiska. W Alpach większość z nich znajduje się na terenie Austrii. Radurschl w regionie Tiroler Oberland otaczają punkty edukacyjne poświęcone ochronie przyrody i zmianom klimatycznym, a pobliski wąwóz Radurschlklamm to jedna z ciekawszych tras trekkingowych w okolicy. Rejon Radurschl stanowi jeden z pięciu „górskich światów" regionu. Biegacze mogą je eksplorować w trakcie pięciodniowego biegu Terra Raetica Trails, przecinającego pięć regionów pogranicza – w tym Tiroler Oberland, Nauders i Kaunertal.

Na spokojniejszą wyprawę udamy się po jednym z lokalnych lodowców. Jeśli nie znacie niemieckiego, nazwa może wyglądać onieśmielająco, ale Kaunertaler Gletscherpanoramastraße jest względnie łatwą trasą pełną spektakularnych widoków. Oznakowanie szlaków na lodowcu uchodzi za wyjątkowo jasne, natomiast sam region Kaunertal należy do „najciemniejszych" miejsc Austrii – poziom zanieczyszczenia świetlnego jest tu rekordowo niski, co czyni te okolice idealnym miejscem do obserwacji nocnego nieba, szczególnie w nowiu. „Gwiezdny hike" to lodowcowa wycieczka na wysokość 2000 m n.p.m. Z dala od sztucznego światła przewodnicy opowiedzą o konstelacjach, ludowych przekazach i historii wszechświata zapisanej na nieboskłonie. Trasa kończy się w Gepatschhaus – najstarszym schronisku Niemieckiego Związku Alpejskiego (Deutscher Alpenverein) w Austrii, gdzie znajdzie się czas na pytania i obserwację nieba przez teleskop.



© TVB TIROLER OBERLAND NAUDERS KAUNERTAL /ROMAN HUBER

Za dnia lato w Tyrolu pozwala zapomnieć o bliskości lodowcowych, białych pól – temperatury potrafią sięgać nawet 30°C. Przy takiej pogodzie mieszkańcy Nauders udają się do parku Goldwasser na Bergkastel. Wodny plac zabaw pozwala dzieciom schłodzić się po sesji górskiego kartingu czy pokonaniu ścieżki Bull Zone pełnej zagadek i sportowych zadań. Rodzice mogą przy okazji zwiedzić pobliską twierdzę Nauders, która od zakończenia budowy w 1840 roku zachowała się w nienaruszonym stanie. Trzy regiony oferują znacznie więcej kąpielisk i rodzinnych atrakcji. Nad jeziorem Ried, liczącym 2,5 ha powierzchni, dzieci wyszaleją się na zjeżdżalniach czy statku piratów – starsi opłyną jezioro paddle boardem czy rowerem wodnym. Na fanów mocniejszych doznań czeka rafting na rzece Inn, park łuczniczy 3 Länder i miejsca dla amatorów kanioningu – formy pokonywania rzecznych wąwozów, łączącej elementy wspinaczki i „ekstremalnego aquaparku", w którym za zjeżdżalnie posłuży koryto górskiego strumienia.



© TVB TIROLER OBERLAND NAUDERS/RUDI WYHLIDAL

Trzy regiony oferują łączoną kartę zniżkową Summercard. Wersja Basic jest bezpłatna i zapewnia podstawowy pakiet zniżek i atrakcji. Kartę Gold wyrobimy za opłatą, zyskując dostęp do kolejek górskich.

Więcej informacji na: **www.austria.info**

Austria

eprasa.pl fe4ae05645



© ZILLERTAL TOURISMUS

# Zillertal. Dolina trzytysięczników w sercu Tyrolu.

**Wzdłuż rzeki Ziller, na zachodzie Austrii, rozciąga się dolina. Górują nad nią alpejskie trzytysięczniki i lodowce, pełne narciarskich tras, pieszych szlaków i tradycyjnych gastronomii.**



© ZILLERTAL TOURISMUS/KEVIN ILSE

Ponad 40% całej powierzchni Zillertal to obszar nienaruszonej natury – Park Przyrody Alp Zillertalskich. Na 422 km² żyje około 9000 gatunków zwierząt, w tym 500 gatunków motyli, otoczonych alpejską florą, strumieniami i jeziorami. W Naturparkhaus obok Ginzling dowiemy się więcej o tym, co ukryte pod powierzchnią ziemi. Wystawa zajmująca ponad 500m² wprowadza odwiedzających w świat minerałów i kryształów ukrytych we wnętrzu gór. Nie brakuje także wątku obecności człowieka w tym środowisku i historii eksploatacji naturalnych zasobów.

Spod Naturparkhaus startują liczne trasy piesze w wyższe partie gór. Szlaki turystyczne w regionie mają łącznie ponad 1400 km długości i obejmują 72 trzytysięczniki. Jeden z nich to lodowiec Hintertux, znany głównie z tras narciarskich, które pozostają otwarte do wczesnego lata, kiedy w dolinach trwa już sezon trekkingowy. We wnętrzu lodowca znajduje się prowadzący przez szczeliny, lodowe komnaty i Spannagelhöhle – najwyżej położoną jaskinię lodową w Europie, udostępnioną do zwiedzania. Według podań ludowych Natur Eis Palast wydrążył własnoręcznie olbrzym z Tux. Jego śladami prowadzi ścieżka przygodowa Tuxer Riese idealna dla rodzin z dziećmi. Wokół Bruck prowadzi klasyczna 12-kilometrowa pętla trekkingowa z łagodnymi podejściami i panoramicznymi widokami. Dłuższą wędrówkę rozpoczniemy w miejscowości Gerlos od wjazdu gondolą do stacji Isskogel – od nazwy szczytu, który zdobędziemy niebawem, mijając po drodze górskie jezioro. Wąska ścieżka po grani prowadzi do krzyża szczytowego Kreuzjoch, a dalej obok pięknego zbiornika Langer See. Doliną Krummbachtal dotrzemy z powrotem do dolnej stacji kolejki – pętla liczy łącznie 17 km. Przez góry Zillertal biegnie też 1300 km tras rowerowych, 68 oznakowanych szlaków biegowych i 15 dróg via ferrata. W regionie znajdziemy także wysokościowe parki linowe, 10 kolejek górskich, rejony wspinaczkowe i pole golfowe Zilletral-Uderns z widokiem na alpejskie krajobrazy.

W sercu Tyrolu kultywowane są długie tradycje muzyczne, rzemieślnicze i kulinarne. Browar Zillertau działa od ponad 500 lat, a jego tajemnice przechowuje obecnie szesnaste pokolenie piwowarów. W BrauKunstHaus poznamy historię miejsca i proces powstawania piwa, przechodząc przez multimedialną wystawę zakończoną degustacją. W Enzianhof rodzina Kerschdorferów specjalizuje się w produkcji wędzonej tyrolskiej szynki speck. Receptura przekazywana jest od pradziadka Josepha, poprzez syna Josepha i wnuka... Josepha, aż po dołączającego do rodzinnego biznesu prawnuka Alexandra. Szerszy wgląd w tyrolską kuchnię dają „chaty smakoszy", czyli górskie schroniska i zajazdy Zillertal oferujące tradycyjne dania przygotowane na bazie lokalnych składników. W miastach tradycyjne potrawy reinterpretowane są w nowoczesnych restauracjach.

Więcej informacji na: **www.austria.info**

Austria

eprasa.pl fe4ae05645

# Iran w talii

**Kto dziś rządzi w Teheranie? Tego nie wie nawet Donald Trump. A my zapytaliśmy ekspertów, którzy wskazali nam cztery irańskie asy.**

ŁUKASZ WÓJCIK

Amerykanie mieli kiedyś doskonałe pomysły. Gdy w 2003 r. uderzyli na Irak, rozdali swoim żołnierzom talię kart, jakże przydatnych na froncie, gdzie ataki przeplatane były godzinami bezczynności. Ale nie była to zwykła talia – na każdej z kart znajdował się wizerunek ważnej osoby z irackiego reżimu. Twarz, nazwisko, stanowisko, czasem adres zamieszkania i przede wszystkim miejsce w hierarchii władzy. Saddam Husajn był asem pik. Granie w pokera lub brydża sprzyjało więc później identyfikacji i schwytaniu ważnych figur reżimu – na 52 karty nie udało się zabić lub schwytać tylko trzech.

Dziś Amerykanie prowadzą kolejną wojnę i mają podobny problem – nie bardzo wiedzą, kto jest kim w irańskim reżimie. Prezydent USA, przedłużając ostatnio kolejny raz zawieszenie broni w oczekiwaniu na jakiś *deal* z Teheranem, sam przyznał, że irański reżim jest „głęboko podzielony" i do końca nie wiadomo, z kim rozmawiać.

Rzeczywiście, temat nie jest łatwy. Dlatego rozesłaliśmy coś w rodzaju ankiety do znanych ekspertów zajmujących się Iranem, ale także do Irańczyków w kraju i za granicą, którzy wolą pozostać anonimowi – z prośbą o wskazanie „asów" obecnego układu sił w Iranie. Poniższą czwórkę należy czytać nie tylko jako autonomiczne ośrodki władzy, lecz również jako reprezentantów środowisk, które po amerykańsko-izraelskim ataku z 28 lutego odgrywają największą rolę w reżimie.

## AS PIK

**Modżtaba Chamenei, lat 56, najwyższy przywódca**

Poprzedni najwyższy przywódca Ali Chamenei, zabity w ataku z 28 lutego, wcale nie chciał, aby syn został jego następcą. Gryzie się to z samą ideą Republiki Islamskiej, która powstała na kontrze wobec monarchii. Niemniej doceniał talenty Modżtaby, uczynił go własnym „odźwiernym", który decydował o dostępie do ojca. Młody Chamenei zawsze miał świetne rozeznanie w aktualnym układzie sił.




Problem w tym, że nie wiadomo, czy wybrany 9 marca na nowego najwyższego Modżtaba w ogóle żyje. Nasi rozmówcy nazywają go „pierwszym AI przywódcą", bo jego wszędobylskie w Iranie wizerunki są wytworem sztucznej inteligencji. Według informacji z drugiej ręki wciąż przebywa na OIOM-ie w jednym z teherańskich szpitali. Ma zmiażdżoną nogę, spaloną twarz – podobno „nie chce się ujawniać, aby nie okazać słabości". Komunikuje się ze światem odręcznymi listami przez kurierów.

Ale nawet gdyby nie żył, spełniałby swoją rolę. Po tym jak Amerykanie i Izraelczycy zabili ponad 40 osób ze ścisłego kierownictwa, reżim przeszedł w tryb awaryjny. Chodziło o utrzymanie ciągłości i Modżtaba doskonale nadawał się na symboliczny łącznik – martwego trudno zabić, a ciężko ranny nie będzie się mieszał w budowanie nowej hierarchii władzy.

Przyjmijmy jednak, że żyje i wyzdrowieje. Młody Chamenei jest jak ostatni Mohikanin – przynależy mu tytuł ajatollaha, co można przyrównać do pozycji kardynała w Kościele katolickim, i jako taki jest ostatnim przedstawicielem szyickiego kleru w ścisłym kierownictwie republiki (w końcu przecież islamskiej). To pokazuje, jakiego przyspieszenia nabrała historia Iranu – z kraju rządzonego niemal wyłącznie przez duchownych, a więc zideologizowanego, niepodatnego na kompromisy, przeistoczył się w skorumpowaną, wojskową dyktaturę, z którą pewnie łatwiej się teraz dogadać.

W tym nowym układzie Modżtaba jest kimś w rodzaju listka figowego – ostatnim łącznikiem między wojskowymi i rewolucją 1979 r., z której przecież współczesne państwo irańskie wciąż czerpie legitymizację. Jeden z naszych rozmówców przyrównuje go do szefa rady nadzorczej – niby panuje, ale rządzą inni. Z tą zasadniczą różnicą, że jego ojciec próbował równoważyć konkurujące ze sobą ośrodki władzy w państwie, natomiast Modżtaba (na podstawie przypisywanych mu ostatnio decyzji) stara się nakłonić te ośrodki do współpracy.

To jest możliwe z powodu sieci osobistych kontaktów Modżtaby z generałami. Bo jak się zaraz okaże, spotkania najwyższych władz Iranu stały się dziś w zasadzie zjazdami weteranów wojny z Irakiem (1980–88). Brał w niej udział również nowy najwyższy – należał do Batalionu Habibi, tak jak dwa kolejne asy



eprasa.pl fe4ae05645

w naszej talii, z którymi zresztą Modżtaba jest na ty. Ali Vaez z International Crisis Group przypomina, że Modżtaba jeszcze za życia ojca współtworzył z nimi tzw. trójkąt władzy, coś rodzaju irańskiego *deep state*, odpowiedzialnego m.in. za wyniesienie do władzy – poprzez sfałszowane wybory – Mahmuda Ahmadineżada, a być może też likwidację poprzedniego prezydenta Iranu Ebrahima Raisiego, który zginął w „dziwnym" wypadku helikoptera.

Jeśli wyzdrowieje, Modżtaba wbrew nazwie swojego stanowiska nie będzie już najwyższym, ale wojskowi nie mogą obejść się bez niego.

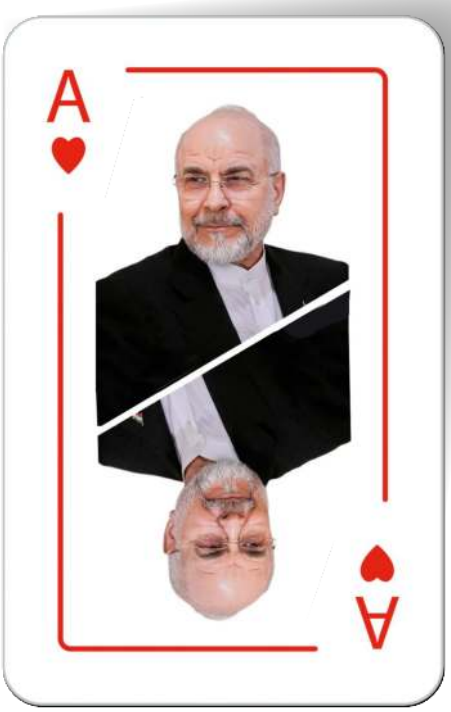


## AS KIER

**Mohammad Baker Kalibaf, lat 64, przewodniczący parlamentu**

Amerykanie chcieliby chyba, aby to on rządził Iranem, choć jeszcze na początku marca nazwał Trumpa „śmierdzącym kryminalistą". Formalnie jest „tylko" przewodniczącym parlamentu, ale jako szef irańskiej delegacji na rozmowy do Pakistanu zyskał międzynarodowy rozgłos, stał się twarzą reżimu. A to tylko brutal udający modernizatora.

Od wojny z Irakiem ciągną się za nim oskarżenia o nieudolność, korupcję, a nawet zbrodnie wojenne. W latach 90., już jako generał Strażników Rewolucji, osobiście brał udział w tłumieniu antyreżimowych protestów, czym się zresztą chwali. W pewnym momencie zdjął jednak mundur i na długie lata został burmistrzem Teheranu, chwalonym do dziś za mosty i autostrady, po których ścigał się na swoim motocyklu. W 2008 r. dotarł nawet na konferencję w Davos, gdzie prezentował się jako nowoczesny Irańczyk.

Irański politolog z Johns Hopkins University Vali Nasr uważa, że Kalibaf gra dziś rolę dobrego policjanta, której nie mógłby pełnić, gdyby nie zleciła mu jej organizacja matka, czyli Strażnicy Rewolucji. Będzie o tym jeszcze kilka słów na koniec, ale poza pewną samodzielnością naszych asów tworzą oni iluzję konkurencyjnego systemu, którą można grać na arenie międzynarodowej. Bo co z tego, że Kalibaf zgodzi się na coś w rozmowach z Amerykanami, jeśli dzień później następny as z tej listy wszystko odkręci? Jednocześnie kolejne irańskie ataki w Ormuzie wcale nie muszą zaprzepaścić negocjacji z Waszyngtonem, bo Kalibaf zawsze może powiedzieć, że to nie on, tylko wojskowi.

Kalibaf doskonale tu pasuje, bo jest elastyczny. Nigdy nie był człowiekiem religijnym, miał ponoć słabość do alkoholu i drogich mieszkań w Stambule, dokąd jego rodzina regularnie lata na zakupy. W latach 90. z ramienia Strażników zajmował się deweloperką (co nie jest bez znaczenia w rozmowach z Amerykanami). A jednocześnie jego pokaźny majątek, szacowany na 3 mld dol., skutecznie uzależnia go od organizacji matki, która łatwo może mu wszystko odebrać.

Podobno Kalibaf jest na „liście nietykalnych", którą Amerykanie przekazali Izraelowi, po tym jak prezydent Trump publicznie martwił się, że zaraz nie będzie miał z kim rozmawiać w Iranie. Ale zdaniem irańskiego socjologa Asefa Bayata, choć nikt inny z irańskiej wierchuszki nie nadaje się lepiej do zawarcia *dealu* z Trumpem, Kalibaf to jednak długofalowo przepis na upadek Republiki Islamskiej.

Bayat ma taką teorię, że kolejne pokolenia irańskich przywódców tworzą sieci oparte na wspólnym doświadczeniu. Dla pierwszego pokolenia władzy była nim rewolucja 1979 r. Dla drugiego, które rządzi – wojna z Irakiem. Następnego pokolenia – w rozumieniu sieci władzy – już nie będzie, bo ludzie dorastający w latach 90. pamiętają głównie przemoc reżimu wobec opozycji i niespotykaną korupcję. Z tymi dwoma zjawiskami kojarzy się młodym Irańczykom właśnie Kalibaf.

## AS KARO

**Ahmad Wahidi, lat 67, szef Strażników Rewolucji**

Jeśli Kalibaf w tym rozdaniu jest „dobrym policjantem", Wahidi jest zdecydowanie „złym". Kolejny weteran wojny z Irakiem, zaliczył wszystkie szczeble awansu w Strażnikach Rewolucji, aby w marcu stanąć na ich czele, gdy Izraelczycy zabili jego poprzednika. Jest również twórcą Quds, czyli ekspedycyjnych sił Strażników, oraz głównym architektem tzw. osi oporu: systemu sojuszników Iranu na Bliskim Wschodzie (m.in. Hezbollah, Hamas, Huti).




Jego świeży awans na szefa Strażników wiele mówi o reżimie. Wahidi był szefem policji obyczajowej, gdy jej funkcjonariusze w 2022 r. zabili „niepoprawnie zasłoniętą" Mahsę Amini, co wywołało wielotygodniowe protesty. Jest kategorycznym przeciwnikiem luzowania obostrzeń obyczajowych, w tym odsłaniania włosów przez kobiety, do których jego Strażnicy regularnie wysyłają esemesy z pogróżkami. Wahidi kierował również tłumieniem styczniowych protestów, w których według różnych źródeł zginęło co najmniej 10 tys. osób (to kilkakrotnie więcej niż było wszystkich ofiar reżimu Pahlawich), bo strzelano do nich z karabinów maszynowych.

Wahidi uchodzi za fanatyka, który nie jest w stanie otworzyć ust bez grożenia Zachodowi zagładą. Nie przeszkadza mu to jednak utrzymywać dwóch domów – w USA i Kanadzie – gdzie przeniosła ▶

© SHUTTERSTOCK, GETTY IMAGES (2)



eprasa.pl fe4ae05645

▶ się część jego rodziny. Opozycyjne media irańskie nie mogą zrozumieć, jak to możliwe w przypadku człowieka, który od lat 90. widnieje na liście Interpolu za współorganizowanie zamachów bombowych na żydowskie centrum w Buenos Aires (85 ofiar).

Wydawać by się mogło, że w reżimie, który jednak wciąż zwraca uwagę na nastroje społeczne, taka osoba nie ma racji bytu. Ale za Wahidim stoją Strażnicy, czyli państwo w państwie. Organizacja, która zaczęła jako pretorianie rewolucji, dziś kontroluje nawet 60 proc. irańskiego PKB, w tym przemysł naftowy. Przede wszystkim to nie zawodowe wojsko, ale właśnie Strażnicy trzymają rękę na irańskich programach balistycznym i nuklearnym.

– *Międzynarodowa izolacja, która jest katastrofalna dla przeciętnych Irańczyków, akurat Strażnikom bardzo służy* – mówi Abbas Amanat, irański politolog z Yale University. – *A mówiąc o Strażnikach, nie mam na myśli tylko 190 tys. regularnych członków i ok. 600 tys. rezerwistów, ale także ich rodziny. Im wszystkim Wahidi zapewnia nie tylko relatywnie wysokie zarobki, ale też opiekę zdrowotną, dostęp do poszukiwanych towarów, a nawet ośrodki wypoczynkowe. W zamian oczekuje lojalności, nawet jeśli oznacza to strzelanie do demonstrantów.*

W odróżnieniu od dwóch poprzednich asów Wahidi ma więc własny „elektorat", choć nie jest z natury przywódcą – raczej zakulisowym graczem. Swój interes widzi w zachowaniu status quo, czyli żadnego otwarcia na Zachód, przy unikaniu jednak bezpośredniej konfrontacji. Jak twierdzi Amanat, Wahidi ma „władzę defensywną" – może wiele zablokować, ale niewiele jest w stanie narzucić. Dlatego będzie torpedował rozmowy w Pakistanie, bo odpowiada mu obecny stan wojny-niewojny z Ameryką i Izraelem.




## AS TREFL

**Hasan Rohani, lat 77, były prezydent**

Głowa państwa w latach 2013–21 to postać w tej talii nieoczywista. Choć po 28 lutego w zasadzie zniknął z medialnych radarów, to pojawia się niemal w każdej rozmowie z Irańczykami krytycznymi wobec obecnego reżimu. Bardziej jako marzenie niż wynik chłodnej analizy. Człowiek, który hasłem swojej politycznej kariery uczynił *e'tedal!* (z umiarem!), wygląda przy dzisiejszej elicie Iranu jak ktoś z innej planety. Zwolennik głębokich reform i rozmów z Zachodem zapewne byłby już dawno uznany za zdrajcę i stracony, gdyby nie podkreślana przez niego na każdym kroku lojalność wobec Republiki Islamskiej.

Jak pisze historyk Abbas Milani, jego prezydentura była jak wietrzenie pokoju po stęchłych latach Mahmuda Ahmadineżada. Rohani, świetnie mówiący po angielsku (doktorat w Glasgow), już wcześniej uczestniczył w rozmowach z Amerykanami. Największym sukcesem jego rządów była umowa nuklearna (JCPOA) podpisana z sześcioma mocarstwami, w tym z USA, która w zamian za pełną transparentność i ograniczenie programu nuklearnego znosiła większość sankcji i dawała szeroki dostęp do zachodnich rynków. W ciągu pierwszych trzech lat obowiązywania umowy irańska gospodarka odpaliła, rozkręciły się też kontakty polityczne z Zachodem. Aż przyszedł Trump i zerwał umowę, tłumacząc, że wynegocjuje o wiele lepszą, czego do dziś nie zrobił.

Wtedy kariera Rohaniego się załamała. W kraju obwiniano go za naiwność względem Amerykanów. Były już prezydent usunął się w cień, ale nie porzucił polityki. Pojawiał się publicznie za każdym razem, gdy Iran był w kłopotach. – *Znam wielu antysystemowych Irańczyków, którzy w tym człowieku systemu dojrzeli jedyną szansę na zmianę* – mówi anonimowo irański dziennikarz. Rohani błysnął podczas wojny 12-dniowej z zeszłego roku, gdy wezwał Alego Chameneiego do bezpośrednich rozmów z Amerykanami. Zaraz po wojnie na Rohaniego – jako możliwego partnera do rozmów – wskazał sam Trump, co rozwścieczyło Strażników Rewolucji.

Część opozycyjnych mediów, a nawet francuski „Le Figaro", pisało po styczniowych protestach w Iranie, że w ich krytycznym momencie Rohani wraz z grupą sojuszników próbował odsunąć Chameneiego od władzy. Już sam fakt, że wciąż żyje po takim incydencie, świadczy o jego zakulisowych wpływach, które wręcz wzrosły przed samym atakiem amerykańsko-izraelskim – mówiło się wtedy, że może nawet zastąpić Alego Chameneiego.

Wybór Modżtaby na nowego najwyższego oraz przejście reżimu w tryb awaryjny na czas wojny musiało zepchnąć Rohaniego i jemu podobnych na drugi plan. Ale to nie jest mała grupa wewnątrz systemu. Nie tylko Rohani uważa, że odsłonięte włosy kobiet nie są zagrożeniem dla bezpieczeństwa państwa. – *Dziś odpór, jaki dali Amerykanom Strażnicy i inni twardogłowi, wywołuje dumę wśród wielu Irańczyków, których trudno uznać za prorežimowych* – przekonuje Ali Vaez. – *Ale ten odpór bardzo dużo kosztuje irańską gospodarkę i wkrótce może się okazać, że Rohani ze swoim umiarem stanie się jedyną opcją na przetrwanie reżimu.*

### Blotki i jokery

Cztery asy nie wyczerpują talii. Ale za każdym z nich kryją się niższe figury pojawiające się w naszej ankiecie, często niemniej wpływowe, np. Mohammad Baker Zolkadr, nowy szef Najwyższej Rady Bezpieczeństwa Narodowego, postać szczególnie mroczna, albo niedoceniany prezydent Masud Pezeszkian, który choć odsunięty od spraw bezpieczeństwa, dwoi się i troi, żeby w czasie wojny śmieci były regularnie wywożone, a prąd docierał do szpitali.

Z tak ułożonej talii kart współczesny Iran przypomina nieco Związek Radziecki po śmierci Józefa Stalina. Niby władzę przejął Gieorgij Malenkow (w tej roli Modżtaba Chamenei), ale to blotka, człowiek wygodny dla silniejszych od niego, którzy muszą teraz na nowo ustalić relacje siły. I nie jest wcale oczywiste, że te karty jeszcze się nie przetasują; dominujące dziś brutalne i zakulisowe postacie – pokroju Ławrientija Berii – związane ze Strażnikami wcale nie są skazane na zwycięstwo. Ostatecznie po pół roku rządów Malenkowa zastąpił Nikita Chruszczow i nastała odwilż. Czego i Irańczykom należy życzyć.

ŁUKASZ WÓJCIK

© GETTY IMAGES



eprasa.pl fe4ae05645




# Uprowadzony kraj

**Waszyngton rękami ludzi starego reżimu tworzy swój protektorat w Wenezueli. Życie większości Wenezuelczyków w zasadzie nie uległo zmianom – na razie przybyło tylko wstydu.**

**ARTUR DOMOSŁAWSKI**

Zacznijmy od estetyki. U ludzi ze świecznika znikają czerwone berety w stylu Che Guevary, jakie nosili Hugo Chávez i jego następca Nicolas Maduro, porwany w styczniu przez siły specjalne USA. Czerwony beret zastąpiła ciemnobłękitna bluzka ich sukcesorki – niektórzy rzekliby: zdrajczyni – Delcy Rodríguez, rządzącej od czterech miesięcy z nadania największego wroga, czyli Waszyngtonu. Biznesowa kolorystyka sugeruje, że mamy do czynienia już nie z rewolucją, ale z technokracją.

Nad ambasadą USA na jednym ze wzgórz okalających Caracas powiewa amerykańska flaga. Przez ćwierć wieku rządów Cháveza (1999–2013) i Maduro (2013–26) była ona poniewieranym tu symbolem imperium, znienawidzonym przez obóz władzy.

Jednak dla części Wenezuelczyków, nastawionych wrogo do władzy chavistów, jankeskie barwy to kolory sojusznika. Flagi USA pojawiły się na niedawnych demonstracjach studenckich, jak i przed siedzibą prawicowej partii Vente Venezuela – założyła ją Maria Corina Machado, liderka opozycji i pokojowa noblistka z 2025 r., przebywająca wciąż na emigracji. Jeszcze niedawno rządzący chaviści wyklinaliby ludzi celebrujących amerykańskie symbole, nazywaliby ich zdrajcami, być może aresztowali – teraz muszą to wszystko tolerować.

**Przypomnijmy, co się stało. 3 stycznia siły specjalne USA zaatakowały Wenezuelę i porwały urzędującego prezydenta Nicolasa Maduro** (który dwa lata wcześniej sfałszował wybory) i jego żonę Cilię Flores. W czasie amerykańskiego ataku zginęło 80 osób, głównie z rządowej ochrony. Ku zaskoczeniu wielu prezydent USA Donald Trump nie doprowadził jednak do zmiany ekipy rządzącej w Caracas. Rządzą ci sami ludzie, co wcześniej – jedynie bez uprowadzonego Maduro – tyle że pod kuratelą Stanów Zjednoczonych.

Sytuacja ta budzi u jednych oburzenie, u innych konfuzję. Choć Trump nie szafował demokratyczną retoryką, wielu zakładało, że motywem interwencji było przede wszystkim obalenie dyktatora. Naprawdę chodziło jednak o demonstrację siły, amerykańską hegemonię w regionie – taką w starym stylu. I oczywiście o dostęp do największego wenezuelskiego bogactwa: ropy naftowej.

Wenezuela to naftowa potęga – według niektórych szacunków ma największe na świecie złoża ropy. I jak to bywa w krajach żyjących z surowców naturalnych: ich gospodarki zależą od cen danego surowca na rynkach światowych – a te są zmienne. A przekonanie, że nawet w biedzie owo bogactwo naturalne wybawi kraj z kłopotów, prowadzi do zaniedbywania innych gałęzi gospodarki. Wenezuela jest tego dobrym przykładem.

Hugo Chávez, który doszedł do władzy pod koniec minionego stulecia, obiecał Wenezuelczykom, że zyski z ropy poprawią los najuboższych. I rzeczywiście, za jego rządów biedni uzyskali większy dostęp do dóbr materialnych i usług publicznych – poprzez pomoc gotówkową, tzw. szkoły boliwariańskie, dające opiekę dzieciom od rana do wieczora, budowę przychodni zdrowia w każdym slumsie, dotowaną żywność dla biednych.

Ale, wbrew zapowiedziom, Chávez nie rozwinął innych sektorów gospodarki. ▶

© JAVIER CAMPOS/NURPHOTO/GETTY IMAGES



eprasa.pl fe4ae05645

▶ Gdy zmarł w 2013 r., a ceny ropy na rynkach spadły, Wenezuela popadła w kłopoty. Uzależniona od jednego surowca gospodarka pogrążyła się w kryzysie, ludzie zaczęli protestować – a wtedy następca Cháveza, Maduro, wysyłał policję, by strzelała do protestujących. Dołożyły się do tego fatalne zarządzanie i korupcja. Skutkiem była zapaść ekonomiczna i wielki exodus kilku milionów Wenezuelczyków.

**Uzasadniając interwencję wojskową w Wenezueli, Trump nie obiecywał demokracji i dobrobytu** – twierdził za to, że Maduro stoi na czele kartelu narkotykowego, który pustoszy Stany Zjednoczone. Oskarżenia te były dęte, nawet jeśli wierchuszka obozu władzy w Caracas była/jest uwikłana w przemyt zakazanych substancji. Trump potrzebował wymówki przed światem i swoimi wyborcami niechętnymi zagranicznym interwencjom.

Kluczowym motywem było przywrócenie dostępu do złóż wenezuelskiej ropy dla amerykańskich koncernów naftowych, które ze względu na wzajemną wrogość między oboma krajami dostęp ten jakiś czas temu utraciły. Żeby był trwały, USA tworzą teraz w Wenezueli – rękami niedawnych wrogów – swój protektorat, terytorium de facto zależne.

Krokiem w tę stronę jest ustawa o węglowodorach i górnictwie uchwalona miesiąc temu w parlamencie kierowanym przez brata Delcy, Jorge Rodrígueza. Celem nowego prawa jest „przyciągnięcie kapitału krajowego i zagranicznego przy zapewnieniu bezpieczeństwa prawnego". Rodríguez prezydentka nie wyklucza też prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych (z wyjątkiem sektora naftowego, który został znacjonalizowany w 1976 r.).

Tymczasowa prezydentka dostała od parlamentu władzę stanowienia lub unieważniania procedur administracyjnych za pomocą dekretów – ma to służyć przyspieszeniu inwestycji. Zapowiedziała „odpowiedzialną" podwyżkę płac, a także reformę prawa pracy i systemu podatkowego – przypuszczalnie sprzyjającą sektorowi prywatnemu. Wszystkie te kroki były podejmowane w porozumieniu z amerykańską namiestniczką w Caracas (o tym za chwilę).

To także gra w polityce wewnętrznej: obóz władzy chce zachować jak najszersze poparcie wśród swojego tradycyjnego elektoratu, czyli ubogich, a zarazem rozszerzyć bazę wyborczą o ludzi biznesu i część opozycji, dla której kapitalizm może się okazać ważniejszy od demokracji.

Ryzykowna jest ta probiznesowa wolta. Mimo sfałszowania wyborów i strachu przed Amerykanami, część „twardej" bazy chavistów domaga się powrotu Maduro, który aktualnie przebywa w nowojorskim więzieniu. W marcu rozpoczął się proces przeciw niemu, w którym oskarżony jest m.in. o „narkoterroryzm". Hiszpański dziennik „ABC" donosi, że były dyktator ma w więzieniu problemy ze snem. Słyszano, że nocą krzyczał: „Powiedzcie mojemu krajowi, że zostałem porwany!".

Maduro wraz z żoną wysłali z więzienia list „do narodu wenezuelskiego". Dziękują zwolennikom za „niezliczone przejawy wsparcia, odwagi i modlitwy". „Każde słowo miłości, każdy gest życzliwości i każdy wyraz wsparcia napełnia nas duchową siłą" – piszą. „Jesteśmy w dobrej kondycji, stanowczy, spokojni i trwamy w modlitwie". Przywołują fragment ewangelii św. Łukasza: „Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie". Apelują do rodaków o „dalsze umacnianie pokoju w kraju, jedności narodowej, pojednania, przebaczenia i ponownego spotkania wszystkich obywateli".

Polityczna zagrywka czy nowa twarz skruszonego autokraty? Może jedno i drugie.

**Ekonomiczny cel amerykańskiej interwencji właśnie się spełnia.** W połowie kwietnia naftowy gigant Chevron podpisał z rządem Wenezueli nowe umowy obejmujące przede wszystkim wydobycie ropy na obszarze Pasa Naftowego Orinoko. Koncern umocnił tym samym pozycję największego prywatnego producenta ropy w regionie Orinoko.

Pozycja Chevronu w Wenezueli jest od dawna wyjątkowa. Jeszcze za czasów Cháveza jako jedyna z amerykańskich firm naftowych zaakceptowała przymusowe przejście na model spółek mieszanych. W tym samym czasie jej główni konkurenci: ConocoPhillips i ExxonMobil opuścili kraj i złożyli pozwy o odszkodowania za znacjonalizowane aktywa. Sprawa pozostaje nierozstrzygnięta do dziś.

Gdy w czasie pierwszej kadencji Trump nałożył sankcje na wenezuelski sektor naftowy, uczynił wyjątek dla Chevronu – pozwolił firmie na operacje w Wenezueli praktycznie do końca swoich rządów. Chevron korzysta z sytuacji i dziś, gdy inne firmy naftowe wciąż wyczekują, nie mając pewności, czy w Wenezueli istnieją wystarczające gwarancje prawne, by tam inwestować.

Ruchy polityczne są skromniejsze od tych w sferze gospodarki. Wizerunkowo ważna jest wymiana połowy rządu oraz odsunięcie kluczowych strażników starego systemu. Ale swobody obywatelskie i polityczne są dozowane. Z jednej strony wypuszczono ponad połowę więźniów politycznych, z drugiej – ok. 400 nadal przebywa w więzieniach. Rząd wysyła w ten sposób sygnał: za bunt przeciw władzy wciąż można słono zapłacić.

Za postępy w transformacji kraju różne ośrodki analityczne i organizacje pozarządowe uznają powrót firm międzynarodowych, częściowe zniesienie sankcji wobec naftowego giganta PDVSA i banku centralnego, jak również ograniczenie stosowania tzw. ustawy o nienawiści (pozwala ona skazywać przeciwników rządu za krytykę pod jego adresem).

Amerykańska interwencja i jej następstwa doprowadziły jednak do kryzysu legitymacji władzy. Sąd Najwyższy uznał usunięcie Maduro za „przymusową nieobecność" – jest to jednak kategoria prawna nieistniejąca w konstytucji. Na czym więc – w znaczeniu prawnym – opiera się władza Delcy Rodríguez?

W Wenezueli zastępstwo za prezydenta może objąć wiceprezydent – i Delcy Rodríguez pełniła tę funkcję – na 90 dni z możliwością przedłużenia do 180 dni (termin ten upłynie 3 lipca br.). Następnie trzeba w ciągu 30 dni rozpisać wybory. Czy Trump i chaviści zdecydują się je rozpisać, to zagadka sezonu. Legitymacja władzy w Caracas opiera się w tej chwili wyłącznie na woli Trumpa.

Tego rodzaju polityczno-prawne kurioza Wenezuela zna z ostatnich lat całkiem nieźle. W 2019 r. opozycja powołała równoległy rząd Juana Guaidó, a wraz z nim jego przedstawicielstwa dyplomatyczne. Guaidó, amerykańska marionetka z czasu pierwszej kadencji Trumpa, powoływał się na wątpliwe interpretacje konstytucji, według których można ogłosić „nieobecność prezydenta". Taki stan ogłoszono, a pretekstem był kryzys gospodarczy i bezradność Maduro wobec jego kolejnych odsłon. Maduro oczywiście rządził, a policja szykanowała opozycję. Więcej – jego rząd był oficjalnie uznawany przez Trumpa.



eprasa.pl fe4ae05645




**Mimo optymizmu ekonomistów większość Wenezuelczyków nie odczuwa polepszenia swojej sytuacji**

Dziś, jak pokazują badania, w społeczeństwie wenezuelskim zarysowują się trzy podejścia. Jedni sądzą, że USA chcą doprowadzić do demokratyzacji, a obecny stan jest przejściowy. Drudzy mają nadzieję, że choć obóz chavistów pozostanie przy władzy, to nie będzie rządził żelazną ręką. Wreszcie trzeci – nie przywiązują wagi do demokratyzacji, liczą jedynie na poprawę warunków bytowych w ramach systemu.

Na razie nic nie sugeruje, by chaviści mieli prędko oddać władzę. Jak pisze jedna z hiszpańskich gazet: „Po latach represji i kryzysu gospodarczego obecne zmiany mogą wydawać się ulgą, ale w rzeczywistości mamy do czynienia z autorytaryzmem, który zmienił styl, lecz nie swoją naturę". Uważa się, że kierunek reform określanych coraz częściej jako neoliberalne, przy zachowaniu autorytarnego modelu zarządzania, przypomina model znany z Wietnamu.

„Zaskoczyło mnie to, co zobaczyłem: dumna stolica przytłoczona przez gospodarczy upadek, autorytarny reżim i ogromny odpływ wykwalifikowanych ludzi, ale wykazująca oznaki powrotu do życia" – pisze Simon Romero, były korespondent „New York Timesa" w Wenezueli, który odwiedził Caracas pierwszy raz od prawie 20 lat. Opisuje nowe restauracje, przepełnione kluby nocne, rozkwit start-upów. Czy to początek ożywienia gospodarczego? Tak to widzi korespondent i jego rozmówcy.

„Duża część rodzącego się optymizmu opiera się na nadziei, że podupadły przemysł naftowy Wenezueli zacznie w tym roku rosnąć. Również autorytarne ograniczenia nieśmiało znikają wraz z uwalnianiem więźniów politycznych, a Wenezuelczycy testują granice cenzury, wychodząc na ulice, by organizować niewielkie protesty. Mimo to obecna chwila jest krucha i pełna poważnych ograniczeń. Caracas nadal pozostaje swego rodzaju bańką, w której bogactwo skupia się w rękach niewielkiej elity, a tylko część mieszkańców miasta jest w stanie pozwolić sobie na ceny w drogich lokalach nocnych".

Rozwarstwienie to błyskotliwie opisuje cytowany w reportażu Brytyjczyk mieszkający na stałe w Caracas: kraj ma płace na poziomie Zimbabwe, usługi publiczne rodem z Bangladeszu, a ceny jak w Nowym Jorku.

**Romero przestrzega przed optymizmem co do zbliżenia między Wenezuelą i USA.** Jak każdy przytomny obserwator, widzi, że to zbliżenie jest wynikiem interwencji wojskowej i presji Waszyngtonu, nie wyborem Wenezuelczyków. A to może mieć konsekwencje – np. protesty w niedalekiej przyszłości.

Gdy nieczynny przez siedem lat i pożerany przez grzyby budynek ambasady USA przechodził remont, „centrum operacyjnym" Amerykanów był przejściowo Hotel Marriott. Amerykańska chargé d'affaires Laura Dogu – de facto amerykańska namiestniczka – była częstą gościnią Delcy Rodríguez w pałacu prezydenckim Miraflores. Ale właśnie została odwołana. Spekuluje się, że choć Rodríguez konsultowała z nią kluczowe decyzje, Dogu nie była w stanie wywrzeć wystarczająco silnej presji na szybsze wprowadzanie zmian.

Zastąpił ją przeniesiony z placówki w Gwatemali zawodowy dyplomata John Barrett. Jedna z gazet opisała go jako człowieka od kwestii bezpieczeństwa, kontroli migracji, walki z narkobiznesem i zwolennika idei „America First". W Gwatemali był skonfliktowany z prezydentem Bernardem Arévalem, który krytykował ingerencje ambasady USA w krajową politykę. Czyli z perspektywy Waszyngtonu: właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Anegdotyczne, ale i charakterystyczne w kwestii „na ile poważnie amerykańska administracja traktuje Wenezuelczyków", są deklaracje samego Trumpa. Na początku kwietnia sugerował publicznie, że mógłby zastąpić Delcy Rodríguez w roli głowy państwa. „Mam wyższe poparcie, niż ktokolwiek kiedykolwiek miał w Wenezueli" – powiedział. „Szybko nauczę się hiszpańskiego – to nie zajmie dużo czasu, mam talent do języków – i pojadę do Wenezueli, gdzie wystartuję w wyborach prezydenckich".

Choć ekonomiści przewidują w tym roku dwucyfrowy wzrost gospodarczy, większość Wenezuelczyków wciąż nie odczuwa polepszenia swojej sytuacji. Ulicami Caracas przeszło już kilka marszów protestacyjnych. Na przykład wykładowcy publicznych uczelni domagali się ogólnej poprawy warunków życiowych – traktują to jako konstytucyjny obowiązek rządzących. Ten sposób myślenia to dziedzictwo ćwierćwiecza chavistów u władzy i idei „socjalizmu XXI w.": państwo ma obowiązki, powinno zapewniać ludności usługi publiczne i godziwe warunki życia. Tyle że na oczach protestujących ci sami chaviści pod kuratelą Waszyngtonu weszli właśnie na drogę demontażu swoich wcześniejszych polityk i idei.

Państwo wenezuelskie ma potencjał finansowania rozwoju. Być może rząd chciałby nawet podnieść płace, czego domagają się obywatele, ale nie jest w tej kwestii niezależny. Dochody z ropy trafiają bowiem na konta Departamentu Skarbu USA, a ten przekazuje ich część Wenezueli według niejasnych kryteriów. W ten oto sposób realizuje się koncept amerykańskiego protektoratu. A upokorzenie jest tym większe, że dokonuje się rękami tych, którzy przez ćwierć wieku widzieli w USA wcielenia diabła.

Wizerunki Hugo Cháveza, ojca założyciela rewolucji boliwariańskiej, stopniowo znikają z murów Caracas. Jak donoszą korespondenci, widoczne są teraz jedynie w centrum historycznym miasta. Czy uwierają towarzyszy, którzy musieli się ugiąć przed potęgą imperium? Być może każą je zamalowywać ze wstydu – nie chcąc, by wódz patrzył na to, co robią i co stało się z ich rewolucją.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

© JESUS VARGAS/GETTY IMAGES



eprasa.pl fe4ae05645

# Reżim kombinuje

**Po uwolnieniu Andrzeja Poczobuta trudno będzie nie ulec pokusie ocieplenia wizerunku białoruskiego dyktatora Aleksandra Łukaszenki.**

JĘDRZEJ WINIECKI

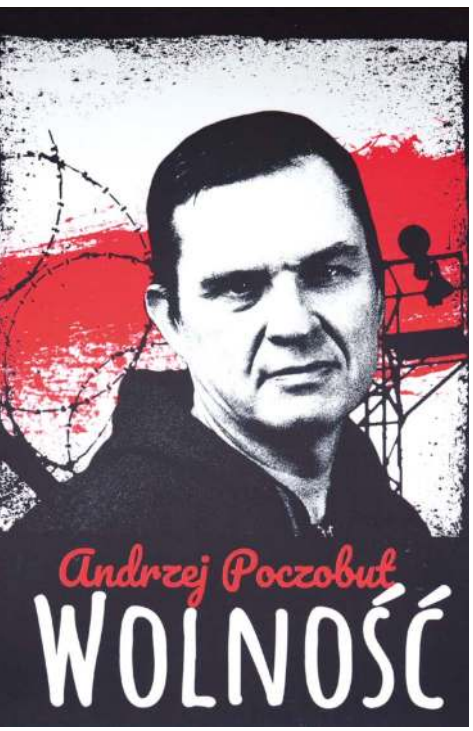




Andrzej Poczobut na plakacie z 2025 r. Obok, już wolny, z żoną Oksaną w warszawskim szpitalu.

Przez 1860 dni hasło „Poczobut" blokowało szanse na jakiekolwiek nowe otwarcie w polskich stosunkach z reżimem uzurpatora z Mińska. Zresztą w czasie, gdy korespondent „Gazety Wyborczej" i działacz polskiej mniejszości przebywał w łagrach, doszło do ich dodatkowego załamania. Spuścizną ostatnich lat jest reżyserowany przez Łukaszenkę kryzys migracyjny, graniczny płot, tysiące pilnujących go żołnierzy i funkcjonariuszy oraz udział Białorusi w rosyjskim najeździe na Ukrainę. Ale Łukaszenka bez Poczobuta to już nieco inne równanie. Wymagające m.in. odpowiedzi na pytania o kwestie, na których dyktatorowi szczególnie zależy, w tym o dalsze utrzymywanie unijnych sankcji gospodarczych i ograniczeń w ruchu na polskich przejściach granicznych.

**Są co najmniej trzy objaśnienia, dlaczego Andrzej Poczobut został zwolniony właśnie teraz**, po latach starań na rzecz jego uwolnienia. Tym razem sprzyjał moment. Łukaszenkę do wymiany miała zmusić Rosja, której pilnie zależało na osobach przetrzymywanych w Polsce i Rumunii. W tym na profesorze archeologii, któremu za prowadzenie nielegalnych wykopalisk na Krymie groziła ekstradycja do Ukrainy. Rosja upomniała się o Poczobuta, bo jego zwolnienia żądali Amerykanie, którym o losie dziennikarza regularnie przypominali działający ponad partyjnymi sporami Polacy.

Rosja nie odnotowała w związku z wymianą żadnych poważnych kosztów. Stratny był tylko Łukaszenka, jej lojalny wasal, który oddał swego być może najważniejszego zakładnika. Na pocieszenie został mu nastrój sugerujący podejrzane powiązania Poczobuta. Więzień sumienia przekroczył granicę w ramach wymiany z udziałem szpiegów. Mimo że został uwięziony i skazany w pokazowym procesie nie za pracę na rzecz obecnego wywiadu, ale za rzetelne wykonywanie zawodu dziennikarza.

Pozostałe wątki koncentrują się na motywacji ekipy prezydenta Stanów Zjednoczonych. Sprawa nie wygląda na błahą, skoro do kontaktów z Łukaszenką Donald Trump powołał „specjalnego wysłannika". Tacy nieformalni reprezentanci, na czele z zięciem i kolegą od golfa, działają na istotnych dla Trumpa odcinkach, na Bliskim Wschodzie i w Rosji. Obsługujący kierunek białoruski John Coale to prawnik doświadczony w korporacyjnych negocjacjach i mąż konserwatywnej dziennikarki telewizyjnej. Nie miał wcześniej żadnych związków z Europą Wschodnią, ponoć nie za bardzo wiedział, gdzie Białoruś leży.

**Misję Coale'a ma napędzać perspektywa dobrych interesów.** Białoruś jest znaczącą producentką nawozów potasowych, drożejących na świecie w ślad za coraz wyższymi cenami energii. Pod koniec zeszłego roku, w nagrodę za uwolnienie pierwszej grupy więźniów, Ameryka swoje sankcje nawozowe zniosła. Utrzymuje je nadal Unia Europejska, a bez jej zielonego światła nie da się sprawnie i tanio wywieźć produkcji np. przez litewski port w Kłajpedzie i sprzedać z dobrą marżą europejskim rolnikom. Transporty mogłyby być łatwiejsze do zaakceptowania, gdyby udało się je jakoś powiązać z Ameryką. Łukaszenka nie wyklucza wspólnych przedsięwzięć z Amerykanami, a Coale m.in. w Wilnie naciskał na Litwinów, by przy sankcjach się już nie upierali.

Trumpa trudno podejrzewać o pobudki humanitarne, ale dla przykrycia coraz liczniejszych porażek jego rząd szuka sukcesów, a akurat całkiem wyraźne „pokojowe" postępy w Białorusi osiągane są niewielkimi nakładami. W zasadzie wystarcza tylko dyplomatyczna presja. Jakimś ułatwieniem jest to, że w przetrzebionym kadrowo departamencie

© AFP/EAST NEWS, OKSANA POCZOBUT



eprasa.pl fe4ae05645

stanu pozostały osoby, które Białorusią zajmują się od dawna i nieźle ją znają. Ich obecnym politycznym zwierzchnikom nie przeszkadzają bagaże Łukaszenki i nie traktują go tak pryncypialnie jak za prezydentury Joe Bidena.

Dokonania w Białorusi są na tyle namacalne, że nawet dziennik „New York Times", bardzo krytyczny dla gospodarza Białego Domu, pisze, że tu jego podejście „przynosi coraz lepsze efekty". Także obecna wymiana to „kolejny sukces polityki Trumpa", polegającej na szukaniu kontaktu z Łukaszenką i łagodzeniu niektórych sankcji w zamian za zwolnienie więźniów. Pomaga i to, że Łukaszence Trump imponuje. Chce wykorzystać moment jego dobrego humoru. Obecnie tytułowany jest „wielce szanownym prezydentem". Ma też obiecywane dwustronne spotkanie. Gdyby do niego doszło, np. w związku ze zjazdem członków niedawno powołanej Rady Pokoju, byłaby to pierwsza taka okazja w ponad 30-letnich rządach uzurpatora z Mińska.

Jest wreszcie hipoteza próbująca łączyć powyższe elementy. Widzi w pociągnięciach Trumpa jakiś głębszy, wręcz strategiczny sens. Chodzi o próby wciągania Rosji w orbitę trumpowskiej Ameryki, co z kolei wymierzone jest przeciwko Chinom, pozostającym głównym przeciwnikiem Stanów Zjednoczonych. A tak się składa, że i Rosja, i zszyta z nią Białoruś są bardzo blisko z Chinami. Na tyle, że Łukaszenka wysłał syna na studia do Pekinu, a białoruska milicja jeździ samochodami chińskiej produkcji. Po wyborczej przegranej Viktora Orbána z państw europejskich szczerze bliskich Chinom pozostała jeszcze Serbia Aleksandra Vučicia. Co podbija atrakcyjność wyłuskania – na początek Białorusi – z chińskiej strefy wpływów.

Spotykający się z Coale'em Łukaszenka uspokaja rodaków, że nie wychodzi przed szereg i nie zrywa się z rosyjskiej smyczy, bo wszystkie decyzje podejmowane są w ścisłej koordynacji z Władimirem Putinem. Rosja nie ma nic przeciwko, by jej najwierniejszy sprzymierzeniec stawał się nieco silniejszy. – *Znoszenie sankcji wobec Białorusi pośrednio osłabia izolację Rosji* – zwraca uwagę Kamil Kłysiński, ekspert Ośrodka Studiów Wschodnich. Co ma wymiar bardzo praktyczny. W listopadzie wyswobodzono z sankcji białoruskich przewoźników lotniczych. Taki ruch pozwala importować części zamienne do Boeingów, w tym maszyny wożącej prezydenta Łukaszenkę. A Boeingami, wymagającymi pilnych uzupełnień podzespołów, latają też wciąż objęte sankcjami linie rosyjskie. Pewnie i do nich trafią części sprowadzane do Białorusi.

**Równolegle pojawia się ryzyko ocieplenia wizerunku Łukaszenki.** No bo skoro zwolnił ponad pół tysiąca więźniów politycznych i nawiązał życzliwe stosunki z przywódcą Ameryki, to nie może być z nim tak źle. Coale zapowiada kolejną rundę negocjacji na połowę maja. Twierdzi też, że „złapał nić zaufania" z Łukaszenką, który miałby ochotę na powrót do „rodziny europejskich narodów". Tyle że Łukaszenka takiego numeru próbował już wielokrotnie. Obiecywał, że poluzuje reżimową śrubę, a w zmian głównie od Europejczyków oczekiwał wsparcia gospodarczego i pomocy w uniezależnieniu się od Rosji, bo zdarzały się okresy słabszej zażyłości z Putinem. Puszczał oko m.in. do polskich rządów. W 2010 r. do przeprowadzenia demokratycznych wyborów przekonywał go szef MSZ Radosław Sikorski. Kilka lat później „ciepłego człowieka" zobaczył w nim pisowski marszałek Sejmu Stanisław Karczewski. Efekt tych wysiłków jest znany. – *Nie wpadajmy w euforię, nie ma mowy o odwilży* – przestrzega Franak Wiaczorka, główny doradca Swiatłany Cichanouskiej, pozostającej na emigracji przywódczyni białoruskiej opozycji.

Nadal jest kogo zwalniać. Sytuację przetrzymywanych za poglądy śledzi organizacja Wiasna. Według jej spisu 30 kwietnia 2026 r. za kratami pozostawało 831 więźniów politycznych. Represje trwają, aresztowania są prowadzone. Podczas przesłuchań władze sugerują części prześladowanych, by wyjechali z Białorusi i nigdy nie wracali. To jednak nie gwarantuje bezpieczeństwa. W kraju zostają bliscy, a reżim coraz sprawniej ściga swoich przeciwników także za granicą i tam też stara się uprzykrzać im życie. O czym przypomina historia Anżeliki Mielnikawej, jednej z czołowych postaci opozycji, która po tajemniczym zaginięciu i związku z agentem KGB odnalazła się w Mińsku.

Jest coś symbolicznego w zdjęciach z przejścia granicznego w Puszczy Białowieskiej, na których Andrzej Poczobut trzyma białoruski paszport. Ma niebieską książeczkę w dłoni, mimo że witający go premier Donald Tusk nie zamierzał jej wcale przeglądać. Paszport to nie tylko dokument uprawniający do podróży zagranicznych, w przypadku Poczobuta deklarowanego powrotu do ojczyzny, ale przede wszystkim noszony na co dzień główny dowód tożsamości. To także namacalny znak kontroli zbiurokratyzowanego reżimu nad obywatelami.

W 2023 r. Łukaszenka zakazał placówkom dyplomatycznym wydawania paszportów, można je uzyskać tylko w urzędzie w Białorusi. Ta szykana sprawiła, że setki tysięcy emigrantów stało się ekspertami od europejskich procedur migracyjnych. Wiedzą, jakie przepisy obowiązują w którym kraju i jak długo czeka się na wydanie dokumentów. A czeka się miesiącami, często ponad rok.

Tak się składa, że rdzeń białoruskiej emigracji i wolnej Białorusi, na czele ze Swiatłaną Cichanouską, osiadł w Polsce. Ta sama Rzeczpospolita, która ubolewa, że dawniej nie wspierano jej emigracji, bo Cyprian Kamil Norwid klepał biedę i został pochowany w paryskiej zbiorowej mogile, a gen. Stanisław Maczek po wojnie pracował jako barman w edynburskich hotelach, skazuje emigrację białoruską na traumę oczekiwania na wydanie pozwoleń uprawniających do legalnego pobytu, pracy, nauki czy poruszania się po strefie Schengen. Wyzwaniem staje się otwarcie kont w polskich bankach. Problem jest poważny. I demokratyczny, bo po równo trudności mają rodziny z dziećmi odciętymi od edukacji, emeryci odcięci od emerytur, działacze polityczni i najwybitniejsi białoruscy intelektualiści.

Rzecz wygląda na politykę obliczoną na wyhamowanie imigracji do Polski, która obywatelki i obywateli Białorusi traktuje prewencyjnie jak potencjalnych szpiegów. Polskie wizy wydawane są bardzo oszczędnie. Podobne obawy ma wyludniająca się Litwa, wystraszona zagrożeniem slawizacji. Dawniej wyzwaniem były głównie mniejszości polska i rosyjska, teraz dołączyło do nich wielu uciekających przed Łukaszenką Białorusinów. I o ile w Polsce widać licznych chętnych do przypisywania sobie udziału w przywróceniu bohaterowi wolności, o tyle nie ma na horyzoncie nikogo, kto wywierałby faktyczną presję na rząd, by choć trochę złagodzić emigracyjną udrękę Białorusinów. Teraz białoruska diaspora zyskuje znanego rzecznika – o ile głos wolnego Andrzeja Poczobuta będzie faktycznie słuchany. ■



eprasa.pl fe4ae05645



# Timmy, woła cię świat

**Sytuację wieloryba, którego nie wiadomo kto nazwał Timmy, śledziły miliony ludzi. Ta jego historia dobiegła końca, ale pozostawiła pytania, na które dobrze byłoby znaleźć odpowiedzi.**

MICHAŁ ROLECKI

Każdego roku na plażach i mieliznach całego świata ląduje – według różnych źródeł – od 2 do nawet 10 tys. zwierząt. Nikt do końca nie wie, co je tam sprowadza. Jeśli są to osobniki młodociane, można winić ich słabą orientację i skłonność do ryzyka. W przypadku zwierząt w sile wieku takie zdarzenia przypisuje się głównie błędom w echolokacji. Wieloryby w silnie zasolonej wodzie podtrzymuje siła wyporu. Gdy zwierzę ląduje na płyciźnie, jego wrogiem staje się siła ciążenia. Masywne ciało zapada się pod własnym ciężarem. Każdy dzień to trauma dla uciskanych organów wewnętrznych, tętnic i mięśni. Gorzej pracują płuca, serce, pojawia się niedotlenienie. Z czasem dochodzi do śmierci w wyniku zatrzymania krążenia lub uduszenia. To powolna śmierć. 80–90 proc. takich zwierząt nie udaje się pomóc.

Timmy wpłynął do Zatoki Meklemburskiej w pierwszych dniach marca. Kilka razy wplątywał się w rybackie sieci i z nich oswobadzał. W nocy z 22 na 23 marca utknął na płyciźnie nieopodal Wismaru. Uwolnił się, by 1 kwietnia znów



eprasa.pl fe4ae05645

utknąć u wybrzeży pobliskiej wyspy Poel. Eksperci byli zdania, że zwierzę trafia na mielizny, bo jest zbyt słabe, by pływać. Jego stan określono jako bardzo zły i postanowiono go nie ratować. Greenpeace, który wcześniej pomagał, wycofał się z działań. By humbak mógł umrzeć w spokoju, ustanowiono zakaz zbliżania się i lotów dronami w promieniu kilkuset metrów.

Nieoczekiwanie, ponad dwa tygodnie później, z propozycją sfinansowania akcji ratunkowej wyszła dwójka niemieckich multimilionerów: założyciel Media Marktu Walter Gunz oraz hodowczyni koni Karin Walter-Mommert.

### „Nie mamy szans, ale z nich korzystamy"

Pomysł akcji ratunkowej krytykowali eksperci z Whale and Dolphin Conservation, naukowcy z Niemieckiego Muzeum Morskiego czy Instytutu Badań nad Dziką Fauną Lądową i Wodną. Lekarze weterynarii i biolodzy zajmujący się ssakami morskimi byli zdania, że pomoc nie daje zwierzęciu wielkich szans na przeżycie, narazi je na stres, wiąże się z ryzykiem obrażeń i jest niepotrzebnym przedłużaniem cierpienia.

Gunz argumentował wówczas: „Bez tej próby wieloryb i tak umrze. Jeśli ją podejmiemy, przynajmniej jest szansa, że uda się go uratować". Walter-Mommert zaś dodawała: „Nie mamy szans, ale z nich korzystamy". Ministerstwo środowiska Meklemburgii-Pomorza Przedniego na ten plan przystało. Niewykluczone, że zrobiło to pod presją społeczną, bo przeciw decyzji o pozostawieniu humbaka swojemu losowi odbyły się protesty.

Akcja ratunkowa zaczęła się w piątek 17 kwietnia. W weekend przerwano ją z powodu sztormowych fal. Północno-wschodni wiatr podniósł poziom wody w zatoce, humbak skorzystał z tej okazji i odpłynął. Woda jednak szybko opadła i tego samego dnia wieczorem zwierzę znów utknęło.

### „Pewne formy pomocy są wskazane"

Kierować się odruchem serca i pomagać dzikiej przyrodzie czy słuchać głosu rozsądku i nie ingerować w prawa natury? – *Z punktu widzenia etyki sprawy takie jak ta są podwójnie złożone* – mówi dr Maja Kittel, filozofka Wydziału Filozofii i Kognitywistyki Uniwersytetu w Białymstoku. – *Z jednej strony powinniśmy szanować odrębność natury: nie krzywdzić, dać żyć w spokoju, wedle jej zasad. Z drugiej strony skala wpływu człowieka na przyrodę jest ogromna. Skoro rujnujemy środowisko, trudno przymykać oczy na cierpienie zwierząt, zasłaniając się „autonomią przyrody"*.

W przypadku Timmy'ego pojawił się oczywiście wstydliwy dla ludzkości element. Humbak miał w pysku resztki rybackich sieci. Większość udało się usunąć, gdy leżał na mieliźnie 18 kwietnia. Niektóre sieci rybackie w oceanach rozciągają się na setki kilometrów. Co roku wplątuje się w nie – według szacunków organizacji ochrony ssaków morskich – ok. 300 tys. tych zwierząt. Wiele udaje się uwolnić, ale niektóre odnoszą przy tym obrażenia.

Jak pisał w książce „We Are All Whalers" („Wszyscy jesteśmy wielorybnikami") biolog morski Michael Moore, korzystamy z globalnego rybołówstwa, handlu i transportu morskiego, które dla wielorybów oznaczają hałas, zanieczyszczenia i zderzenia ze statkami. Wszyscy korzystamy z paliw kopalnych, których spalanie podnosi temperaturę oceanów i zakwasza ich wody, co zmniejsza obszary łowisk tych zwierząt. Organizacje ekologiczne od lat apelują o ustanawianie morskich obszarów chronionych, na których zwierzęta te mogłyby swobodnie pływać bez ryzyka.

– *Gdy to ludzkie działania są przyczyną kłopotów, a interwencja nie wywoła jeszcze większych szkód, pewne formy pomocy mogą być wskazane* – ocenia filozofka. ▶

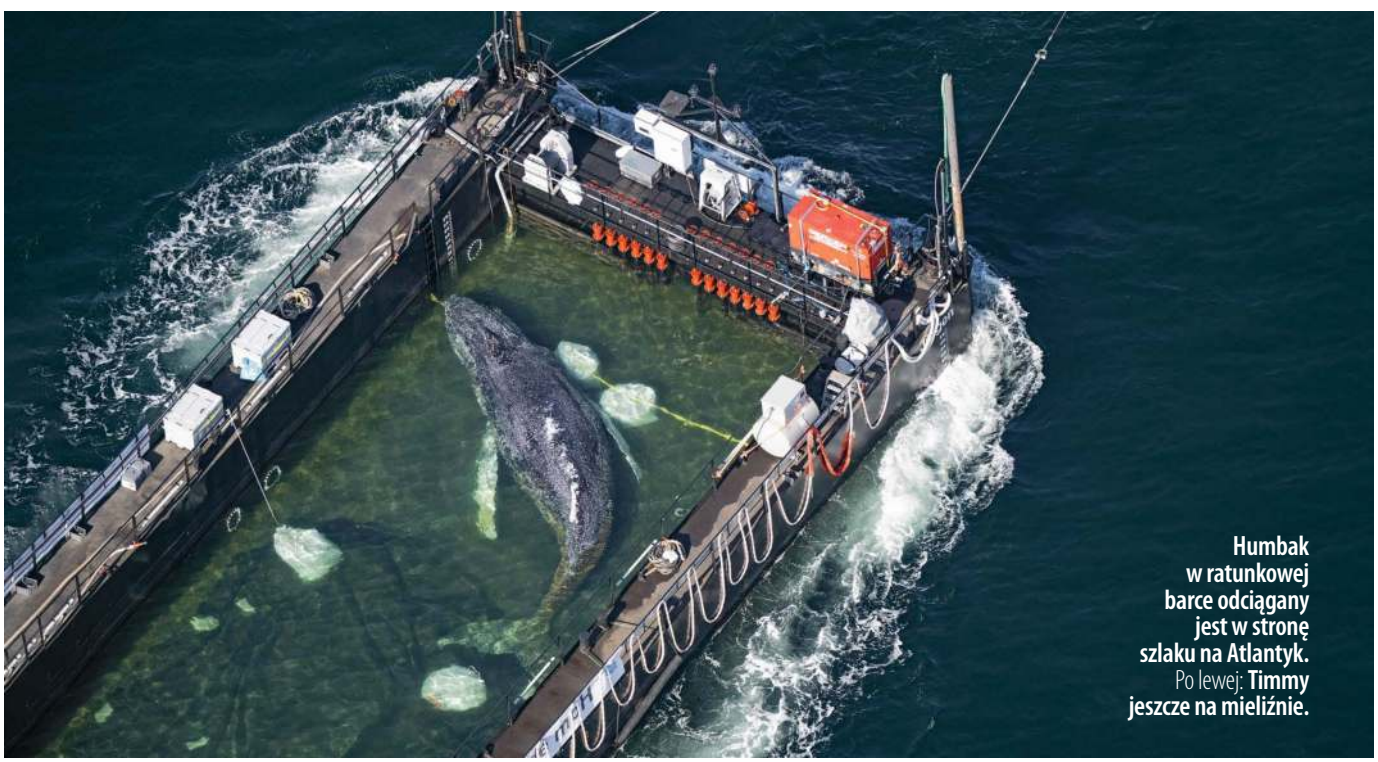

**Humbak w ratunkowej barce odciągany jest w stronę szlaku na Atlantyk.** Po lewej: **Timmy jeszcze na mieliźnie.**

© FLORIAN MANZ/EPA/PAP, PHILIP DULIAN/EPA/PAP



eprasa.pl fe4ae05645

▶ Tu jednak pojawia się pytanie, jak zakwalifikować konkretny przypadek. Taka ocena jest przecież podatna na interpretacje – często silnie antropomorfizujące. Lekarstwem nie jest jednak całkowite odcinanie się od współczucia – bez emocji trudno byłoby pomagać. Niezbędne jest natomiast uwzględnienie wiedzy ekspertów na temat danego gatunku i danej formy pomocy. – *W tym przypadku niedostatecznie wybrzmiewa fakt, że na szali cały czas leży ryzyko, że przysporzymy zwierzęciu jeszcze więcej cierpień. Tego nie wolno ignorować* – mówi dr Kittel.

### „Śmierć nie jest częścią naszego życia"

Dlaczego protestowano przeciw pozostawieniu humbaka w spokoju, a w końcu zdecydowano się na ratunek? – *Poziom zainteresowania publicznego i troski o życie tego majestatycznego zwierzęcia świadczy o biofilii, potrzebie kontaktu z naturą, i gotowości do poszerzenia horyzontu naszej empatii* – mówi Dominika Zaremba, psycholożka, ekoterapeutka, doktorantka w Laboratorium Obrazowania Mózgu w Instytucie Biologii Doświadczalnej PAN. – *Możemy nią obejmować nasze plemię, rodzinę, naród, ludzkość albo wszystkie istoty żyjące, włączać ich cierpienie i dobrobyt w zakres tego, co nas porusza.* Jeśli myślenie o cierpieniu Timmy'ego sprawia nam ból, to jest to dowód naszej wrażliwości. – *Rozdarcie między tym, czy podtrzymywać nadzieję i przedłużać szansę na przetrwanie, czy pozwolić odejść – to dylematy, z którymi mierzymy się również, gdy odchodzą ukochane osoby* – tłumaczy badaczka.

A może odholowanie na Atlantyk wieloryba nie było chęcią ratunku, tylko objawem biofobii, lęku przed naturą? Albo przed oglądaniem śmierci? Zdaniem psycholożki niechęć do patrzenia na proces umierania to objaw szerszej tendencji. – *Nie czuwamy już przy zwłokach bliskich, umieramy w sterylnych szpitalnych warunkach, rzadziej niż w poprzednich wiekach tracimy członków rodziny w wieku dziecięcym. Śmierć nie jest częścią naszego życia jak dawniej. Coś, co kiedyś było naturalną częścią życia, jest teraz bardziej przerażające* – mówi Zaremba.

Dodaje, że mamy dziś większe możliwości ratowania życia niż nasi przodkowie. Swoich domowych zwierzaków nie usypiamy, jeśli mamy zasoby i możliwości przedłużania życia. Jej zdaniem na pytanie, czy ratując mimo nikłej nadziei na poprawę, wykazujemy miłość do życia, czy też lęk przed własną bezsilnością wobec śmierci, każdy musi odpowiedzieć sobie sam.

### „Nie na oczach wyborców"

Los humbaka z Bałtyku poruszył tak wiele osób, a był on przecież jednym z tysięcy, które – także w tym samym czasie – miało tego rodzaju kłopoty. – *Badania przeprowadzone m.in. przez prof. Nicholasa Epleya z University of Chicago pokazują, że im bardziej zwierzę przypomina nam osobę, im więcej przypisujemy mu stanów mentalnych, tym silniejsza reakcja emocjonalna i potrzeba zaangażowania* – tłumaczy dr Julia E. Wahl, psycholog z Instytutu Biologii i Ewolucji Człowieka Uniwersytetu Adama Mickiewicza.

Włączają się tu podobne mechanizmy jak w przypadku pomocy innym ludziom. Dochodzi też potrzeba redukcji własnego dyskomfortu. Zwłaszcza w czasach, w których żyjemy – związanych z kryzysem klimatycznym i towarzyszącym mu doświadczeniem bezradności, niepokoju. – *Takie akcje mogą przynosić nam ulgę i poczucie sprawczości* – zauważa dr Wahl.

Według brytyjskiego psychologa Paula Gilberta działanie pomocowe aktywuje systemy bezpieczeństwa i ukojenia, co jest ważne także dla pomagającego. – *Pomagamy zwierzętom, bo widzimy w nich istoty zdolne do cierpienia – a to uruchamia współczucie i potrzebę działania, co jednocześnie reguluje nasze własne emocje* – konstatuje dr Wahl.

Można, niestety, przypuszczać, że nie wszyscy mieli tego rodzaju motywacje. „Humbak spod Poel jest jak lustro. A to, co w nim widać, nie jest szczególnie pocieszające" – pisał dziennikarz „Norddeutscher Rundfunk" Wolfram Dietrich. – „Till Backhaus (SPD), minister środowiska Meklemburgii-Pomorza Przedniego znów przedstawia się jako czołowy aktywista praw zwierząt, a później robi zadziwiający zwrot. Najpierw chce, by zwierzę umarło w spokoju, po chwili zezwala na wątpliwą akcję ratunkową. Wygląda na to, że jego zdaniem zwierzę musiało zniknąć z wybrzeża, z obiektywów kamer; konające zwierzę jest zmorą politycznego piaru podczas kampanii wyborczej. Premierka landu najwyraźniej też tak sądzi, skoro zachowuje dziwne milczenie w sprawie humbaka".

Wybory do Landtagu odbędą się 20 września. Jeśli wieloryb miał umierać, to nie na oczach elektoratu?

### „Kilka dni"

W historii humbaka spod Wismaru wiele poszło nie tak. Społeczne emocje przeważyły nad opiniami ekspertów. Inicjatywa miliarderów i akcja ratunkowa przyszły spóźnione. Niemcy okazali się przytłoczeni biurokratycznymi procedurami i nieszczególnie zorganizowani. Zamiast wieloryba płynął czas.

W końcu 25 i 26 kwietnia udało się pogłębić sto metrów dna między humbakiem a drogą wodną. W poniedziałek przez Kanał Kiloński z Hamburga do Wismaru dotarła zatapialna barka, służąca zwykle do holowania statków na płytkich wodach. 27 kwietnia ratownicy skierowali na nią wieloryba. Gdy wpłynął na pokład, ratownicy zareagowali entuzjastycznie.

„Droga na Morze Północne lub Atlantyk zajmie kilka dni" – tłumaczył wówczas szef ekipy płetwonurków Fred Babbel. Barka jest dużo większa (13 na 50 m) niż wieloryb (3,2 m szerokości, 12,35 m długości), więc powinno mu być wygodnie. Dyskomfort może być powodowany jedynie hałasem silników.

Tyle że stan humbaka z Wismaru w momencie rozpoczęcia tej podróży nie był dużo lepszy niż wcześniej. Jest (w momencie zamykania tego numeru POLITYKI) monitorowany: zainstalowano mu nadajnik GPS. Dyskusje nad jego modelem, klejem do jego umocowania i odpowiednim miejscem na ciele zwierzęcia trwały dobre kilka dni. Na koniec okazało się, że urządzenie nie działa pod wodą, a jedynie gdy humbak się wynurza.

Zdecydowanie jasnym punktem w całej tej historii jest wzrost wirtualnych adopcji wielkich ssaków morskich odnotowany przez organizacje zajmujące się ich ochroną. Może będzie również to, że po doświadczeniach z Timmym władze szybciej i rozsądniej będą podejmowały decyzje zgodne ze wskazówkami ekspertów.

W USA sieć National Marine Mammal Stranding Network (MMS) zatrudnia specjalnie szkolonych lekarzy weterynarii, którzy oceniają stan wyrzuconego z wody wieloryba. Gdy stan zwierzęcia jest ciężki, lekarz podejmuje decyzję o eutanazji przez podanie narkozy i zastrzyku zatrzymującego pracę serca ważącemu kilkanaście ton olbrzymowi.

MICHAŁ ROLECKI



eprasa.pl fe4ae05645



# Dzikość w mieście

**Sir David Attenborough** 8 maja kończy 100 lat. O zrealizowanym z tej okazji przez BBC bardzo osobistym filmie opowiada producent Tom Hugh-Jones.



**Tom Hugh-Jones** jest dyrektorem zarządzającym PASSION Planet w Bristolu. To wieloletni współpracownik sir Davida Attenborough, twórca stojący za jednymi z najgłośniejszych serii przyrodniczych ostatnich lat: „Planet Earth II", „A Real Bug's Life", „Tiny World", „Hostile Planet" i „Night on Earth". Przez 30 lat kariery wielokrotnie nagradzany Emmy i BAFTA.

JOLANTA IWAŃCZUK: **– Po seriach pokazujących najdziksze zakątki planety – „Planet Earth II", „Hostile Planet" i „Night on Earth" – skierował pan kamery na miasto, w którym David Attenborough mieszka od ponad siedmiu dekad. Londyn zasługuje na pełnometrażowy film przyrodniczy?**

TOM HUGH-JONES: – Już wtedy, kiedy pracowałem nad „Planet Earth II", wpadłem na pomysł, żeby jeden z odcinków poświęcić miastom. Wtedy to był dość odważny krok i nie byliśmy pewni, czy się sprawdzi. Widzowie polubili oglądanie życia dzikich stworzeń w „naszej" scenerii. Tak duża część świata jest dziś zurbanizowana, że historia nieludzkich mieszkańców miast jest ważna. Zauważyłem też, że odbiorcy niekoniecznie kochają najbardziej spektakularne sceny. Często bardziej trafiają do nich rzeczy subtelniejsze – np. jeden samiec szukający partnerki. Kiedy wchodzi się w detale zachowania, pojawia się prawdziwa fascynacja. Lwy polujące na gnu wszyscy już widzieli.

Jeśli zaś chodzi o „Wild London", to bardzo chciałem zrealizować z Davidem projekt, w którym czułby się tak naprawdę u siebie. Dziś dużo trudniej mu podróżować, więc szukałem czegoś, w co można go łatwo zaangażować. I wtedy pomyślałem: przecież on mieszka w Londynie od 75 lat, a to niezwykłe miasto z własną przyrodniczą historią do opowiedzenia.

**Film powstał w roku, w którym sir David kończy 100 lat. Jest obecny w kadrze przez cały czas, dzieląc się własnymi wspomnieniami. Jak praca z nim przy tak osobistym projekcie różniła się od wcześniejszych produkcji, gdzie był głównie narratorem zza kadru?**

Człowiek w setnym roku życia, pełen energii, absolutny profesjonalista – spotyka dzikie stworzenia w wielu różnych sytuacjach i za każdym razem widać, że go to naprawdę porusza. Sercem filmu jest poczucie, że to historia Davida – jego więź z przyrodą i z tym miejscem. Zabieraliśmy go tam, dokąd sam chodzi – do Richmond Park, do rezerwatów ptaków. Odnosiło się wrażenie, że wpuszcza nas do swojego prywatnego świata, a to coś, czego zazwyczaj nie robi. Zawsze jasno powtarza, że filmy mają być o naturze, nie o nim. Ale natura Londynu jest tak spleciona z jego życiem, że przy okazji dostaliśmy rzadki wgląd w jego osobowość.

**Czy jakaś reakcja Davida Attenborough szczególnie utkwiła w pana pamięci?**

Jego ogromne zdumienie, kiedy się dowiedział, że w dzielnicy Ealing wypuszczono bobry. Prawie nam nie uwierzył. ▶

© JOE LONCRAINE/PASSION PLANET LTD, MP



eprasa.pl fe4ae05645

▶ Patrzeć, jak ktoś, kto wie o przyrodzie tak dużo i widział tak wiele, ekscytuje się bobrami w stolicy Anglii – to wyjątkowe. Tego samego dnia brał też udział w wypuszczaniu myszy karłowatych. Kontakt z tak drobnym, uroczym stworzeniem i poczucie, że aktywnie pomaga w przywracaniu dzikości miejskim łąkom, wyraźnie sprawiły mu radość. To zdecydowanie był nasz najlepszy dzień na planie.

**Sokoły wędrowne na Pałacu Westminsterskim, lisy w Tottenham, bobry przy centrum handlowym, papugi w parkach, węże nad Regent's Canal – która z tych historii zaskoczyła pana najbardziej?**

Nie wiedziałem, że w Londynie żyją węże. Sam kiedyś je hodowałem i pamiętam, kiedy na wakacjach we Francji złapaliśmy z tatą eskulapa. Nigdy wcześniej ani później nikt mi o tym gatunku nie wspominał – a tu nagle okazuje się, że żyje w kanałach w środku miasta. To była jedna z największych niespodzianek.

Chyba najbardziej zaskoczyły mnie jednak sokoły wędrowne, których zagęszczenie w Londynie jest chyba większe niż w jakimkolwiek mieście na świecie. Im głębiej badaliśmy ich zachowanie, tym wyraźniej było widać, jak doskonale przystosowały się do życia w metropolii. Ich naturalnym siedliskiem są klify, a miejskie budynki je naśladują. Do tego ulice pełne są gołębi, czyli ich ulubionego pokarmu. Nie nagraliśmy tego, ale w niektórych rejonach jest nocą tyle sztucznego światła, że sokoły zaczęły polować nie tylko za dnia.

**Jak je filmowaliście? Dronami?**

Głównie długim obiektywem. Szukaliśmy strategicznych budynków i dachów, z których mogliśmy obserwować te drapieżniki. Dronów używaliśmy tylko kilka razy, do ujęć krajobrazowych. Większość zachowań uchwycili cierpliwi operatorzy kamer: czekali i śledzili ptaki z nadzieją, że przelecą w odpowiednim momencie.

**Jakie techniki zdjęciowe pozwoliły pokazać miejską przyrodę w sposób kinowy, a nie reportażowy?**

Duża część dzikich stworzeń wychodzi nocą, gdy ludzie są mniej aktywni. Dopiero niedawno pojawiły się kamery, które potrafią filmować po ciemku w kolorze. To nadało naszej produkcji kinowy charakter. Uwielbiam te rozmyte światła miasta w tle. Przy ujęciach latających papug rzeczywiście użyliśmy drona wyścigowego FPV – świetny pilot sterował nim tak, że leciał w środku stada, razem z ptakami.

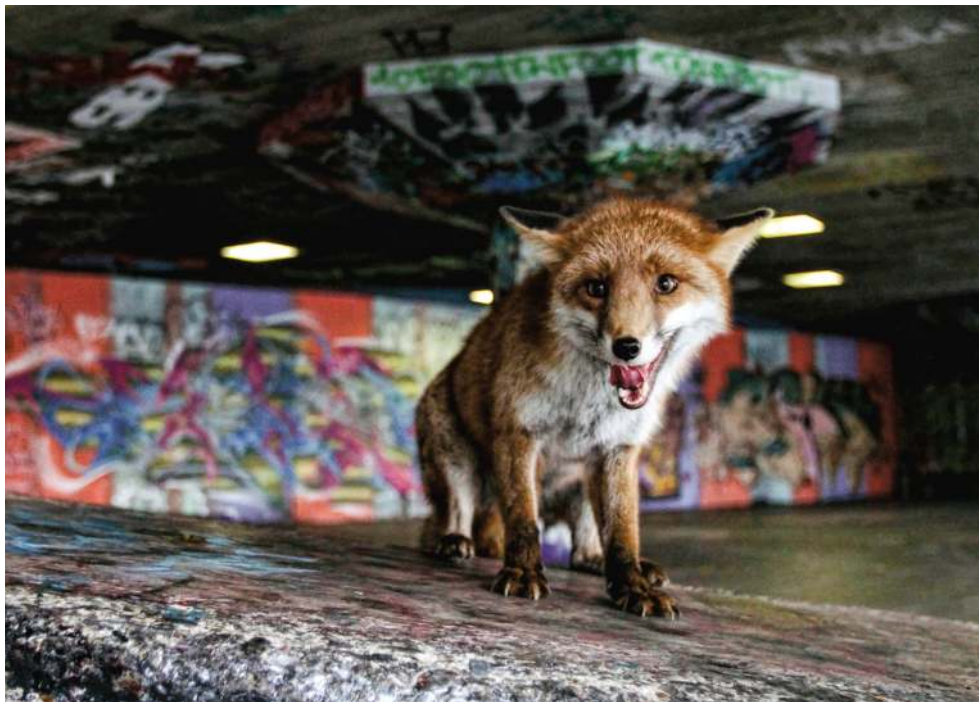

Kadr z filmu „Wild London"

Nie powiedziałbym jednak, że postawiliśmy na technologiczne nowinki. Dla mnie najlepszy film to dobrze zaobserwowane i skonstruowane ujęcia, w których myśli się o tym, by pokazać scenę z perspektywy bohatera, nie operatora kamery. Weźmy wspomnianego samca jeża szukającego partnerki – chcieliśmy, żeby widz czuł, że podąża z nim. Nowoczesne narzędzia pomagają, ale ważniejsze jest, czyją historię chce się pokazać i jakie ujęcia najlepiej ją oddają. Gdybym miał być krytyczny wobec kina przyrodniczego, to czasem goni ono za efektownymi kadrami, które robią wrażenie, ale niekoniecznie służą narracji. Ja kocham zanurzanie widza w życiu bohaterów – to jest to, co naprawdę lubię robić.

**Podobno największym wyzwaniem produkcji przyrodniczych jest „zarządzanie ryzykiem". Czy filmowanie dzikiej przyrody w środku metropolii niesie ze sobą jakieś?**

Przy sokołach i lisach nie mieliśmy pojęcia, co uda nam się nagrać. Musieliśmy po prostu uznać, że sytuacja jest ciekawa, iść za nimi i zobaczyć, co się wydarzy. Zainwestowaliśmy w to spore pieniądze i to było ryzyko. Nie wszystko jednak było taką loterią – np. kijanki i ważki pojawiają się w tych samych miejscach co roku, więc wiedzieliśmy, że na pewno je nagramy. Jeże też nie były ryzykowne – poszliśmy do ogrodu, gdzie gospodyni dokarmiała je codziennie, i przychodziły jak według zegarka.

Główna różnica przy filmowaniu w mieście to nie wrogość terenu – łatwo się wycofać, gdy np. pogoda się psuje. Zdobywanie pozwoleń – to jest koszmar. Filmowanie w londyńskim metrze kosztuje tysiące funtów za godzinę, bo wymaga ogromnych zabezpieczeń. Mieliśmy więc 60 minut na uchwycenie sceny i nagle czuliśmy presję – nie dlatego, że coś rzadkiego nam umknie, ale dlatego, że ujęcia są bardzo drogie. Rozmowy z policją, zgody na latanie dronami – to biurokracja znacznie trudniejsza niż przy filmowaniu na końcu świata.

**Skąd czerpaliście informacje o tym, gdzie konkretnie szukać zwierząt – na przykład gołębi z metra?**

Mamy zespoły świetnych badaczy i entuzjastów przyrody. A w miastach wszędzie są ludzie z telefonami i kamery monitoringu, więc paradoksalnie czasem łatwiej znaleźć historie tam, gdzie jest tłoczno. Widziałem niesamowity klip z lisem walczącym ze szczurem w centrum Londynu – takie historie od razu mnie inspirują.

**Ile czasu zajęło nakręcenie tego filmu?**

Uzgodniliśmy produkcję z BBC w marcu, a oni chcieli mieć gotowy materiał na Boże Narodzenie. To było ogromne



eprasa.pl fe4ae05645

wyzwanie. Kręciliśmy więc od marca do września, a potem musieliśmy zdążyć z montażem do grudnia. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek pracował nad dużą produkcją w tak zawrotnym tempie. Mieliśmy jednak szczęście do pogody. W Anglii deszcz potrafi padać tygodniami – wtedy fauna się chowa, wszystko wygląda szaro. A nam trafiło się gorące, słoneczne lato.

**Londyn bywa nazywany najbardziej zielonym wielkim miastem świata. Czy to był punkt wyjścia filmu, czy raczej potwierdziliście tę opinię w trakcie zdjęć?**

Wiedzieliśmy o tym przed rozpoczęciem pracy, ale kiedy rozwijaliśmy pomysł, zaskoczyło mnie, jak bardzo stolica Wielkiej Brytanii jest przyjazna dla dzikiej przyrody. Nie chcę przesadzać z optymizmem – problemów związanych z ruchem drogowym i urbanizacją nie brakuje. Historia okazała się wielowarstwowa i bogata. Londyn dobrze pokazuje zarówno zagrożenia, z jakimi zwierzęta borykają się w mieście, jak i to, co możemy zrobić, żeby im pomóc.

**W jednej ze scen David Attenborough mówi: „Stworzenie przestrzeni dla natury to jedno z największych wyzwań, z jakimi musimy się zmierzyć". Jak rozumiał pan to zdanie?**

W ciągu 100 lat życia Davida zmienił się nasz sposób patrzenia. Kiedyś postrzegaliśmy ludzi jako coś innego niż reszta żywych istot: my mamy emocje i inteligencję, a one po prostu robią w kółko to samo, nie myślą, nie czują. Widzieliśmy dwa oddzielne światy: ludzki i zwierzęcy. Dziś te światy się przenikają. Żywe istoty okazują się bardzo podobne do nas – mądre, czujące. Granica między tym, co dzikie, a tym, co cywilizowane, zaciera się coraz bardziej, a metropolie są tego doskonałym przykładem.

Jednym z najbardziej intrygujących odkryć przy tworzeniu filmu było to, że aglomeracje takie jak Londyn stanowią schronienie dla wielu gatunków, których populacje na terenach wiejskich spadają – z powodu ekspansji rolnictwa, używania pestycydów, wycinki lasów czy zanieczyszczenia rzek. Dobry przykład to jeże: mimo zagrożeń ze strony ruchu drogowego stolica Wielkiej Brytanii jest jedynym miejscem w Anglii, gdzie ich liczebność pozostaje stabilna. Poza nią dramatycznie spada. Odkryliśmy, że miejska dżungla może być dla fauny pozytywną bazą i że możemy w tej kwestii zrobić jeszcze więcej – to było nieintuicyjne.

**Pana rodzice byli antropologami i zabrali pana do Amazonii, gdy miał pan cztery lata. Na ile to dziecięce doświadczenie ukształtowało pana sposób patrzenia na przyrodę?**

Miałem bardzo dzikie dzieciństwo. To może brzmi trochę głupio, ale zawsze uważałem się za zwierzę i starałem się żyć jak zwierzę, zamiast myśleć, że my, ludzie, jesteśmy zupełnie inni. Tamto doświadczenie nauczyło mnie, co naprawdę jest potrzebne do przetrwania i co w życiu się liczy. Chciałbym przenieść niektóre lekcje z dżungli i z życia wśród amazońskiego plemienia do dzisiejszego świata – uważam, że wciąż mają znaczenie.

**Jakie?**

Chodzi o wewnętrzną wolność. Żeby nie dać się za bardzo skrępować regułami, które narzuca społeczeństwo, i pozostać wiernym temu, kim naprawdę jesteś. Krótko mówiąc: być trochę dzikim. Dopóki nie szkodzisz innym, to jest coś dobrego.

**Filmy przyrodnicze BBC mają ogromny wpływ na to, jak ludzie myślą o naturze. Czuje pan tę odpowiedzialność?**

Oczywiście. Czasami trudno zdecydować, czy robić filmy poważne, mówiące wprost o problemach, czy jednak lżejsze. Jedne i drugie mają swoje miejsce. Osobiście wierzę jednak, że większy pozytywny wpływ masz wtedy, gdy ludzi inspirujesz, niż gdy wpędzasz ich w przygnębienie. Dlatego wolę pokazywać cudowność natury – z nadzieją, że się w niej zakochają i będą chcieli ją chronić.

**„Wild London" powstał we współpracy z London Wildlife Trust, który mówi otwarcie, że miejska dzikość jest zagrożona. Czy ten film nie jest jednak ostrzeżeniem?**

Raczej przesłaniem. Nie chcieliśmy tworzyć przygnębiającego obrazu, po którym widz czuje się sparaliżowany i myśli, że wszystko jest stracone. Mówimy: natura jest odporna – wystarczy dać jej odrobinę przestrzeni, a będzie się miała dobrze. Zrób więc, widzu, małą rzecz – np. uczyń swój ogród bardziej przyjaznym dla dzikich lokatorów. Jeśli każdy się na coś takiego zdecyduje, świat będzie znacznie zdrowszym miejscem.

ROZMAWIAŁA JOLANTA IWAŃCZUK

© SIMON DE GLANVILLE

REKLAMA

26 NAGRODY NAUKOWE POLITYKI

Przez 25 lat wsparliśmy 407 naukowców!

Jesteś młodym ambitnym naukowcem?
Prowadzisz niebanalne, ważne społecznie projekty badawcze?
Wystartuj w konkursie o nasze stypendia naukowe!

Formularz zgłoszeniowy: polityka.pl/stypendia

Na zgłoszenia czekamy do 14 czerwca!

Partner Główny Nagród Naukowych POLITYKI 2026
KOPIPOL

Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2026
Dr Irena Eris
CONSULTRONIX
zaKS sprzyjamy wyobraźni

Patron honorowy
Marcin Kulasek Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego

Patroni medialni
tokfm
FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl fc4ae05645



# Drużyna pierścieni

**Kiedy i w jaki sposób powstały wspaniałe obręcze Saturna? W trwającej od kilku lat gorącej debacie na ten temat pojawił się nowy trop, który prowadzi w stronę Tytana – największego z saturniańskich księżyców.**

ANDRZEJ HOŁDYS

Przez cały XX w. panowało przekonanie, że niezwykłe obręcze wokół Saturna są niemal tak stare jak on sam. Zdarzali się jednak badacze, którzy to kwestionowali. Zwracali uwagę, że pierścienie – choć są doskonale widoczne i z daleka wydają się olbrzymie – w rzeczywistości tworzą delikatną strukturę, która nie mogłaby przetrwać kilku miliardów lat. Były to jednak rozważania teoretyczne. Owszem, najpierw Pioneer 11, a potem oba Voyagery wykonały i przesłały na Ziemię wiele zdjęć pierścieni Saturna. A to utwierdziło oglądających je ludzi w przekonaniu, że dane im jest podziwiać prawdziwe arcydzieło natury, które – cytując narratora z powieści „2001: Odyseja kosmiczna" Arthura C. Clarke'a – „w złożoności szczegółów i subtelności odcieni jest wszechświatem samym w sobie". Żaden z tych bezzałogowców nie dostarczył jednak danych, które mogłyby dominujący pogląd podważyć.

## Czystość młodości

Wszystko zmieniła wysłana przez NASA sonda Cassini, która w pobliżu Saturna zameldowała się w 2004 r., aby prowadzić badania samej planety, jej księżyców i oczywiście pierścieni. We wrześniu 2017 r. skierowano ją w stronę planety i niedługo potem została rozerwana na strzępy w jej atmosferze. Dwa lata później kilkunastu badaczy analizujących przesłane przez nią informacje opublikowało w „Science" przełomowy artykuł poświęcony saturniańskim obręczom. Stwierdzili, że mają nie więcej niż 150–200 mln lat, a więc w kosmicznej skali czasu są młodziutkie. Co więcej, naukowcy prognozowali, że za kolejne 100–200 mln lat z tego kosmicznego arcydzieła pozostanie niewiele – najwyżej jakieś smętne resztki podobne do tych, które krążą dziś wokół Jowisza i można je wypatrzyć tylko przez najsilniejsze teleskopy.

Zebranych przez sondę dowodów na młody wiek pierścieni było zdaniem uczonych kilka. Po pierwsze, Cassini potwierdziła, że ich głównym składnikiem są mniejsze lub większe grudki zmrożonej wody, a to przecież dość delikatny budulec. Po drugie, udział innych niż lód składników nie przekracza kilku procent, przy czym są to niemal wyłącznie mikrometeoroidy – maleńkie okruchy skalne docierające z kosmosu. Dzięki temu, że jeden z instrumentów sondy – Cosmic Dust Analyzer – przez 13 lat chwytał i mierzył pył kosmiczny, naukowcy mogli w końcu wyliczyć, ile takich drobin przybywa w ciągu jednego dnia, miesiąca i roku. Oszacowali więc, ile powinno się ich nagromadzić w pierścieniach, gdyby były rówieśnikami Saturna. „Wyobraźmy sobie, że te pierścienie to nigdy nieczyszczony dywan, na który kurz opada w stałym tempie. Znając to tempo oraz wiedząc, ile jest kurzu na dywanie, możemy obliczyć, od kiedy leży on na podłodze" – tłumaczył Sascha Kempf, fizyk z University of Colorado w Boulder, główny autor badań. Rachunek rozmijał się z główną hipotezą. Lodowe obręcze były – trzymając się przykładu Kempfa – zbyt czyste jak na obiekty liczące 4,5 mld lat. Raczej pochodziły z czasów dinozaurów.

Najciekawiej brzmiała jednak trzecia konkluzja, sformułowana w kolejnych publikacjach, które uwzględniały coraz bardziej zaawansowane analizy danych pomiarowych oraz obrazów przesłanych przez sondę. Otóż analizy te wskazywały, że cała ta niezwykła struktura – uformowana z siedmiu pierścieni, z których każdy składa się z tysięcy współśrodkowych kręgów orbitujących jeden przy drugim – wyłoniła się nagle z kosmicznego niebytu i prawdopodobnie jest pozostałością

© NASA/JPL-CALTECH/SPACE SCIENCE INSTITUTE



eprasa.pl fe4ae05645

po jakiejś katastrofie. Czy może być coś bardziej pociągającego dla badacza ziemskich i kosmicznych zjawisk natury niż wizja apokaliptycznej destrukcji, która na dodatek mogła się wydarzyć względnie blisko i niedawno?

Odpowiedzi na pytanie, co takiego zaszło w pobliżu Saturna, nie mogła udzielić Cassini. Z braku wehikułu czasu trzeba było zdać się na symulacje komputerowe, oparte oczywiście na dostarczonych przez sondę materiałach. Sprawa była o tyle intrygująca, że również sam Saturn wraz ze swoją wyjątkowo liczną rodziną księżyców od dawna intryguje badaczy pewnymi osobliwościami, których do tej pory nie potrafili wyjaśnić. Dlaczego oś jego obrotu jest odchylona od pionu (czyli prostej prostopadłej do płaszczyzny jego orbity okołosłonecznej) aż o prawie 27 st., podczas gdy w przypadku Jowisza to tylko ok. 3 st.? Dlaczego zmiana kierunku tej osi, czyli jej precesja, odbywa się w rytmie bardzo podobnym do tego obserwowanego w przypadku Neptuna? Dlaczego największy z saturniańskich księżyców, Tytan – prawdziwy olbrzym o średnicy ponad 5 tys. km – odsuwa się od swojej planety z prędkością aż 11 cm rocznie? Skąd się wziął dziwaczny, nieforemny i koziołkujący księżyc Hyperion, który krąży za orbitą Tytana, przypomina wydłużony kartofel o długości 360 km i szerokości 205 km, a przy tym jest tak porowaty, że niemal w połowie składa się z pustych przestrzeni? Pytań było więcej, a hipoteza katastroficzna mogła zgrabnie odpowiedzieć, jeśli nie na wszystkie, to przynajmniej na większość z nich.

## Pech poczwarki

Pierwszy karty na stół wyłożył Jack Wisdom, planetolog z Massachusetts Institute of Technology. Jego zespół ogłosił w „Science", że do katastrofy mogło dojść ok. 160 mln lat temu, a polegała na unicestwieniu lodowego księżyca, który przez poprzednie ponad 4 mld lat krążył sobie wokół Saturna (obiegał go w ciągu ok. 45 dni), niedaleko za orbitą Tytana. W pewnym momencie sprawy przybrały dla Chrysalisa (czyli poczwarki, jak nazwano to hipotetyczne ciało niebieskie) zły obrót. Zanadto przybliżył się do Saturna i w efekcie zaczęły na niego działać siły pływowe generowane i przez planetę, i przez Tytana, których pola grawitacyjne zadziałały na glob o średnicy nawet ok. 1,5 tys. km niczym gigantyczna kruszarka do lodu. To, co z pechowego księżyca po kontakcie z nią zostało, poleciało w stronę Saturna. Większość brył i grudek znikła w atmosferze planety, ale część zaczęła krążyć blisko niej.

W marcu tego roku podczas Lunar and Planetary Science Conference, dorocznego spotkania planetologów z całego świata, Wisdom wyjaśniał, dlaczego taką właśnie nazwę nadał unicestwionemu globowi. „Niczym poczwarka pięknego motyla ten księżyc pozostawał bardzo długo w uśpieniu, by nagle w mgnieniu oka przeobrazić się we wspaniałe pierścienie" – mówił. Czyżby chciał wszystkim przypomnieć, że w przyrodzie nic nie ginie, tylko zmienia swoją postać? Na konferencji Wisdom przedstawił najnowszą wersję swojej hipotezy, uzupełnioną o wyniki symulacji masy i budowy Chrysalisa. W tym scenariuszu lodowe obręcze wokół planety miały początkowo kilkukrotnie większą masę niż dziś, ale potem utraciły większość swojej materii. „To musiało być coś niezwykłego" – stwierdził Wisdom na koniec, jakby żałując, że nie urodził się 160 mln lat wcześniej.

## Niestabilność Hyperiona

Istnieją jednak inne scenariusze katastrofy, również oparte na symulacjach komputerowych. Dwa tygodnie po wystąpieniu Wisdoma czasopismo „Planetary Science Journal" opublikowało artykuł, którego autorzy dowodzą, że nie było żadnego Chrysalisa, a głównym sprawcą kosmicznego zamieszania był Tytan. Wiadomo, że ten drugi pod względem rozmiarów w całym Układzie Słonecznym księżyc oddala się od Saturna, przysparzając problemów sobie i swojemu saturniańskiemu rodzeństwu. W pewnym momencie wpadł na jednego z członków swojej rodziny, nokautując go i niemal całkowicie niszcząc – twierdzą autorzy tego artykułu, astrofizycy Matija Ćuk z SETI Institute i Maryame El Moutamid z Cornell University. Ich zdaniem pozostałością po tym rozbitym globie jest niekształtny Hyperion, wypchnięty w wyniku kolizji na odległą orbitę i do dziś nieumiejący ustabilizować swoich obrotów.

Kłopoty Hyperiona ze złapaniem równowagi to jednak jedna z mniej istotnych konsekwencji kolizji, do której – jak oceniają Ćuk i El Moutamid – mogło dojść ok. 400 mln lat temu, a więc nieco wcześniej, niż wyliczył Wisdom. Znacznie poważniejszym skutkiem było uformowanie się pierścieni wokół Saturna z części lodowej materii, pozostałej po rozbiciu nieszczęsnego ciała niebieskiego nazwanego Proto-Hyperionem. Były też inne doniosłe następstwa zdarzenia: zmianie uległo nachylenie osi obrotu Saturna, a Tytan zyskał swoją grubą i gęstą atmosferę. W ubiegłym roku naukowcy z University of Oxford, Yale University oraz University of Bristol ze zdumieniem odkryli, że wiruje ona we własnym, zmiennym rytmie, a nie razem z całym globem, jak to czyni choćby ziemska – jakby miała za sobą jakieś dramatyczne przejścia.

## Wystrzały Enceladusa

Poza zamieszaniem z pierścieniami doszło do innych przetasowań w drużynie Saturna – przekonują Ćuk i El Moutamid. Najpoważniejszy, choć rozłożony w czasie, efekt napaści Tytana na Proto-Hyperiona polegał na rozpadzie wielu księżyców, których orbity znajdują się bliżej Saturna niż orbita agresora. W znanej obecnie postaci narodziły się na nowo w ciągu kolejnych 200 mln lat – uważają badacze. Stwierdzają, że dotyczyć to mogło również względnie dużych globów, takich jak Rea o średnicy 1528 km i Dione o średnicy 1118 km, a także mniejszego od nich, lecz znacznie słynniejszego Enceladusa.

Z tym ostatnim ogromne nadzieje wiążą poszukiwacze pozaziemskiego życia. Pod jego lodową skorupą znajduje się bowiem ocean, a ponieważ skorupa nie jest szczelna, z wnętrza globu wydobywa się woda, wyrzucana na wysokość setek kilometrów w postaci lodowych gejzerów. Dzięki Cassini, która kilkukrotnie zbliżyła się do tego księżyca na odległość 50 km, wiadomo, że wraz z drobinkami lodu wystrzeliwane są z niego rozmaite substancje chemiczne, w tym związki organiczne. Jeśli jednak – jak przypuszczają Ćuk i El Moutamid – Enceladus zyskał obecną postać dopiero 200–400 mln lat temu, a nie przed 4,5 mld lat, to szansa, że w tak krótkim czasie mogły tam powstać warunki sprzyjające rozwojowi życia, byłaby raczej niewielka. Cóż, istnieje tylko jeden sposób, by to sprawdzić – trzeba wysłać sondę, która dokładnie zbada materię wyrzucaną z gejzerów. Ponieważ jednak na razie się na to nie zanosi, nieprędko dowiemy się, ile lat ma Enceladus i co się w nim kryje. Podobnie jeszcze długo badacze będą się zastanawiali nad naturą pierścieni Saturna. A być może okaże się, że na te dwa i nowe pytania istnieje jedna odpowiedź. ■



eprasa.pl fe4ae05645



# A my na tej wojnie...

60 lat temu Telewizja Polska wyemitowała pierwszy odcinek serialu „Czterej pancerni i pies". Stał się hitem, a jego bohaterowie herosami zbiorowej wyobraźni Polaków.

**MIROSŁAW PĘCZAK**

Obiektywnie rzecz biorąc, serial w reżyserii Konrada Nałęckiego nakręcony na podstawie adresowanej do młodzieży powieści płk. Janusza Przymanowskiego, weterana Armii Czerwonej i 1. Armii Wojska Polskiego, był dziełem typowo propagandowym dość swobodnie traktującym wojenną faktografię. I gdyby tylko na tym się skupić, nie moglibyśmy znaleźć przyczyn, dla których stał się jednym z największych przebojów polskiej telewizji wszech czasów.



eprasa.pl fe4ae05645






Od lewej: **aktorzy serialu na stadionie im. Karola Świerczewskiego we Wrocławiu, 1967 r. Włodzimierz Press z dziecięcą widownią. Jeden z owczarków grających Szarika podczas Dnia Dziecka, 1967 r.** Na sąsiedniej stronie: **zabawa w „Czterech pancernych i psa" na warszawskim podwórku, 1968 r.**

© JERZY DĄBROWSKI/FORUM, TADEUSZ DRANKOWSKI/PAP(2), ROMUALD BRONIAREK/FORUM

Sam Przymanowski wiele razy powtarzał publicznie, że literacki pierwowzór pierwszej serii filmu (podobnie jak dopisanych potem dwóch dalszych tomów) należy traktować jako powieść przygodową. Wojna była swoistym pretekstem do ukazania perypetii młodych ludzi, których połączył wspólny los i męska żołnierska przyjaźń. Wiele razy bardzo krytycznie komentowano to nastawienie, no bo jak można największy koszmar XX w. uznać za przygodę? Okazało się, że można, ba, można nawet opowiadać o tej wojnie komediowo, czego najlepszym przykładem jest film „Jak rozpętałem II wojnę światową" ze znakomitym Marianem Kociniakiem w roli głównej.

Ogromnym walorem serialu była obsada aktorska. Młody Janusz Gajos, genialny Franciszek Pieczka, Roman Wilhelmi, Włodzimierz Press, przepiękna Pola Raksa, dorównująca jej urodą i talentem aktorskim Małgorzata Niemirska. Do tego jeszcze Barbara Kraftówna, Wiesław Gołas, Witold Pyrkosz, by tylko tych wymienić. Właściwie prawie wszyscy wspomniani tu aktorzy wielką karierę mieli jeszcze przed sobą, ale trzeba przyznać, że dobór całej tej ekipy okazał się bezbłędny. Już po pierwszym odcinku zatytułowanym „Załoga" publiczność pokochała czwórkę czołgistów i owczarka niemieckiego Szarika. A przy okazji śpiewaną przez Edmunda Fettinga w czołówce filmu, napisaną przez Agnieszkę Osiecką „Balladę o pancernych". Pamiętam z dzieciństwa, że pewną trudność interpretacyjną sprawiła mi fraza „Rudy i nasz pies", bo o tym, że „Rudym" jest czołg, telewidzowie dowiedzieli się nie od razu i na początku myślałem, że to pies jest rudy, a w tekście piosenki zastosowano wymyślny szyk przestawny.

**Serial powstał w bardzo szczególnym momencie historii PRL.** Mocno zaznaczał się wtedy konflikt między władzą a Kościołem. W listopadzie 1965 r. polski episkopat wystosował „Orędzie biskupów polskich do ich niemieckich braci w Chrystusowym urzędzie pasterskim", w którym znalazło się zdanie „udzielamy wybaczenia i prosimy o nie" (do historii przeszło jako „wybaczamy i prosimy o wybaczenie"). Wywołało to wściekłość kierownictwa PZPR, a zwłaszcza środowiska frakcji nacjonalistycznej z jej nieformalnym liderem Mieczysławem Moczarem.

Oficjalną reakcją był sygnowany przez premiera Józefa Cyrankiewicza „List do Księży Biskupów Kościoła Rzymsko-Katolickiego" z takimi m.in. słowami: „Żadne dokumenty biskupie nie mogą wymazać hitlerowskich zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości. Nie zostaną one ani zapomniane, ani wybaczone. Nie jest to problem zemsty czy moralności, lecz sprawiedliwości. (...) część episkopatu, na czele z kardynałem Wyszyńskim, pozostała na swoich dawnych, (...) pozycjach walki z socjalizmem, (...) antykomunizm zaćmił w ich umysłach poczucie patriotyzmu, zaćmił fakt, że walka z komunizmem uderza rykoszetem w granice Polski na Odrze, Nysie i Bałtyku". ▶

REKLAMA



Zachęcamy do zapisywania się do nowego newslettera historycznego Polityki

Jakie pytania stawia nam historia dziś?

**W każdą środę zaprasza Jakub Halcewicz**

polityka.pl/newslettery



eprasa.pl fe4ae05645




Okładka tygodnika „Przyjaciółka" z lutego 1969 r.

▶ Kończyły się wtedy obrady Soboru Watykańskiego II, którego reformatorski klimat sprzyjał polsko-niemieckiemu dialogowi, ale przysparzał kłopotów ekipie Władysława Gomułki, starającej się utrwalić w społecznej świadomości obraz Kościoła katolickiego jako instytucji reakcyjnej stojącej na straży wszelakich uprzedzeń i całkowicie przeciwnej idei postępu. W dyskursie publicznym druga wojna światowa stała się zatem poręcznym układem odniesienia nie tylko dla antyniemieckiego resentymentu, ale i wszelkich negatywnych skojarzeń z Polską przedwojenną i przy okazji – z prozachodnimi sympatiami.

Na to wszystko nałożyła się atmosfera organizowanego przez Kościół Milenium Chrztu Polski i konkurencyjnych państwowych obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego. Prymas Polski kard. Stefan Wyszyński peregrynował po kraju z pustymi ramami ikony Matki Boskiej Jasnogórskiej (władze nie zgodziły się na eksponowanie obrazu poza kaplicą jasnogórską), a w Warszawie władze zorganizowały monumentalną defiladę wojskową. Symbolizowała 1000-lecie polskiego oręża – maszerowali mężczyźni przebrani za wojów Chrobrego i rycerzy aż po współczesne jednostki Ludowego Wojska Polskiego.

Pierwszą sceną tego widowiska był meldunek złożony przez dowódcę garnizonu warszawskiego gen. Waryszaka ministrowi obrony gen. Spychalskiemu. Wzorem radzieckim obaj generałowie oddawali sobie honory, stojąc w jadących powoli otwartych limuzynach. Zrealizowano też wtedy specjalne wydanie Polskiej Kroniki Filmowej pod tytułem „Defilada Tysiąclecia", w kolorze (co wcześniej się prawie nie zdarzało) i w zwiększonym wymiarze czasowym (11 minut). Do wyobraźni ludzi miało dotrzeć przesłanie, wedle którego sukcesorem wiekopomnej tradycji ma być aktualna władza, a nie ktokolwiek inny.

**Nieprzypadkowo również postawiono na skojarzenia militarne.** Wcześniej wątek wojennej klęski Niemców i żołnierskiego szlaku od Lenino do Berlina konkurował ze specyficznym modelem pacyfizmu i hasłem walki o pokój, które logicznie nie za bardzo pasowało do afirmacji munduru. Ale w drugiej połowie lat 60., kiedy w „obozie miłującym pokój" rosła pokusa, aby jankeskiemu militaryzmowi zaangażowanemu w konflikt wietnamski przeciwstawić socjalistyczną żołnierską tężyznę, telewizje i kinematografia ZSRR oraz państw satelickich coraz śmielej i nawet z sukcesami zaczęły podejmować tematykę wojenną. Koronnym przykładem może być choćby czechosłowacki „Sklep przy głównej ulicy" (reżyseria Jan Kadar i Elmar Klos), który w 1966 r. zdobył Oscara dla najlepszego filmu nieanglojęzycznego jako pierwszy w historii film z Europy Wschodniej.

Twórcy „Czterech pancernych" nie mieli oczywiście oscarowych ambicji (zwłaszcza że tych nagród nie przyznawano produkcjom telewizyjnym), ale chcieli trafić w gust i serca polskiej publiki telewizyjnej. Wyraźniej niż w książce Przymanowskiego Nałęcki i współscenarzyści Andrzej Czekalski i Stanisław Wohl nawiązali do wątków kultury ludowej. I okazało się, że – znów – był to strzał w dziesiątkę. W książce „Folklor i literatura" Roch Sulima napisał, że załoga czołgu „Rudy" została sportretowana tak jak bohaterowie epickich opowieści ludowych. Każdy z tej czwórki czymś szczególnym się wyróżniał – Olgierd umiał przewidywać pogodę, Janek był genialnym strzelcem, Gruzin Grigorij po mistrzowsku kierował czołgiem, Gustlik dysponował nadludzką siłą fizyczną. Ważnym uzupełnieniem był oczywiście pies Szarik, niezwykle bystry i pomocny w kryzysowych sytuacjach. Najważniejsze, że wszyscy razem tworzyli spójny, nierozerwalny zespół, niczym zaciśnięta pięść.

Marcin Kępiński, etnolog z Uniwersytetu Łódzkiego, nazwał omawiany serial „socrealistyczną bajką magiczną". W studium o „Pancernych" napisał: „»Czterej pancerni i pies« nie są wymysłem propagandy, zakłamującym historię. Są przykładem na mityzację przeszłości historycznej, dokonującą się w pamięci zbiorowej. Polega ona na spontanicznym przekształcaniu postaci oraz wydarzeń przeszłości w bezczasowe wzory i personifikacje wartości, które sankcjonują zachowania i postawy ważne dla życia zbiorowości (...). W serialowym micie nie ma miejsca na racjonalność, związany jest on z uczuciami, przemawia nie do rozumu, ale do serca. Czas, do którego odwołuje się serial – wojna – jest czasem sakralnym, diametralnie różnym od rzeczywistości dnia codziennego".

Można dodać, że mimo wszystko praktyka mitotwórcza czy mityzacyjna, na której opierała się książka Przymanowskiego, a potem serial, nie wyklucza funkcji propagandowych, skądinąd dość oczywistych chyba dla każdego odbiorcy tego dzieła. Aczkolwiek Polacy – i ci starsi, którzy sami przeżyli wojnę, i ci młodsi, którym łatwiej było sprzedać koncept z wojną jako przygodą – pokochali ten serial bynajmniej nie z powodu jego propagandowości.

Podobnie było ze „Stawką większą niż życie", której bohaterem jest polski oficer pracujący dla radzieckiego wywiadu (Stanisław Kolicki aka Hans Kloss, w tej roli Stanisław Mikulski), albo z pełnometrażowym filmem „Prawo i pięść" o walce z szabrownikami na tzw. Ziemiach Odzyskanych w okresie tużpowojennym (wybitna rola Gustawa Holoubka). Dla przypomnienia – w czołówce i w końcówce „Prawa i pięści", podobnie jak w „Czterech pancernych", mamy śpiewaną przez Edmunda Fettinga balladę napisaną przez Agnieszkę Osiecką, a skomponowaną przez Krzysztofa Komedę.

**W latach, kiedy serial Nałęckiego był po raz pierwszy emitowany (1966–70), w czasie emisji ulice pustoszały** jak podczas transmisji bijącego wtedy rekordy popularności kolarskiego Wyścigu Pokoju. Co więcej, udało się przy okazji zrealizować specjalny projekt pedagogiczny, czyli Kluby Pancernych. Na internetowej stronie www.nostalgia.pl można przeczytać: „»Klub Pancernych« był kolejnym niezwykłym zjawiskiem na telewizyjnej mapie świata. Narodził się we wrześniu 1966 roku, niemal dokładnie wtedy, gdy rozpoczęto (regularną – M.P.) emisję „Czterech pancernych i psa". Do redakcji Telewizji Dziewcząt i Chłopców zaczęły napływać listy, w których dzieci opisywały tworzenie podwórkowych załóg, zadań, jakie przed sobą stawiały, oraz koordynacji poczynań przez Sztaby. TDC podłapała pomysł i tak powstał „Telewizyjny Klub Pancernych".

Program namawiał dzieci, by dbały o przyrodę, czystość podwórek, kondycję fizyczną, opiekowały się zwierzętami, walczyły



eprasa.pl fe4ae05645

z chuligaństwem. Każda załoga musiała mieć swego Szarika, ale nie wszystkie miały psa, więc niekiedy, choć zdarzało się to niezwykle rzadko, Szarikiem mianowano jakąś koleżankę. Były też załogi, w których jego rolę grał podwórkowy kot, królik, świnka morska lub chomik. Pewna czwórka przyjaciół tak napisała do dowództwa klubu: „Nie da rady. Psa nie ma. Ale mamy akwarium i złote rybki. Więc zgłaszamy się do Klubu Pancernych jako łódź podwodna. Prosimy o przyjęcie. Taka łódź, to też rzecz pancerna". Powstała nawet piosenka „Pancerni z podwórka" wykonywana przez bigbitowy zespół młodzieżowy Plastusie.

Doszło wreszcie do tego, że odtwórcy głównych ról serialu zaczęli jeździć po Polsce, by w wielkich halach, a najczęściej na stadionach, spotykać się z publicznością. Dzięki tym spotkaniom, jak pisze Marcin Kępiński, „bardziej zbliżyli się do realnego życia, pełniąc w ubogiej treściowo socjalistycznej kulturze popularnej rolę podobną do tej, jaką w kulturze typu ludowego pełniły kalwarie czy odtwarzane w teatrze ludowym misteria Męki Pańskiej. Idoli można było zobaczyć na własne oczy i dotknąć, a tym samym zaspokoić potrzebę sensualizmu przeżycia »mistycznego«, kontaktu z zaproponowanym przez władzę spauperyzowanym sacrum.

Oczywiście dominujący był tu element rozrywki, ludyczna funkcja kultury. Spotkania takie organizowano od 1967 do 1969 r., gromadząc olbrzymią publiczność. Dramatyczny przebieg miał łódzki spektakl zaplanowany w Hali Sportowej, a mający się zacząć na Placu Wolności. Szczelnie wypełniający ulicę Piotrkowską i Śródmieście tłum o mało nie zadeptał herosów. Milicja nie była w stanie opanować sytuacji, aktorów ukryto więc i oddzielnie odwieziono na miejsce spotkania wozami straży pożarnej".

Wyglądało na to, że uwielbienie dla Janka, Grigorija, Gustlika i ich towarzyszy jako żywo przypominało beatlemanię, czyli histerię ilustrującą fenomen popularności Beatlesów. W jednym z wywiadów Włodzimierz Press, odtwórca roli Grigorija, tak skomentował odmowę dalszego uczestniczenia w opisanych eventach: „Bałem się, że przestaję być aktorem i staję się bohaterem drugiej wojny światowej. Widzowie zapomnieli o tym, że jesteśmy tylko odtwórcami".

W dawniejszych czasach ten jakże charakterystyczny brak dystansu do konwencji zdarzał się m.in. podczas obrzędów kalwaryjskich, co analizował badacz tradycyjnej kultury chłopskiej Włodzimierz Pawluczuk. Nierzadkie były przypadki, kiedy ogarnięty emocją tłum chciał linczować aktora grającego Judasza. Oczywiście, jeśli chodzi o „Pancernych", emocją podstawową było uwielbienie idoli.

**Czy władza zdyskontowała ten fenomen?** Na pewno chciała, tyle że odbiór serialu wymknął się spod kontroli partyjnych ideologów. „Pancerni", tak jak Kloss czy później Janosik, tworzyli odrębne od politycznych realiów uniwersum. Widzom nie przeszkadzało silnie akcentowane w filmie „polsko-radzieckie braterstwo broni", bo zdecydowanie bardziej poruszał ich romans Janka i Marusi, która przecież i tak mówiła po polsku. A wojna? No cóż, zgodnie z zamierzeniem autora powieści będącej literackim pierwowzorem filmu, skądinąd mocno zaangażowanego w utrwalanie systemu politycznego działacza partyjnego, okazała się przygodą i tak ją pamiętamy, kiedy myślimy o „Pancernych".

MIROSŁAW PĘCZAK

© FORUM

REKLAMA

W SPRZEDAŻY, RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU




Czy to Shakespeare napisał te wszystkie arcydzieła? Rozmowa z najsłynniejszym szekspirologiem świata Stephenem Greenblattem

To miała być optymistyczna rozmowa o sukcesie. Agata Romaniuk opowiada Tomaszowi Kwaśniewskiemu o tym, jak to się stało, że utrzymuje się z pisania książek

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**

Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

eprasa.pl fe4ae05645

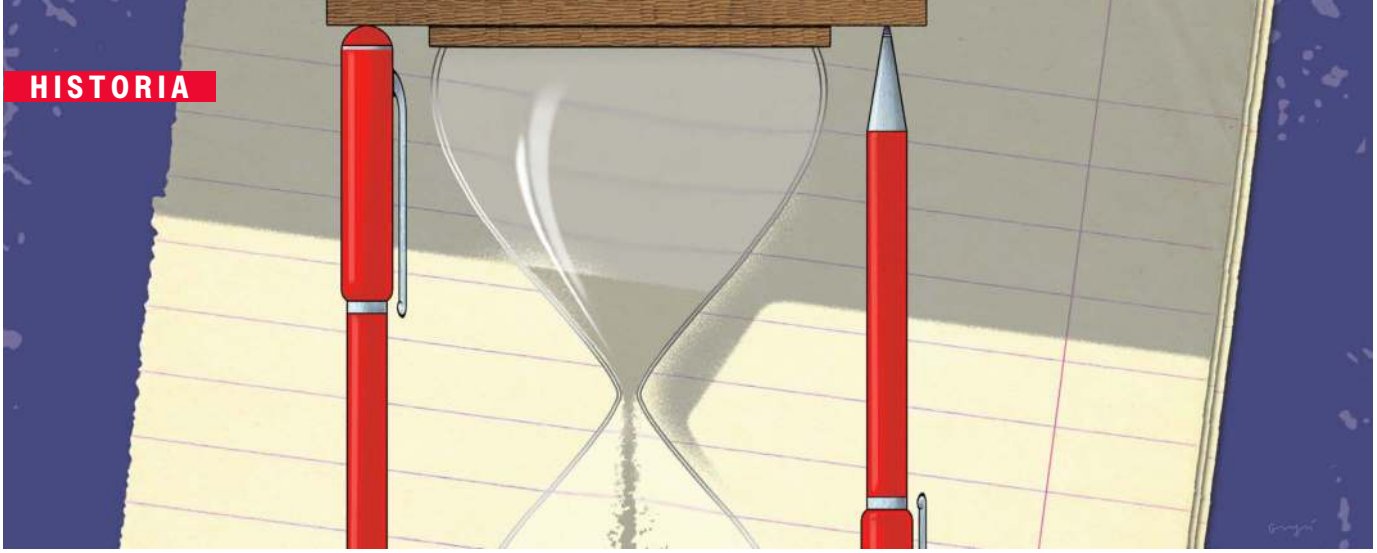

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

# HISTORYCZNE KSIĄŻKI ROKU 2025

## Przedstawiamy drugą część tegorocznych nominacji do Nagród Historycznych POLITYKI im. Mariana Turskiego za książki wydane w 2025 r.

Pierwsze książki nominowane do Nagród Historycznych POLITYKI w kategoriach: prace naukowe, prace popularnonaukowe i debiuty przedstawiliśmy 29 kwietnia (można się z nimi zapoznać na stronie **https://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/nagrodyhistoryczne**). Tym razem prezentujemy nominowanych w kategoriach: wydawnictwa źródłowe i pamiętniki. Laureatów ujawnimy 13 maja.

## KATEGORIA: WYDAWNICTWA ŹRÓDŁOWE

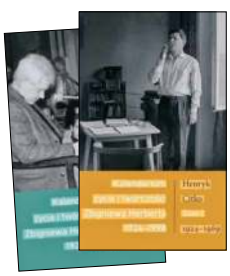

**Kalendarium życia i twórczości Zbigniewa Herberta 1924–1998, t. 1–2, opracowanie Henryk Citko**, Wydawnictwo IBL PAN, Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, Fundacja Akademia Humanistyczna, Warszawa 2025

Henryk Citko zebrał tysiące listów od i do autora „Pana Cogito", zapisków z dzienników, dokumentów archiwalnych, by stworzyć kalendarium życia i twórczości poety. Bieżących komentarzy politycznych jest tam niewiele. Z rzadka czytamy, że Zbigniew Herbert boi się „przymrozków". Kalendarium uświadamia nam, jak wiele lat Herbert spędził poza granicami kraju. Dla mnie jest to zapis historii choroby. Tylko trzy przykłady z różnych lat: „Spakowałem się i ogarnął mnie Weltschmerz". „Od paru miesięcy dostawałem czegoś w rodzaju morskiej choroby na widok białego papieru, który miał być przeze mnie zaczerniony". „Po liście Czesława [Miłosza – przyp. MZ] i po paru moich awanturach zrozumiałem, że być Polakiem to znaczy chorować na chorobę nieuleczalną". Citko wykonał benedyktyńską pracę, umiejętnie dobrał źródła, opowiedział kawał polskiej kultury.

MARCIN ZAREMBA



**Władze RP na uchodźstwie wobec Żydów obywateli polskich w ZSRS i na Bliskim Wschodzie (1941–1945) w świetle dokumentów polskich**, wybór, opracowanie i wstęp Tadeusz Paweł Rutkowski, Instytut Pileckiego, Warszawa 2025

Nie ma prostych opowieści o losie Polaków i Żydów w czasie wojny i Zagłady. Nominowana książka jest tego dobrym przykładem. Opublikowane źródła rozbijają obecne w tytułowej tematyce liczne uproszczenia. Prezentują kwestie trudne umiejscowione w wojennej rzeczywistości, w istniejących uprzedzeniach i w manipulacjach radzieckich władz. Dokumenty tworzą wielowątkową, ciekawą opowieść o postawie rządu RP wobec Żydów obywateli polskich w ZSRR, o ich relacjach z Polakami. Pokazują jiszuw (osady) i środowiska żydowskie w USA i Wielkiej Brytanii. Odsłaniają działania Sowietów. W obrazach wielkiej polityki znajdziemy człowieka zmęczonego i bezsilnego, którego życie zależy od decyzji innych i od biurokratycznych formalności. Książka pokazuje także, jak ważne są instytucje, gdy zawodzi człowiek, i jak ważny jest człowiek, kiedy zawodzą instytucje.

BOŻENA SZAYNOK



eprasa.pl fe4ae05645

## KATEGORIA: PAMIĘTNIKI, RELACJE, WSPOMNIENIA




Leon Babiński, **Warszawa wieku mego**, Szczecin 2020; **W służbie najjaśniejszej Rzeczypospolitej**, Szczecin–Warszawa 2022; **Szlacheckie gniazdo**, Szczecin–Warszawa 2025, wstęp i redakcja naukowa wszystkich tomów Janusz Faryś i Henryk Walczak, Instytut Pamięci Narodowej

Leon Babiński (1891–1973) prawnik po paryskiej Sorbonie, naukowiec, osiadł po wojnie w Szczecinie, gdzie w latach 50. napisał trzy tomy wspomnień. Każdy z nich jest na swój sposób wyjątkowy. Rodzinną Warszawę, carską i międzywojenną (t. I), wspomina z perspektywy swojej klasy, zamożnego mieszczaństwa, rzadko przekraczającego granice Śródmieścia. On sam na Saską Kępę dotarł dopiero po drugiej wojnie, tłumacząc to „słabą więzią rodzin, które ją zamieszkiwały, ze starą Warszawą". Na międzywojenny MSZ (t. II) patrzy uważnie i krytycznie, oczyma urzędnika pełniącego funkcje ważne, choć niepierwszoplanowe. Wspomnienia z okupacji (t. III), którą przetrwał w majątku żony w Smarżowej koło Jasła (miejsce urodzenia Jakuba Szeli!), dają nietypowy, ale prawdziwy obraz ostatnich lat Polski ziemiańskiej.

JERZY KOCHANOWSKI

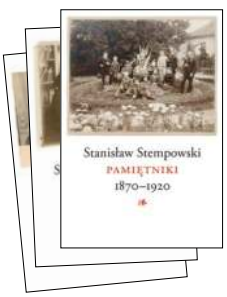


Stanisław Stempowski, **Pamiętniki 1870–1920, t. I–III,** opracowanie, wstęp i przypisy Łukasz Mikołajewski, Instytut Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, Wydawnictwo Więź, Warszawa 2025

Stanisław Stempowski (1870–1952) należał do najciekawszych przedstawicieli tzw. pokolenia niepokornych, o typowej dla niego, niekonwencjonalnej biografii: ziemianin, socjalista, działacz społeczny, publicysta, wolnomularz, zwolennik niepodległej Ukrainy, sojusznika Polski. Mimo takiego CV (a może za jego sprawą?) do dziś nie doczekał się nawet skromnego upamiętnienia. Rekompensuje to pierwsze pełne wydanie jego pamiętników, jednego z najcenniejszych dzieł polskiej memuarystyki. Pisał je w czasie okupacji, w mieszkaniu Marii Dąbrowskiej, z którą był związany od połowy lat 20. do śmierci. Pisarce udało się doprowadzić w 1953 r. do publikacji tylko części wspomnień (do 1914 r.), radykalnie ocenzurowanych. Jednak warto było poczekać 72 lata na pełną edycję, jest ona bowiem wzorcowa zarówno pod względem edytorskim (*chapeau bas* dla Łukasza Mikołajewskiego), jak i poligraficznym. Lektura obowiązkowa!

JERZY KOCHANOWSKI

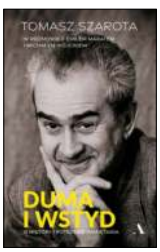


**Duma i wstyd. O historii i potrzebie pamiętania. Tomasz Szarota w rozmowie z Emilem Maratem i Michałem Wójcikiem**, Agora, Warszawa 2025

Profesor Tomasz Szarota wiąże nierozerwalnie w XX w. historię Europy i Polski, która – jak mówi – nie siedzi na widowni, jest na scenie. Zasadniczą część dorobku profesora stanowią badania nad czasami okupacji, relacjami polsko-niemieckimi, nad życiem codziennym okresu wojennego. Książka jest gęsta, nasycona wieloma autorefleksjami i umocnionymi przekonaniami, które korespondują z jej tytułem. To publikacja sprzeciwiająca się hurapatriotycznej polityce historycznej. Tomasz Szarota mówi, że nie można czuć się dumnym Polakiem „za wszelką cenę". Fakty powinny wywoływać w nas „jedno i drugie uczucie". Padają przykłady. Choćby wstrząsający i osobisty przekaz o obecności w polskiej historii bratobójstwa.

WIESŁAW WŁADYKA

**Nominowało jury w składzie:**
dr hab. Barbara Klich-Kluczewska, prof. dr hab. Jerzy Kochanowski, prof. dr hab. Dariusz Stola, dr hab. Bożena Szaynok, prof. dr hab. Wiesław Władyka (przewodniczący), dr hab. Marcin Zaremba.

Partner Główny Nagród Historycznych POLITYKI

Enea

Partner Nagród Historycznych POLITYKI

Deutsches Historisches Institut Warschau
Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie

Mecenasi Nagród Historycznych POLITYKI

Dantex

zaKS sprzyjamy wyobraźni

ABUR Systemy automatyki



eprasa.pl fe4ae05645

festiwal



# Ślady po wojnie

**Millennium Docs Against Gravity**, Warszawa, Wrocław, Gdynia, Katowice, Poznań, Bydgoszcz, Łódź, 8–17 maja

Kino dokumentalne nie może znaleźć remedium na wszystkie problemy współczesnego świata, co nie oznacza, że ma przestać ich poszukiwać. Co roku festiwal Millennium Docs Against Gravity przez kilka dni każe nam się zmierzyć z trudnymi tematami, ale zarazem zmienia Polskę w centrum światowego dokumentu – jest na prestiżowej liście imprez kwalifikujących do Oscara, co potwierdza nagroda Akademii Filmowej dla ubiegłorocznej premiery tego festiwalu: „Pan Nikt kontra Putin".

W programie 23. edycji MDAG szczególną uwagę warto zwrócić na sekcję „Wszystkie oczy na Palestynę", której patronuje POLITYKA. W jej ramach będzie można obejrzeć nie tylko obrazy dokumentujące ludobójstwo w Strefie Gazy – wśród nich głośne „Idź z duszą na dłoni" Sepideh Farsi, palestyńskiej reżyserki, która zginęła w trakcie izraelskiego ataku, kilkanaście godzin po tym, jak dowiedziała się, że jej film zostanie pokazany na festiwalu w Cannes. Ale także opowieści sięgające w przeszłość wojny Izraela z Palestyną, jak „Kto zabił Alexa Odeha?", historię zbrodni popełnionej na aktywiście i społeczniku, który zginął w zamachu bombowym w latach 80.

**Kadr z dokumentu „Ciało wojny" Małgorzaty Szumowskiej**

MDAG nie traci również z oczu sytuacji w Ukrainie. O losach kobiet dotkniętych przemocą wojenną opowiada nowy dokument Alisy Kovalenko „Ślady" (wywiad z reżyserką na stronie 87). „Ciało wojny" Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta splata historie ukraińskich żołnierzy i artystów, próbujących leczyć odniesione na froncie fizyczne i psychiczne rany. Nagrodzona zaś na festiwalu CPH:DOX „Mariinka" Pietera-Jana de Pue sięga kilka lat wstecz do wybuchu wojny w Donbasie.

Nie zabraknie również filmów najwybitniejszych współczesnych twórców kina dokumentalnego. W „Snach o słoniach" Werner Herzog wyrusza do Angoli wraz z poszukiwaczami nieuchwytnego stada słoni; w filmie „Orwell: 2+2=5" Raoul Peck opowiada o ostatnich miesiącach życia autora „Roku 1984", a zarazem szuka orwellowskich (lecz niebanalnych) odniesień we współczesności. Ponadto w programie znalazły się nowe dzieła Victora Kossakovskiego, Macieja Cuskego, Michała Marczaka, Łukasza Rondudy oraz Vincenta Muniera.

JAKUB DEMIAŃCZUK

# Piękny kryzys 4/6

**Diabeł ubiera się u Prady 2**, reż. David Frankel, prod. USA, 119 min, już w kinach

film



Przez dwie dekady od premiery „Diabeł ubiera się u Prady" zdążył się dorobić statusu komedii kultowej. Powstał w czasie, gdy projektanci i supermodelki wciąż jeszcze byli ikonami kultury, a pisma w stylu amerykańskiego „Vogue'a", któremu przez 37 lat szefowała Anna Wintour, dyktowały styl. Dziś biznes modowy mierzy się z kryzysem i krytyką, a Wintour przeszła na emeryturę. Luźno wzorowana na niej filmowa Miranda Priestly (Meryl Streep) wciąż co prawda dzierży stery magazynu „Runway", który stał się częścią platformy medialnej, ale i ją dotykają cięcia, a afera związana z promowaniem przez pismo marki, która stosowała nieetyczne metody pracy, grozi poważnymi konsekwencjami. Wiarygodność wydawnictwa ma uratować zatrudnienie „poważnej" dziennikarki. Tym sposobem ścieżki Mirandy i jej dawnej asystentki Andy Sachs (Anne Hathaway), dziś nagradzanej reporterki, zwolnionej właśnie w ramach redukcji etatów, znów się krzyżują.

**Ścieżki Mirandy Priestly (Meryl Streep) i jej dawnej asystentki Andy Sachs (Anne Hathaway), dziś dziennikarki, znów się krzyżują**

Nowy „Diabeł" to opowieść o mediach w kryzysie, zależnych od kaprysów oligarchów z branży IT. Słuszna diagnoza jest tu jednak tylko punktem wyjścia do powtórki z rozrywki. Wracają parady pięknych ludzi, strojów oraz wnętrz i znany z oryginału bajkowy klimat. Miranda wciąż potrafi zabłysnąć sarkazmem, ale goni ją Emily (Emily Blunt), napędzana motywacyjnym cytatem: „Niech ogień z mostów, które spaliłam, oświetla mi drogę". Wypolerowany na pełny połysk „Diabeł 2" niczego nie pali ani nie oświetla, ale wciąż ładnie wygląda.

ANETA KYZIOŁ

© MILLENNIUM DOCS AGAINST GRAVITY, DISNEY, BARTEK BARCZYK, KAROLINA JÓŹWIAK, HBO MAX



eprasa.pl fe4ae05645



scena

## Roger na kozetce 4/6

Karol Szymanowski, **Król Roger**, reż. Krzysztof Cicheński, kier. muz. Jacek Kaspszyk, Teatr Wielki w Poznaniu

Premiera ta jest jednym z ostatnich akordów obecnej ekipy kierującej poznańską operą – od przyszłego sezonu teatr ten czeka zmiana. Miejmy jednak nadzieję, że sam spektakl pozostanie w repertuarze. Dzieło Szymanowskiego interpretowano już bardzo różnie, mało kto idzie za didaskaliami, zwłaszcza w enigmatycznym ostatnim akcie. Krzysztof Cicheński zgodnie z nimi umieszcza I akt w kościele, a II akt w pałacu Rogera; trzeci jednak rozgrywa się w nieokreślonej przestrzeni. W drugim zaś, w komnatach pałacowych, przy królu na czerwonej kozetce siedzi jego towarzysz Edrisi, ale w jakże innej postaci: w garniturze i z długą brodą, przypominający jako żywo doktora Freuda. Inne postaci, które pojawiają się na scenie, poza Roksaną i Pasterzem (choć kto wie, czy i nie oni), to projekcje lęków i pragnień króla. Finałowy akt rozegrany jest już mniej klarownie z wyjątkiem samego zakończenia, gdy śpiewanej przez Rogera pochwale Słońca towarzyszy oślepiające światło, w harmonii z narastającą muzyką. A ta w tym spektaklu została wspaniale przygotowana przez Jacka Kaspszyka. Znakomity **Szymon Mechliński** jako Roger jest postacią bardzo emocjonalną w swoich psychicznych zapętleniach. **Karol Kozłowski** jest świetny jako rozsądny Edrisi-Freud; Ruslana Koval śpiewa pięknie, choć gorzej u niej z dykcją; za to znakomitą dykcję ma **Andrzej Lampert** jako Pasterz.

DOROTA SZWARCMAN



scena

## Starcie z patosem 4/6

Pierre Corneille, **Horacjusz**, reż. Andrzej Seweryn, Teatr Polski w Warszawie

Andrzej Seweryn, wystawiając na swoje 80. urodziny tragedię Pierre'a Corneille'a (w dobrym, pierwszym całościowym przekładzie na polski Jerzego Radziwiłowicza), złożył hołd recytatorskiej tradycji paryskiej Comédie-Française, w której spędził dwie dekady swojego zawodowego życia. „Horacjusz", wzorem „Antygony" Sofoklesa, zderza wartości państwowe z osobistymi i daje silny głos kobiecym bohaterkom. Alba i Rzym, sąsiadujące i połączone więzami rodzinnymi państwa-miasta, zmierzają do wojny. O jej wyniku ma zdecydować nie walna bitwa, tylko pojedynek wyłonionych przez władze obu krajów przedstawicieli. Wybór pada na żołnierzy z dwóch splecionych ze sobą rodów: Horacjuszy (Rzym) i Kuriacjuszy (Alba). W dialogach (składających się z długich monologów) mężczyźni w bardziej lub mniej zniuansowany sposób podnoszą obowiązki patriotyczne i honor rodu. Związane zaś z nimi kobiety: Sabina (Hanna Skarga) i Kamila (Irmina Liszkowska) miotają się między lojalnością wobec krwi a miłością do – st ających po przeciwnej stronie barykady – męża (**Modest Ruciński**) i narzeczonego (**Ignacy Liss**). Żądają prawa do opłakiwania zamordowanych, w czym system widzi podważanie zasad swojego funkcjonowania i co surowo karze. Aktorzy mimo starań nie zawsze wygrywają w starciu z patosem swoich kwestii. Zarówno im, jak i widzom nie pomaga też statyczna, hieratyczna inscenizacja. AK

## Brat z innej kochanki 5/6

**Półbrat**, twórca serii: Richard Gadd, 6 odc., HBO Max

serial



Czasem wielkie seriale pojawiają się znikąd, niezapowiadane żadną akcją promocyjną. Tak było dwa lata temu z „Reniferkiem" Richarda Gadda, opartym na osobistych doświadczeniach autora. Obsesja stalkerki infekowała każdy aspekt życia granego przez Gadda Donny'ego – niepewnego siebie komika, bez sukcesu próbującego przebić się w branży – ale też była katalizatorem wiwisekcji, w wyniku której musiał się przyznać przed sobą do bolesnych i wstydliwych prawd. W swoim nowym serialu **Richard Gadd**, odmieniony fizycznie, wciela się w Rubena, wulkan gniewu na sterydach. „Może nie łączy nas krew, ale siedzimy sobie w głowach" – definiuje więź z „bratem z innej kochanki" Niallem (**Jamie Bell**). Ich matki stworzyły związek w latach 80., więc wspólnie dorastali. Jeden naznaczony przez przemocowego ojca, drugi przez swą seksualność, której nie potrafi zaakceptować, obaj uwięzieni w toksycznych konstruktach męskości, połączeni koktajlem miłości, nienawiści i zazdrości. „Półbrat" (w oryginale: Half Man) zaczyna się sceną wesela Nialla, na którym niespodziewanie pojawia się Ruben, potem zanurzamy się w przeszłość (młodszych bohaterów świetnie grają Mitchell Robertson i Stuart Campbell). Twórcy „Reniferka" znów udało się stworzyć psychologiczny majstersztyk. „Półbrata" nie ogląda się łatwo, nawet mimo sporej dawki czarnego, brytyjskiego humoru, ale oglądać zdecydowanie warto. AK



eprasa.pl fe4ae05645




## Z górskiej półki 4/6

Sławek Gortych, **Święto Karkonoszy**, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2026, s. 464



Najwyraźniej Sławek Gortych znalazł klucz do serc polskich czytelników – listy bestsellerów okupuje już wspólnie z Remigiuszem Mrozem, czasem go nawet wyprzedza. Na czym polega ten fenomen? Może to zasługa Karkonoszy, literacko nadal rzadko eksplorowanych. Konwencja kryminału sprawdza się dobrze w ich przypadku, a Gortych dowodzi, że są nieprzebranym źródłem tematów. Autor przeważnie podróżuje w czasie, zestawiając przeszłość z teraźniejszością. Tym razem jesteśmy w Jeleniej Górze (i okolicach) w 800. i 900. rocznicę jej powstania. Sto lat temu i długo później to był rejon szczególnych wędrówek: wysiedleń, przesiedleń, odzyskiwania mienia i brzemiennych w skutki, czasem nieco mrocznych (kryminał to kryminał) spotkań polsko-niemieckich.

Bronisława Kowalewskiego w latach 40. też odwiedzają dawni mieszkańcy jego domu. Przyszli po „trochę ziemi do woreczka". Okazuje się, że ogród, który Bronisław ukochał, skrywa nieco tajemnic. I ciało. Wiele lat później mieszka tu jego syn Robert, a niezapowiedziane wizyty nadal kwituje się słowami: „Niemce przyszły po swoje". Robert bierze udział w rajdzie organizowanym w Święto Karkonoszy. Źle to się kończy, nie wszyscy wychodzą z tego żywi. Gortych zgrabnie łączy fakty z fikcją, żywioł historii z żywiołem natury, jest przewodnikiem po schroniskach i ludzkich sumieniach. Dawne i aktualne przecina się u niego jak górskie szlaki. Autor ma swój schemat opowiadania. Na razie to się sprawdza, ale pewnie byłoby dobrze, gdyby czasem gdzieś zboczył.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA




## Powrót do ciała 5/6

Karolina Lewestam, **Szmaty**, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2026, s. 168

Osobisty esej filozofki i pisarki Karoliny Lewestam wychodzi od obrazu Wielkiej Kupy Szmat, wokół której gromadzą się matki i ciotki, a patrzy na nie dziewczynka. Ciuchy wyszperane w lumpie, przysłane w paczkach, przebierane, noszone latami, póki „nie ma dziury". Taki obraz ma w pamięci wiele kobiet, lecz książka Lewestam nie opowiada tylko o znaczeniu ciuchów, ale o ciele kobiet, o tym, co z nim robią kultura, męskie spojrzenie, niechęć młodych dziewczyn, o uwewnętrznionych nakazach. Te kobiety nad ciuchami najpierw wydają się dziewczynce wróżkami, posiadaczkami magii, a potem zaczyna widzieć w nich odstręczające „stare baby", kogoś, kim nie chciałaby się stać.
W tym poruszającym eseju, opowieści matki skierowanej do córki, Lewestam dekonstruuje znaczenia narosłe wokół kobiecego ciała. Pokazuje strach przed starzeniem i też walutę, jaką jest młode ciało dziewczynki. Pokazuje ten moment, kiedy dziewczynki tak bardzo nie chcą być „ciałem", że wolą znikać albo stać się samym umysłem. Błyskotliwie analizuje relację matka–córka, ciało i drugie ciało. Ciuchy okazują się barykadą przeciwko gniciu i śmierci, zbroją, pancerzem przed nieznośną prawdą rozpadu ciał. Ale kobietom nie udaje się zatrzymać śmierci. Ta historia prowadzi nas od buntu i negacji ciała, które ma być zawsze młode, aż do zrozumienia matek i ciotek, kobiet, które dźwigają nie tylko swoje starzenie, ale też ciała bliskich. „To była historia moich matek. Opowiedziałam ci ją, żeby ci powiedzieć, że jesteś ciałem".

JUSTYNA SOBOLEWSKA




## Wykorzystane 5/6

Sophie Gilbert, **Girl on Girl. Jak popkultura zwróciła kobiety przeciw sobie**, przeł. Kaja Gucio, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2026, s. 367

Weźmy scenę ze Snoop Doggiem, wprowadzającym na estradę nagród MTV dwie dziewczyny na smyczach. I towarzyszący jej wtedy komentarz: „artysta przestrzegał przepisów dotyczących stosowania smyczy obowiązujących w Nowym Jorku". Dziś by to nie przeszło, ale w 2003 r. nie wywołało nawet wielkiego skandalu. Ta książka to opowieść z cyklu „nie do wiary, że tak było", którą z czasem zaczynamy czytać jako uzasadnienie tego, dlaczego jesteśmy tu, gdzie jesteśmy.
Dziennikarka „The Atlantic" Sophie Gilbert odtwarza drogę do momentu, gdy dziewczyny z OnlyFans zaczynają się domagać uznania na równi z artystkami, a oglądający ich kamerkowe występy mężczyźni uważają, że biorą udział w masowej akcji wyzwolenia kobiet, a nie ich uprzedmiotowienia. Początkami są tu kobiece gwiazdy popkultury, wmanewrowane przez show-biznes w role seksualnych lalek albo same te role wybierające. Madonna uznająca seks za narzędzie do zdobycia władzy czy epatująca seksem Britney Spears. Gilbert odwołuje się do filmów w rodzaju „American Pie" (którego gwiazda Shannon Elizabeth po latach trafiła zresztą na OnlyFans) czy twórców przenoszących elementy pornografii do medialnego i galeryjnego mainstreamu: Terry'ego Richardsona albo Jeffa Koonsa. Tego pierwszego świat mody (z magazynem „Vogue" na czele) wyrzekł się po zarzutach napaści seksualnych, ale Koons przyjeżdża niebawem jako ikona na polski festiwal idei Impact.
W opisywanej już u nas szerzej (POLITYKA 27/25) książce Gilbert – pasjonującej i ważnej – śledzimy swobodny przełom wieków, drogę do seksualnych afer i zacieranie się granic porno. W to wszystko – jak dowodzi autorka – showbiznesowe mechanizmy zaangażowały same kobiety.

BARTEK CHACIŃSKI

© ANITA WALCZEWSKA/DDTVN/EAST NEWS, JULIA PIETRZAK-SZCZUDŁO, FACEBOOK, PRIME VIDEO, MAREK ŁASYK/REPORTER, MP (4)



eprasa.pl fe4ae05645

galeria

## Z czego się śmiejecie? 4/6



**The Best of Muzeum Karykatury**, kurator: Michał Rzecznik, Muzeum Karykatury w Warszawie, wystawa czynna do 16 sierpnia

Taka wystawa to samograj, z gwiazdorską listą artystów i artystek, których prace zagęściły się na muzealnych ścianach. Są wśród nich mistrzowie, których znamy także z łamów POLITYKI: Sławomir Mrożek, Stanisław Tym, Marek Raczkowski, Andrzej Mleczko, Mirosław Gryń. Są twórcy mniej oczywiści, jak anonsowany powiększoną czcionką na plakacie Jan Matejko, Jan Piotr Norblin czy Edward Dwurnik. Rysunkom współczesnym towarzyszą dzieła z XIX w. oraz okresu międzywojennego, są tu karykatury, plakaty, projekty graficzne książek, a przede wszystkim olbrzymi wybór rysunków prasowych, które przypominają, z czego mniej lub bardziej chętnie się śmialiśmy. Choć nie zawsze to powód do dumy: obok prac wybitnych (proszę zwrócić uwagę na autoportret Bohdana Butenki) znalazły się też żarty, delikatnie mówiąc, wątpliwe i lekko żenujące. Czasami mizoginiczne (stosunkowo niewiele na wystawie prac kobiet, co także jest odbiciem męskocentryzmu, obecnego przez lata w polskiej satyrze), kiedy indziej wymierzone w „skandaliczne" obyczaje młodzieży czy polityczną opozycję. To nie zarzut, „The Best of…" jest przecież nie tylko przeglądem muzealnego archiwum, lecz również uczciwym spojrzeniem na historię polskiej ilustracji satyrycznej, która czasami wydaje się zmurszała, lecz częściej szokująco wręcz aktualna. Krytykujący wojny prowadzone przez Izrael z państwami arabskimi rysunek Stefana Brzozowskiego z 1970 r. – szczególnie odcięty od antysemickiego kontekstu epoki – mógłby równie dobrze powstać w ostatnich miesiącach.

JAKUB DEMIAŃCZUK

muzyka

## Mocno już było 4/6

Kneecap, **Fenian**, Heavenly




Trio Kneecap z Irlandii Północnej wkraczało na scenę z wykopem i w aurze skandalu. Nie za sprawą twardego trzymania się języka irlandzkiego, separatystycznych haseł i nawiązań do historii IRA, ale przez to, że Mo Chara – jeden z członków grupy – zamachał na koncercie flagą Hezbollahu. Prokuratura brytyjska uznała to nie za wyraz solidarności z Palestyną, tylko za gest terrorystyczny, choć ostatecznie sąd odrzucił zarzuty wobec rapera. Płomienne festiwalowe występy Kneecap z zeszłego roku odnajdują polityczne przedłużenie na „Fenian": w tytule mamy określenie irlandzkiego republikanina; pojawia się też palestyńska tematyka i (gościnnie) Fawzi, raper z Ramallah. Całość wydaje się jednak nieco powściągnięta pod względem atmosfery, mniej bojowa w porównaniu z debiutanckim albumem „Fine Art" sprzed dwóch lat. Jeśli ktoś oczekiwał uderzenia o sile Sex Pistols – a z nimi porównywano grupę z Belfastu wcześniej – dostanie rzecz nieco delikatniejszą, mniej taneczną i bardziej zniuansowaną. Wtedy zespół się definiował, prezentując utwory powstające od dawna, tu musiał stworzyć materiał krócej, odpowiadając na duże, mocno rozbudzone oczekiwania. BCH

nie przegap



Koza & Kuba Więcek, **Człowiek zwany ciszą**, Kxntrst

Trzecie podejście do duetowej współpracy rapera Kozy (prywatnie i w polskim teatrze znanego jako Kamil Białaszek) oraz saksofonisty i producenta Kuby Więcka jest najlepszym z dotychczasowych. Osobiste, ale pozbawione efekciarskich klisz hiphopowych teksty są prezentowane w sposób zarazem atrakcyjny i czytelny. A tematy, które napisał Więcek na tę płytę, spokojnie mogłyby trafić na kolejny album jego formacji Hoshii. Polscy raperzy ze ścisłej czołówki – Taco Hemingway czy Mata – mogą pozazdrościć. BCH



**Deadloch 2**, twórczynie serii: Kate McCartney i Kate McLennan, 6 odc., Prime Video

W drugim sezonie tej szalonej australijskiej komedii kryminalnej, zdradzającej silne inspiracje brytyjskim humorem, widowiskowo niedobrany duet policyjny Dulcie (Kate Box) i Eddie (Madeleine Sami) przenosi się z tytułowego Deadloch na Tasmanii do sportretowanego jako równie prowincjonalne kontynentalnego Darwin. Są charakterni lokalsi, w tym oczywiście krokodyle, jest zbrodnia i – to też znak rozpoznawczy serii – lesbijki, gdziekolwiek się obejrzeć. AK



**Joanna Rajkowska. Wkrótce wszystko się zmieni**, Ogrody Królewskie na Wawelu, Kraków, wystawa czynna do 30 września

To już tradycja, że wawelskie ogrody anektuje współczesna rzeźba. Tym razem wystawa nietypowa, bo składająca się z trzech zaledwie prac. Nie ma wprawdzie kultowej już warszawskiej palmy (na dziedzińcu prezentowałaby się wspaniale), ale jest za to gniazdo, które uwiły sobie na tym sztucznym drzewie jak najprawdziwsze wrony. Oraz imponujące, blisko dwuipółmetrowe jajo ptasie, jakby na chwilę przed wykluciem się megapisklęcia. P.SA.



eprasa.pl fe4ae05645

# Granie na ekranie



Billie Eilish podczas trasy koncertowej „Hit Me Hard and Soft"



eprasa.pl fe4ae05645

Zanim kina zatoną jak „Titanic", reżyser „Titanica" próbuje je ratować koncertem przeznaczonym na wielki ekran. To niejedyna taka próba: kino nie od dziś traktuje muzykę jako jeden ze sposobów na przyciągnięcie publiczności.

**JAKUB DEMIAŃCZUK**

Ponad 13-miesięczna trasa Billie Eilish, promująca album „Hit Me Hard and Soft", zakończyła się w listopadzie ub.r., lecz na wielkich ekranach dostanie drugie, choć znacznie krótsze, życie. Na 8 maja zaplanowano kinową premierę koncertowego filmu „Hit Me Hard and Soft: The Tour (Live in 3D)". Nakręcił go podczas czterech ubiegłorocznych występów w manchesterskiej arenie Co-op Live nie kto inny, jak sam James Cameron. To on wpadł na pomysł zarejestrowania koncertu i przekonał Eilish do tego, by pokazywać go w wersji trójwymiarowej. „Uznała, że to dobry pomysł, więc zaoferowałem jej współreżyserowanie tego filmu, bo to ona jest architektką spektaklu. A to show wyjątkowy, piękny, fantastyczna platforma dla jej talentu", mówił reżyser „Avatara" i „Titanica" w jednym z wywiadów.

Platforma – dodajmy – stosunkowo przystępna. Podczas wspomnianej trasy Billie Eilish odwiedziła też w ubiegłym roku Polskę, zagrała dwa koncerty w Krakowie. Żeby dostać się na któryś z nich, trzeba było nie tylko wydać sporo pieniędzy – bilety kosztowały od 300 zł wzwyż (choć to i tak umiarkowane ceny jak na gwiazdę tego formatu) – ale też szybko podejmować decyzje. Oba występy wokalistki prędko się wyprzedały. Na kinowe pokazy wejściówek zabraknąć nie powinno, sieci multipleksów organizują w premierowy weekend po kilka pokazów dziennie. Jednak bilety, szczególnie na pokazy w 3D (bo można też zobaczyć koncert w tradycyjnym formacie), sprzedają się dość szybko.

## Namiastka przeżycia

Historia filmów koncertowych – nie mylić z dokumentami poświęconymi konkretnym artystom czy zjawiskom ze sceny muzycznej – sięga jeszcze lat 40. ubiegłego wieku. Za jeden z pierwszych uważa się „Adventure in Music" (1944 r.) w reżyserii Reginalda Le Borga, będący zapisem występów kilku popularnych muzyków, grających m.in. utwory Liszta i Chopina. Na ekranie pojawiły się ówczesne gwiazdy, wśród nich hiszpański pianista José Iturbi, przez wiele lat współpracujący ze studiem MGM, oraz harfistka Mildred Dilling, znana m.in. z występów z Bingiem Crosbym i Bobem Hope'em, a także z tego, że przez 30 lat uczyła gry na tym instrumencie Harpo Marxa.

Recenzent „The New York Timesa" miał mieszane uczucia, pisząc, że rezultatem byłaby „zróżnicowana, pamiętna i wartościowa płyta. Jednak jako film ma jakość rodzinnego albumu ze zdjęciami. Ale skoro oczywistą intencją jest tutaj przekazanie atmosfery koncertu, obraz spełnia swoje zadanie". I choć z czasem filmowane występy były coraz mniej statyczne, wyznaczony przez „Adventure in Music" kierunek pozostał niezmienny: chodzi o to, by dać widzom namiastkę koncertowego przeżycia.

To nie znaczy, że wśród filmów koncertowych zabrakło dzieł wybitnych. Zdarzało się, że ta „namiastka" przechodziła do historii, szczególnie jeśli udało się twórcom uchwycić wyjątkowy, niepowtarzalny moment. Te najlepsze zawsze były czymś więcej niż rejestracją występu na żywo. „Woodstock" (1970 r.) Michaela Wadleigha dokumentował najsłynniejszy festiwal w dziejach muzyki rockowej. „Ostatni walc" (1978 r.) Martina Scorsesego był zapisem finałowego koncertu grupy The Band (z gościnnym udziałem m.in. Boba Dylana, Joni Mitchell i Neila Younga), a zarazem pasjonującą opowieścią o fenomenie zespołu. Nominowany do Oscara „Summer of Soul" (2021 r.) Questlove'a montował archiwalne nagrania z Harlem Cultural Festival z 1969 r. w kipiącą energią relację z nieodległej przeszłości, a jednocześnie przywracał pamięci nieco zapomniany kawałek historii afroamerykańskiej kultury.

Niektóre koncertowe filmy sprawiają wrażenie prostej obserwacji muzyków u szczytu formy, lecz nieprzypadkowo za ich realizację często odpowiadają twórcy obdarzeni nieprzeciętnymi talentami: „Stop Making Sense" (1984 r.) z fenomenalnym występem Talking Heads sam reżyser Jonathan Demme nazywał raczej „filmem performatywnym". W „Amazing Grace" (nakręcony w 1972 r., ale ostatecznie zmontowany i wpuszczony do kin w 2018 r.) wizualnie nie dzieje się wiele – to fragmenty dwóch wspaniałych występów Arethy Franklin w kościele baptystów w Los Angeles, podczas których nagrywała koncertową płytę. A przecież reżyser Sydney Pollack, nadzorujący oryginalne nagranie, zdołał udokumentować talent Królowej Soulu, uchwycić atmosferę tych dwóch wieczorów i jeszcze pokazać, jak wielki wpływ miała Franklin na ówczesną kulturę muzyczną – kamera wśród widzów wyłapuje nie tylko legendarną śpiewaczkę gospel Clarę Ward, lecz także Micka Jaggera i Charliego Wattsa.

Beastie Boys, realizując „Awesome; I Fuckin' Shot That!", rozdali małe kamery cyfrowe 50 fanom, by ci nakręcili koncert zespołu w Madison Square Garden – dopiero z tych nagrań został zmontowany gotowy film. Nowojorskie trio wyprzedzało czas, dziś niemal każdy koncert jest amatorsko filmowany z dowolnego kąta, wystarczy tylko poszukać na YouTube lub przejrzeć rolki na Instagramie i TikToku. 20 lat temu „Awesome..." był jednak jednym z nielicznych filmów, które dawały autentyczne poczucie oglądania występu z perspektywy widowni.

## Wrażenie uczestniczenia

Te najlepsze produkcje to zaledwie ułamek produkcji koncertowej. Filmów będących profesjonalną rejestracją występów na żywo powstają setki rocznie. Do wyboru, do koloru: od muzyki klasycznej, poprzez rock, pop, metal, hip-hop, aż po rave i techno. To, co kiedyś wymagało wielkiego nakładu sił – Scorsese zatrudnił siedmiu doświadczonych operatorów filmowych, by kręcili koncert The Band na potrzeby „Ostatniego walca" – uprościło się wraz z rozwojem kamer wideo, a gdy nastała technika cyfrowa, w ogóle stało się powszechne. Istnieją nawet serwisy streamingowe wyspecjalizowane w filmach koncertowych, gdzie każdy ▶

HENRY HWU



eprasa.pl fe4ae05645

▶ może znaleźć coś dla siebie; jeden z najpopularniejszych ma w swoim katalogu kilka tysięcy tytułów. Zdarzają się także transmisje internetowe na żywo – największą popularnością cieszyły się z oczywistych względów w czasie covidu.

Po pandemii publiczność masowo wróciła na koncerty, lecz nawyk koncertowy związany z dużymi i małymi ekranami całkiem nie zniknął – także w kinach zagęściło się od muzycznych propozycji. „Hit Me Hard and Soft: The Tour" to tylko część większego zjawiska. Podobne produkcje coraz częściej można zobaczyć na wielkich ekranach, chociaż nie trafiają do regularnej dystrybucji, za to anonsowane są jako specjalne wydarzenia. Czasami to pojedyncze seanse, czasami – jak w przypadku koncertu Billie Eilish – grane są na kilkunastu seansach przez cały weekend, ale działa tu taka sama zasada jak w przypadku prawdziwych koncertów. Chodzi o wrażenie uczestniczenia w ekskluzywnym wydarzeniu, które odbywa się tu i teraz (i nie ma znaczenia, że prędzej czy później zapis takiego występu pojawi się w ofercie serwisów streamingowych bądź na nośnikach fizycznych).

## Rozrywka i powaga

W ostatnich latach widzowie mogli na wielkich ekranach oglądać występy m.in. Taylor Swift, koreańskich boysbandów BTS i Stray Kids, japońskiego One Ok Rock czy metalowej grupy Bring Me the Horizon. Polscy twórcy nie pozostawali z tyłu: na ekranach kin można było obejrzeć również występy Dawida Podsiadły i Sanah. To nie znaczy, że koncertowy repertuar ogranicza się do nazwisk popularnych przede wszystkim wśród młodszych widzów. Ci nieco starsi mogli niedawno oglądać doskonały „EPiC: Elvis Presley in Concert", zmontowany przez Baza Luhrmanna z archiwalnych nagrań (odkrytych przez reżysera, gdy kilka lat temu pracował nad swoim filmem o Elvisie), oraz „Power to the People: John & Yoko Live in NYC", czyli rejestrację występów Lennona w nowojorskim Madison Square Garden. Do tego można jeszcze dorzucić okazjonalne „dokumenty" – cudzysłów wydaje się tu niezbędny, bo to raczej filmy promujące konkretną płytę (np. „Megadeth: Behind the Mask" czy „Metallica: 72 Seasons") lub artystę („Iron Maiden: Burning Ambition", „Quebonafide: Północ/Południe"), nagrywane pod ścisłą kontrolą samych zainteresowanych.

Publiczność niekoniecznie zainteresowana muzyką popularną również ma szansę na muzyczne uniesienia w kinach. Radosław Tomasik i Bartłomiej Majchrzak, założyciele kinomaestro.pl, dystrybuującego m.in. filmy koncertowe z udziałem popularnych gwiazd muzyki klasycznej, mówią, że tuż po pandemii frekwencja na koncertach i spektaklach nie była jeszcze satysfakcjonująca, lecz wysiłek włożony w marketing i promocję się opłacił. Największymi hitami w katalogu dystrybutora są niezmiennie rejestracje koncertów André Rieu, które od pandemii przyciągnęły do polskich kin ponad 842 tys. widzów. Na najpopularniejszy z nich – „Srebrno-złoty koncert gwiazdkowy André Rieu" – wybrało się do kin aż 148 tys. melomanów, czyli znacznie więcej niż gromadzą niektóre filmy trafiające do regularnej dystrybucji.

– *Okazaliśmy się tak silnym rynkiem, że specjalnie dla nas produkowane są wersje koncertów André Rieu z polską prowadzącą i polskim scenariuszem* – mówi Majchrzak. – *Z badań, które robiliśmy, wynika, że o ile na koncerty Rieu na żywo przychodzi publiczność w każdym wieku, o tyle na pokazach kinowych dominują widzowie nieco starsi, dla których istotna jest cena i powszechna dostępność takiego wydarzenia* – tłumaczy. I dodaje, że właśnie dlatego dystrybutor współpracuje nie tylko z multipleksami, lecz również z kinami studyjnymi. Radosław Tomasik dorzuca: – *Jesteśmy fanami kina w Buku, gdzie jeden koncert Rieu ogląda średnio co czwarty z 5,5 tys. mieszkańców.*

## Z teatru na stadion

Kinowy seans jest egalitarny, choć nie zastąpi doświadczenia uczestnictwa w koncercie, przeżywania wspólnych emocji i poczucia, że bierze się udział w czymś wyjątkowym. W zamian daje co innego: możliwość spojrzenia z bliska na gwiazdę, zerknięcia za kulisy, lepszego poznania artysty lub artystki czy raczej tego, co zdecyduje się pokazać publicznie. Lecz nikt też nie ukrywa, że podobne przedsięwzięcia to doskonały piar i próba zarobienia dodatkowych pieniędzy na tym, co i tak doskonale się sprzedaje.

Szczególnie że w przypadku największych gwiazd gra toczy się o poważne pieniądze. „Taylor Swift: The Eras Tour" to dziś najbardziej kasowy film koncertowy w historii: zarobił ponad 260 mln dol. (sama trasa artystki przyniosła przychód rzędu 2 mld dol.). Inne tytuły nie mogą się pochwalić podobnymi wynikami, lecz wpływy z biletów, liczone w dziesiątkach milionów dolarów, wciąż robią wrażenie. Zwłaszcza że większość filmów koncertowych to produkcje dla najwierniejszych fanów, bonus dla tych, którzy chcą sobie przypomnieć koncertowe emocje, oraz pocieszenie dla tych, którzy w wydarzeniu na żywo nie mogli uczestniczyć.

Koncertowe filmy wpisują się przy tym w szersze zjawisko kulturowe: kina, zwłaszcza wielosalowe, przestają być miejscami, w których ogląda się wyłącznie filmy. Nawet wielkie blockbustery nie są wystarczającym magnesem dla publiczności (osobną kwestią jest, na ile to wina słabości hollywoodzkich produkcji). Streaming wciąż nie zabił kina – wystarczy spojrzeć na światowy box office – ale odpływ publiczności na rzecz seansów domowych, który nastąpił bezpośrednio w wyniku pandemii, bywa zauważalny. Dla wielu osób potrzeba czegoś więcej niż kolejnej superprodukcji często wątpliwej jakości, na dodatek poprzedzonej 20–30-minutowymi reklamami. Kilka tygodni temu szef Sony Pictures Tom Rothman przestrzegał amerykańskie sieci kin przed nadmiernym bombardowaniem widzów reklamami, wskazując ich liczbę jako najważniejszy – oprócz rosnącej ceny biletów – powód odpływu kinowej publiczności.

Nic nie wskazuje, by multipleksy w Polsce miały posłuchać rady Rothmana, kuszą za to ludzi na inne sposoby. Czasami wzorem kin studyjnych proponują seanse filmów ambitnych lub kinowej klasyki (o rosnącej popularności tego zjawiska pisaliśmy w POLITYCE 17/23), kiedy indziej będą to koncerty lub inne wydarzenia związane z kulturą niekoniecznie masową, takie jak przedstawienia z londyńskiego National Theatre. Wspomniane już kinomaestro.pl prezentuje w kinach nie tylko koncerty, lecz również spektakle operowe i baletowe z Opery Paryskiej czy Arena di Verona, filmy pokazujące wystawy mistrzów (przypominające połączenie dokumentu z kuratorskim oprowadzeniem po ekspozycji).

A jeśli nie sztuka, to może sport? Np. piłkarska Liga Mistrzów. I to nie tylko półfinały i finał – w tym roku można było na dużym ekranie obejrzeć całą fazę pucharową rozgrywek. I podobnie jak w przypadku koncertów niby to samo można byłoby obejrzeć w domowym zaciszu, ale dzielona z innymi widzami radość ze zwycięstwa (lub gorycz porażki) daje namiastkę uczestniczenia w wyjątkowym wydarzeniu, które nie jest dostępne tylko dla wybranych. W końcu zdobyć bilety na finał Ligi Mistrzów jest jeszcze trudniej niż na koncert Billie Eilish czy Taylor Swift.

JAKUB DEMIAŃCZUK



eprasa.pl fe4ae05645



© NATALIE THOMAS/REUTERS/FORUM

# Topniejący ból

Uznałam, że niektóre zeznania są tak drastyczne, że oglądający tego nie zniosą – mówi ukraińska dokumentalistka Alisa Kovalenko, autorka filmu „Ślady", pokazywanego na Millennium Docs Against Gravity.

**Alisa Kovalenko** (ur. 1987 r.) – nagradzana ukraińska dokumentalistka i członkini Europejskiej i Ukraińskiej Akademii Filmowej. Jej trzeci film „We Will Not Fade Away", dokument przygodowy dla młodzieży, którego akcja rozgrywa się w ogarniętym wojną Donbasie, miał premierę na Berlinale 2023, zdobył ponad 20 międzynarodowych nagród. Po inwazji Rosji na Ukrainę zgłosiła się na ochotnika do walki, po czym powróciła do reżyserowania, tworząc osobisty dokument „My Dear Theo" oraz film „Ślady", który zdobył nagrodę publiczności w dokumentalnej sekcji Panorama na Berlinale 2026. Teraz trafił do programu festiwalu Millennium Docs Against Gravity.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Jaka jest skala zbrodni seksualnych popełnionych przez rosyjskich żołnierzy od początku wojny w Ukrainie?**

ALISA KOVALENKO: – Trudno sprecyzować, ponieważ są to jedne z najbardziej przemilczanych przestępstw. Z wielu źródeł wynika jednak, że mają charakter masowy. Według Misji Monitorującej Prawa Człowieka ONZ na Ukrainie, ponad 90 proc. byłych ukraińskich jeńców wojskowych i cywilnych zgłosiło tortury i nieludzkie traktowanie ze strony rosyjskiego personelu wojskowego. Stwierdzono również, że rosyjskie tortury – w tym tortury o charakterze seksualnym – są powszechne, systematyczne i sankcjonowane na najwyższych szczeblach politycznych i wojskowych, stanowiąc zbrodnie przeciwko ludzkości.

**Problem dotyczy obu płci?**

Tak. Przemoc dotyka kobiety, mężczyzn, a także dzieci (dziewczynki i chłopców). Wobec mężczyzn częściej stosuje się wyrafinowane tortury nazywane m.in. „telefonem do Putina": rażenie prądem genitaliów – co może prowadzić do niepłodności – ale też innych części ciała, w tym uszu i języka. Nie są to incydenty, lecz celowa taktyka i broń wojenna. Odnotowuje się je na wszystkich terytoriach, które znajdowały się pod rosyjską okupacją.

**Gwałt to świadoma broń stosowana przez sprawców, a żołnierze mają na to przyzwolenie dowódców?** ▶



eprasa.pl fe4ae05645

▶Przemoc seksualna niemal zawsze jest stosowana jako celowa taktyka i narzędzie wojenne mające na celu złamanie morale podbijanych społeczności. Rosyjskie dowództwo w pełni akceptuje takie metody walki. Traktuje je jako klasyczny sposób upokorzenia, zastraszenia, tłumienia oporu ludności wzorowany na metodach starożytnych. Wycofanie się Rosji z konwencji przeciwko torturom jest interpretowane jako przyzwolenie państwa na przemoc. Nie należy jednak zapominać, że nikt jawnie nie zmusza do gwałtów i tortur. To wybór dokonywany przy braku moralnych hamulców zwierzchników.

**Dlaczego tak trudno przełamuje się w tej sprawie mur milczenia?**

Z powodu obaw o reakcje otoczenia. W grę wchodzą wstyd i napiętnowanie w lokalnych społecznościach. Szczególnie w małych wioskach i miasteczkach trudno się przyznać do bycia ofiarą przemocy seksualnej. Do tego dochodzi brak świadomości definicji zbrodni. Wiele osób ocalałych nie zdaje sobie sprawy, że to, co przeżyły, klasyfikuje się jako „przemoc seksualna związana z konfliktem". Często uważają te czyny za „zwykłe" tortury, nie wiedząc, że stanowią odrębną, podlegającą ściganiu, kategorię zbrodni wojennych. Ponadto ocaleni często wykazują brak wiary w skuteczność międzynarodowego systemu sprawiedliwości. Dominuje przekonanie, że rosyjscy żołnierze i tak nigdy nie zostaną ukarani, co odbiera motywację do składania zeznań. Ja sama, będąc ofiarą, milczałam przez dwa lata, nie chcąc obarczać rodziny i bliskich bólem. Ale przy „Śladach" głównym punktem odniesienia było właśnie piekło, przez które przeszłam w Krematorsku w regionie donieckim, gdzie byłam przesłuchiwana i torturowana przez rosyjskiego oficera kontrwywiadu.

**Co sprawiło, że zdecydowała się pani publicznie do tego przyznać?**

To był długi proces. Będąc studentką szkoły filmowej, zostałam schwytana i uwięziona w 2014 r. Wiele miesięcy zajęło mi, by zrozumieć, że spychany do podświadomości ból nie znika. Przepracowanie cierpienia i głośne mówienie o nim, choć trudne, są niezbędne do dalszego życia. W moim przypadku pierwszym krokiem był udział w eksperymentalnym projekcie teatralnym w 2015 r. Tam po raz pierwszy podzieliłam się swoją historią. Zgodziłam się potem, by moje doświadczenie stało się dowodem w procesach o ściganie zbrodni wojennych. Złożyłam oficjalne zeznania, wierząc, że nagłośnienie pomoże doprowadzić sprawców przed Europejski Trybunał Praw Człowieka i Międzynarodowy Trybunał Karny. Kolejnym przełomem było dołączenie do SEMA Ukraine, organizacji zrzeszającej osoby ocalałe z przemocy seksualnej. Poczucie solidarności i wzajemne wsparcie wewnątrz grupy dały mi impuls do walki także o sprawiedliwość na poziomie zbiorowym.

Decyzję o nakręceniu „Śladów" podjęłyśmy wspólnie wraz z czterema ocalałymi kobietami. Realizacja dokumentu oraz obserwowanie, jak inne kobiety przechodzą ozdrowieńczą drogę od traumy do aktywności społecznej, pomogły mi stanąć na nogi.

**Najpierw jednak dołączyła pani do 5. Samodzielnego Batalionu Ukraińskiej Armii Ochotniczej w 2. Zmotoryzowanej Brygadzie „Czarne Pławy"…**

Decyzja o wstąpieniu do armii była wynikiem długotrwałego dylematu między rolą dokumentalistki (obserwatorki) a aktywnej uczestniczki wydarzeń, który towarzyszył mi od czasów Majdanu. Doświadczenie niewoli w 2014 r., w trakcie której zetknęłam się ze złem absolutnym, uświadomiło mi skalę zagrożenia, jakie niesie za sobą rosyjska okupacja dla całej Ukrainy. Podczas filmowania na linii frontu zaczęłam zadawać sobie pytanie, czy moja praca reżyserska i budowanie świadomości społecznej są wystarczające, by powstrzymać agresora i ochronić kraj. W 2015 r. obiecałam sobie, że jeśli dojdzie do pełnoskalowej inwazji, odłożę kamerę i zostanę żołnierką. W lutym 2022 r. poczułam, że jako artystka umarłam, ponieważ zrozumiałam, że kamera nie jest w stanie wiele zmienić, a już na pewno nie ochroni mojej rodziny. Podjęłam więc walkę o wolność, o wartości demokratyczne oraz o to, by mój pięcioletni wówczas syn nie musiał żyć w systemie totalitarnym. Gdy opuściłam szeregi armii, mój dylemat między byciem reżyserką a żołnierką nie zniknął. Wciąż mam silne poczucie, że działania w sektorze kultury są niewystarczające. Niewykluczone, że wrócę na front.

**Jak się pani udało namówić bohaterki do szczerości przed kamerą?**

Nie występowałam w roli odpytującej reżyserki-dziennikarki. Dzieliłam się z nimi własną historią, dzięki czemu prowadziłyśmy równorzędny dialog. Początkowo razem z Iryną, główną bohaterką, z którą znałyśmy się od czterech lat, zbudowałyśmy most zaufania z innymi ocalałymi, wspólnie dokumentując zbrodnie wojenne w regionie Kijowa i Chersonia jako przedstawicielki organizacji ocalałych SEMA Ukraina. Ninę, jedną z kobiet, która pojawia się później w filmie, poznałam, gdy była w bardzo złym stanie psychicznym, nigdy wcześniej nie zwierzała się z tego, co ją spotkało. Jej dom został zniszczony, cały czas płakała. Nie byłam pewna, czy stanie się częścią filmowej historii. Kiedy Nina składała zeznania, nakręciłam scenę, nie wiedząc, czy wejdzie do filmu ani w jakiej formie – czy pojawi się jej twarz, prawdziwy głos. Skupiłam się wtedy głównie na jej dłoniach, ponieważ wszystko było jeszcze niepewne. Rok później, po rehabilitacji i wsparciu ze strony SEMA Ukraina, Nina zaczęła wracać do zdrowia. Później sama dołączyła do organizacji i zgodziła się wystąpić w filmie z ujawnioną twarzą i głosem.

**Według jakiego klucza dokonywała pani wyboru swoich bohaterek?**

Proces kwalifikacji był ściśle związany z działaniami w SEMA Ukraine. Najistotniejsze było wzajemne zaufanie oraz dobrowolna zgoda na upublicznienie nagrań. Dla niektórych – jak dla Oli – decyzja ta była oczywista i natychmiastowa, dla innych wymagała oswojenia, co trwało przeważnie wiele miesięcy. Dla mnie niezwykle ważne było dostrzeżenie, pomimo głębokiej traumy, tego rodzącego się wewnętrznego oporu u kobiet. Później równie ważna stała się ich droga transformacji – od głębokiej traumy do aktywnej walki o swoje prawa i sprawiedliwość.

**Które zeznanie zrobiło na pani najmocniejsze wrażenie?**

Każde jest straszne, ale szczególnie dwie relacje wryły mi się w pamięć. Nie mogłam dojść do siebie po usłyszeniu historii Oli. Rosyjscy żołnierze zmusili ją do słuchania krzyków i płaczu jej torturowanego syna w sąsiedniej celi. Sama jestem matką, więc doskonale wiem, co wtedy czuła. Szokiem była też dla mnie opowieść 75-letniej nauczycielki. Rosyjski żołnierz, prawdopodobnie w wieku jej wnuka, brutalnie ją pobił, łamiąc jej żebra i zęby oraz raniąc ją w brzuch, a następnie zgwałcił. Na koniec oprawca zostawił jej pocisk jako „pamiątkę" i ukradł jej rower. To przekroczyło ostatnią czerwoną linię w katalogu znanych mi zbrodni wojennych.

**Czy kiedykolwiek miała pani ochotę przerwać nagrywanie albo poddać**



eprasa.pl fe4ae05645

**je cenzurze, żeby głębiej nie ranić ani bohaterek, ani widzów?**

Tak, miewałam chwile głębokiego zwątpienia. Któregoś dnia, po nagraniu pięciu historii z rzędu, zrozumiałam, że nie jestem w stanie dalej prowadzić dokumentacji. Zrobiło mi się słabo, a gdy wróciłam do hotelu i położyłam się na łóżku, poczułam lodowaty chłód i pustkę. To nie był ból, tylko wrażenie wielkiej wypalonej dziury wewnątrz. Nie mogłam zasnąć. Byłam naprawdę w złym stanie. Pojawiły się koszmary, depresja. Trwało to blisko miesiąc. Potrzebowałam kogoś, kto pomoże mi to udźwignąć. Zdecydowałam się wtedy zaprosić Marysię Nikitiuk, znajomą reżyserkę i pisarkę z Kijowa, do współpracy, dzięki której łatwiej mi było to wszystko ogarnąć.

**A jeśli chodzi o autocenzurę?**

Podjęłam świadomą decyzję o selekcji niektórych materiałów na etapie montażu. Uznałam, że niektóre zeznania są tak drastyczne, że oglądający tego nie zniosą. Usunęłam np. fragment opisu gwałtu przy użyciu lufy kałasznikowa. Ofiara dostała potem wysokiej gorączki, została czymś zainfekowana, musiała być hospitalizowana. W centrum filmu miała stać godność ocalałych, a nie okrucieństwo sprawców. Usunęłam też z filmu zeznania Oli, którą w trakcie dziewięciu miesięcy przebywania w niewoli zmuszano do śpiewu rosyjskiego hymnu, żeby mogła otrzymać zgodę na pójście do toalety. Inną dziewczynę katowano bieganiem nago na mrozie. Ani razu nie zdarzyło się, żeby ktoś poprosił o zaprzestanie nagrywania zeznań. Dla wielu ofiar możliwość złożenia świadectwa była formą samoobrony, autoterapii, walki.

**W pani filmie kamera, zamiast pokazywać twarze bohaterek, często obrazuje ruiny, zniszczone przedmioty, drzewa, zwierzęta. Jak się kształtowała koncepcja wizualna filmu?**

Nie chciałam nakręcić interwencyjnego reportażu. Zależało mi na głębszym portrecie i – jeśli to właściwe słowo – poetyckiej wizji. Dlatego zrezygnowałam z ustawiania bohaterek na wprost obiektywu. Tytułowe „Ślady" to współistnienie materialnych znaków okupacji: ruin, graffiti pozostawionych przez Rosjan, wypalonych pól, dziur po kulach oraz niewidocznych ran ludzi i ich opowieści. Dramaturgię filmu oparłam na cyklu pór roku, odradzania się natury, nawiązując do czterech etapów psychologicznego wychodzenia z traumy zwanego topnieniem. Przyroda stała się metaforą powolnego procesu odzyskiwania równowagi. Ważną rolę odgrywa sadzenie kwiatów czy czosnku na spalonej ziemi. W warstwie symbolicznej to kopniak w twarz agresora, dowodzący, że skrzywdzone kobiety nie zostały złamane.

**Ten zabieg przypomina mi „Shoah" Lanzmanna. Tam też nie było żadnych archiwaliów ani dodawania zdjęć bezpośrednich walk. Tylko świat rzeczywisty tu i teraz.**

Forma filmu rodziła się spontanicznie. Wystartowałyśmy po otrzymaniu grantu na dokumentowanie zbrodni przeciwko ludzkości. Początkowo miałyśmy tylko rejestrować świadectwa, co nie zostawiało miejsca na typowy proces badawczy czy zastanawianie się nad strukturą filmu. Uważnie wsłuchiwałam się, co mówią moje bohaterki, obserwowałam, jak się zachowują. Przez rok pracowałam praktycznie za darmo, z bardzo małym budżetem, który stopniowo się poszerzał dzięki dotacjom NGO-sów. Potem dołączył ukraiński producent i polscy koproducenci, krótki metraż mógł się przerodzić w długi.

**Czy zetknęła się pani z fałszowaniem zeznań?**

Nie. W pracy z osobami ocalałymi z przemocy seksualnej w czasie wojny należy się kierować zasadą domniemanego zaufania. Udowodnienie zbrodni drogą medyczną jest często niemożliwe, normą jest, że ofiara przebywała przez wiele miesięcy w niewoli lub pod okupacją bez dostępu do lekarza. Wszystkie bohaterki filmu złożyły oficjalne zeznania przed Prokuraturą Generalną Ukrainy. Składały je również przed komisją monitorującą ONZ, co potwierdza wiarygodność i ich status jako świadków. W przypadku Bośni czy Kosowa procesy, wypłaty reparacji i masowe składania zeznań rozpoczynały się znacznie później, często dopiero 15 lat po zakończeniu konfliktu. Tymczasem w Ukrainie osoby ocalałe decydują się mówić w trakcie trwającej wojny. Ukraina stała się pierwszym krajem, który wdrożył mechanizm tymczasowych reparacji jeszcze w czasie trwania konfliktu. Do tej pory z pomocy skorzystało 1080 osób. Dzięki organizacjom takim jak SEMA Ukraine ocaleni są aktywnymi rzecznikami swoich praw. Posiadają wpływ na to, jak państwo i instytucje międzynarodowe podchodzą do ścigania. Unikatowym zjawiskiem jest silna koalicja kobiet i mężczyzn. Aktywizm kobiet zainspirował mężczyzn. Według mnie Ukraina tworzy obecnie zupełnie nową światową praktykę reagowania na przemoc.

**Wierzy pani, że rosyjscy zbrodniarze zostaną pociągnięci do odpowiedzialności?**

Zdaję sobie sprawę z ociężałości działania machiny biurokratycznej, nie noszę różowych okularów. Postrzegam sprawiedliwość jako powolny kurs, wierzę jednak, że w pewnym momencie możliwe będzie ukaranie winnych. Kluczowe znaczenie ma niedopuszczenie do jakiejkolwiek formy amnestii dla zbrodniarzy wojennych w ramach przyszłych porozumień pokojowych. Pokój bez sprawiedliwości nie jest prawdziwym pokojem. Należy również wspierać inicjatywę wpisania Rosji na „listę wstydu ONZ" – krajów popełniających zbrodnie na dzieciach.

**Czy w nawale wielu dokumentów o wojnie rosyjsko-ukraińskiej temat poruszany w „Śladach" ma szansę przebić się do opinii publicznej?**

Wszędzie, gdzie „Ślady" były prezentowane, spotykały się z gorącym odbiorem wykraczającym poza zwykłe współczucie. Podczas premiery na festiwalu w Berlinie publiczność zgotowała nam owację na stojąco. Nasz film stał się narzędziem szerokiej kampanii społecznej. Jest wykorzystywany m.in. na wydziałach prawa, aby uczyć przyszłych prokuratorów i policjantów podejścia skoncentrowanego na ofierze. Nagrody na festiwalach umożliwiły „Śladom" ubieganie się o kwalifikację do oscarowych nominacji w przyszłym roku.

**W tym sezonie Oscara za najlepszy film dokumentalny otrzymał „Pan Nikt kontra Putin", więc macie pecha.**

Dziwię się, że niewielu dostrzega, jak bardzo ta produkcja jest zmanipulowana. Film Davida Borensteina i Pashy Talankina powiela mit o dobrych Rosjanach walczących z systemem. Przekłamaniem jest w nim sugerowanie, że propaganda wojskowa pojawiła się dopiero po pełnoskalowej inwazji, podczas gdy istniała znacznie wcześniej. Nie zgadza się również chronologia wydarzeń. Przesłanie filmu uważam za zbyt proste, oparte na ogólnikowych hasłach typu „wojna jest zła", które nie nazywają rosyjskiej agresji wprost zbrodnią. Główny bohater nigdy nie tłumaczy uczniom, że Rosja napadła na Ukrainę. Dla mnie to coś w rodzaju naiwnej, krzepiącej bajki dla Zachodu, którą łatwo się ogląda, bez konieczności weryfikacji obowiązujących stereotypów.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI



eprasa.pl fe4ae05645



Hongkong ma 570 drapaczy chmur, czyli najwięcej na świecie

# Drapacze dla bogaczy

ALEKSANDER ŚWIESZEWSKI

Przez ostatnie ćwierć wieku liczba drapaczy chmur wzrosła jak nigdy wcześniej. Światowy wyścig na wieżowce się nie skończył, za to przeniósł w nowe rejony.

Aż 87 budynków widniejących dziś na liście 100 najwyższych powstało w XXI w. Pomniki ubiegłego stulecia stają się coraz mniejsze i możliwe, że za 20 lat w pierwszej setce nie ostanie się już żaden z symboli poprzedniego stulecia. Empire State Building (1931 r.) czy też nawet Willis Tower (1973 r.), niegdyś najwyższe budynki na świecie, mogą wypaść z rankingu.



eprasa.pl fe4ae05645



Panorama Manhattanu. Nowy Jork z ok. 320 wieżowcami spadł dziś na ostatnie miejsce podium.

Council on Vertical Urbanism (CVU) – organizacja non profit zajmująca się wysokimi budynkami – w opublikowanym w lutym br. raporcie „CVU 2026 Trends & Forecasts" ogłosiła, że na świecie jest już niemal 2,6 tys. budynków o wysokości ponad 200 m. A od 2017 r. liczba takich obiektów uległa podwojeniu! Liczba drapaczy chmur rośnie więc na świecie w tempie podobnym jak liczba miliarderów. Miniony rok był 12. z rzędu, kiedy liczba nowych budynków wysokich na przynajmniej 200 m przekroczyła setkę. A sąsiadujące z Hongkongiem Shenzhen stało się pierwszym miastem w historii, gdzie jest 200 tak wysokich obiektów.

### Wielki skok

Krótko po zamachach z 11 września 2001 r. wieszczono zmierzch wieżowców. Eseista i krytyk suburbanizacji James Howard Kunstler ogłosił, że „epoka drapaczy chmur dobiega końca". Przyszłość pokazała, że przepowiednia ta miała tyle wspólnego z rzeczywistością, co słynny „koniec historii". Jeszcze ćwierć wieku temu gmachów mierzących ponad 400 m na całej planecie było łącznie sześć. A dwa z nich, czyli wieże World Trade Center, runęły owego feralnego wrześniowego dnia. Dzisiaj mamy już ponad 40 tak olbrzymich obiektów i, co znamienne, ani jednego w Europie.

Czym jest w ogóle wieżowiec? Określenia tego się nadużywa. Zwłaszcza w Polsce praktycznie każdy wyższy budynek zostaje niemal z automatu określony tym mianem. Tymczasem przyjęło się, że o wieżowcu mówimy po przekroczeniu wysokości nawet nie 100 m, ale dopiero 150 m.

Jeszcze nie tak dawno drapacze chmur były wizytówką Stanów Zjednoczonych. Trudno dziś sobie wyobrazić, jak wielkie wrażenie na przybyszach z Europy robiły wieże Manhattanu przez praktycznie cały XX w. Co ciekawe, matecznikiem tego rodzaju zabudowy nie był wcale Nowy Jork, rewolucja rozpoczęła się bowiem w Chicago, a przez całe ubiegłe stulecie rywalizowały ze sobą w tej dziedzinie właśnie te dwa miasta. Górą był to Nowy Jork, to znów Chicago, gdzie powstało Willis Tower (wówczas Sears Tower). Pod koniec lat 90. wieżowiec ten stracił jednak tytuł najwyższego budynku świata. I była to zmiana epokowa, bo nowy lider rankingu znajdował się nie w Nowym Jorku, ale w Kuala Lumpur. Po raz pierwszy nie w Ameryce Północnej, tylko w Azji. I tak już zostało.

Dziś Chicago jest poza pierwszą dziesiątką najwyższych miast globu. A miejsce niegdyś zajmowane przez USA w XXI w. zajęły Chiny, które przekroczyły niedawno granicę 3,6 tys. wieżowców. Mają blisko cztery razy więcej takich obiektów niż drugie na podium USA. Wśród miast z największą liczbą drapaczy dwa pierwsze miejsca zajmują dzisiaj chińskie metropolie: Hongkong oraz Shenzhen. Mają odpowiednio 570 i 470 drapaczy chmur.

Gdzie się podział słynny Nowy Jork? Spadł na ostatnie miejsce podium z ok. 320 obiektami. Goni go Dubaj, gdzie od 2010 r. wznosi się najwyższy budynek na świecie, czyli słynny Burdż Chalifa. Pustynna metropolia w najbliższych latach wzbogaci się m.in. o cztery wieżowce mierzące po ponad pół kilometra każdy. Najwyższy z nich Burdż Azizi można już zobaczyć w reklamach w światowych kanałach telewizji. Po ukończeniu prac będzie miał 725 m – to Pałac Kultury i Nauki razy trzy.

Azja stała się największym placem budowy w dziejach. Wśród dziesiątki miast z najwyższą liczbą drapaczy tylko Nowy Jork nie znajduje się właśnie na tym kontynencie. Sześć metropolii leży w samych Chinach: Hongkong, Shenzhen, Kanton, Wuhan, Szanghaj oraz Chongqing. Spoza chińskich miast w prestiżowym gronie mamy Dubaj, wspomnianą wcześniej stolicę Malezji Kuala Lumpur i Tokio. Pewnie nikogo nie zdziwi, że – jak donosi ▶

© SHUTTERSTOCK (2)



eprasa.pl fe4ae05645

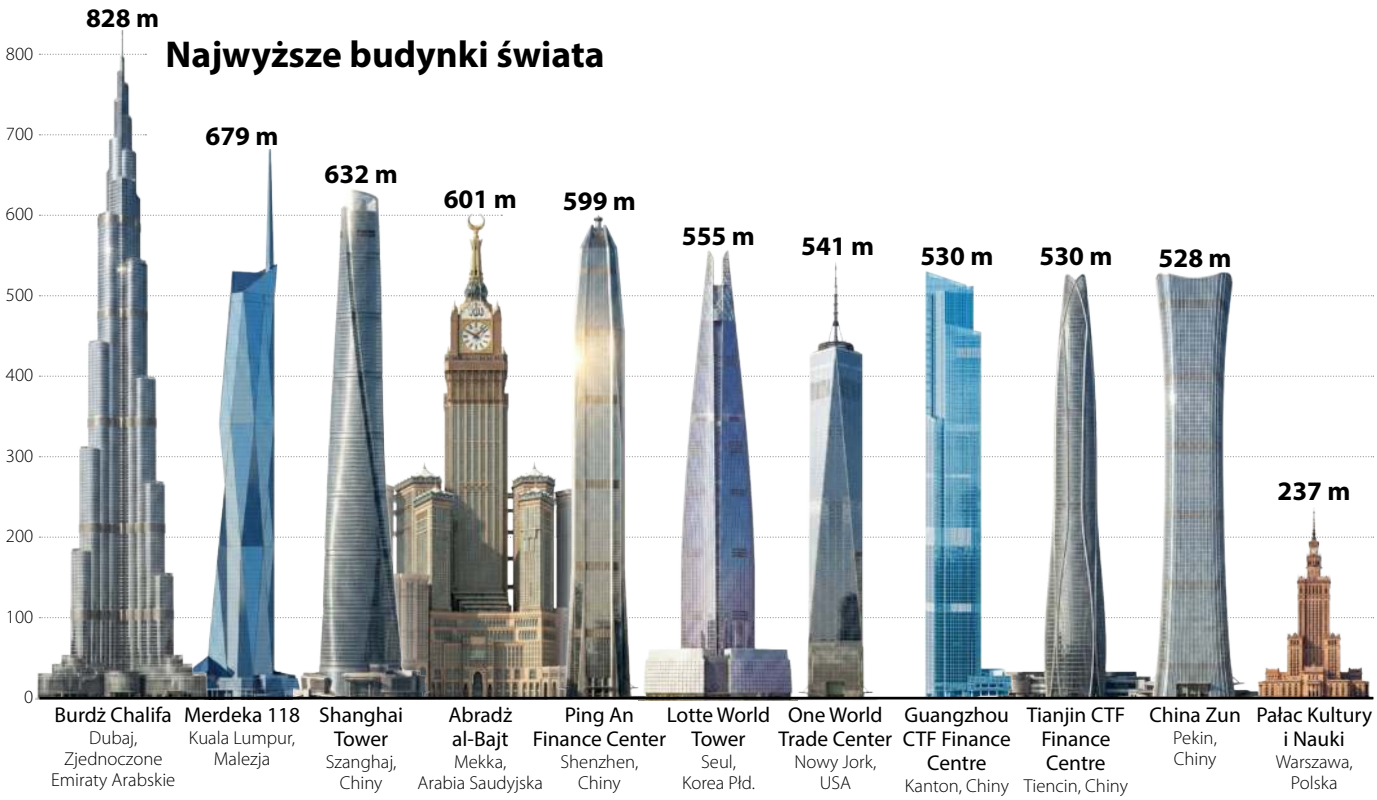


▶ wspomniany raport CVU – wszystkie miasta z największą liczbą ukończonych wieżowców w 2025 r. leżą w Azji.

### Warhattan

Unia Europejska na drapacze chmur nie stawia, tutejsze miasta budują tożsamość w oparciu o coś innego. Stawiają na ludzką skalę. A jedyny na terenie całej wspólnoty państw wieżowiec z kategorii supertall (ponad 300 m, jest jeszcze kategoria megatall – ponad 600 m), czyli oddany w 2022 r. Varso Tower, znajduje się w Polsce. Projekt studia Foster + Partners stał się symbolem, z braku lepszego określenia, Warhattanu. Dzieło polskich architektów Jędrzeja Kolesińskiego i Krzysztofa Górnickiego, zatrudnionych w biurze, stanowi najlepszy dowód, jak dynamicznie zmienia się Warszawa, w ostatnich latach najbardziej amerykańskie miasto w Europie pod względem panoramy.

A jak wypada polska stolica na tle reszty świata? Wedle danych CVU plasuje się na przedostatnim miejscu w pierwszej setce najwyższych miast. Konkurencja jest duża, a Europę reprezentuje w tej czołówce zaledwie kilka metropolii, w tym Londyn oraz Stambuł. Ciekawy jest zwłaszcza przypadek brytyjskiej stolicy. Metamorfoza miasta od 2010 r. jest nadzwyczajna – dziś doliczyć się można w niegdyś dość płaskim Londynie ponad 40 wieżowców, na czele z The Shard.

Generalnie jednak wieżowce są w Europie raczej ciałem obcym. W omawianej wcześniej setce najwyższych drapaczy chmur jest tylko pięć europejskich budynków (wszystkie poza UE: cztery w Rosji, jeden w Turcji, tu Varso Tower się nie załapało), a liczba ta będzie się tylko kurczyła. Dlaczego to w Azji stawia się je na potęgę? Są najtrudniejszą do przeoczenia oznaką kapitału, bogactwa danego miasta. Ale też z bardziej prozaicznych przyczyn: Azja to często przepotężne wielomilionowe miasta z ograniczeniami narzuconymi przez geografię (jak Hongkong), do tego skumulowało się w niej miejscami ogromne bogactwo, bez którego o stawianiu drapaczy nie ma mowy. Jest także powód natury psychologicznej – sporo ludzi, niestety, lubi patrzeć na innych z góry.

### Jutro będzie wyżej

Według ONZ za nieco ponad 30 lat na Ziemi będzie 10 mld ludzi. Blisko 2 mld więcej niż teraz. Jednocześnie współczynnik urbanizacji będzie się stabilnie piął, o globalnym PKB nie wspominając. Również wieżowców będzie więc jeszcze więcej.

Trzy lata temu Indie przeskoczyły Chiny jako najludniejsze państwo globu. I wydaje się, że właśnie tam będziemy obserwować coś podobnego do zmian, jakie przez ostatnie ćwierć wieku zaszły w chińskich miastach. Indyjskie metropolie zaczną się wypiętrzać. Widać to już w Mumbaju. Przez ostatnie 10 lat miasto przeżywa budowlany boom, można tam naliczyć już ponad setkę drapaczy chmur, przy czym mniej więcej połowy z nich jeszcze dekadę temu nie było. Warto mieć oko na Indonezję. Tamtejsza Dżakarta została niedawno uznana za największe miasto globu. Żyje tu więcej ludzi niż w Polsce. W panoramie posiada o kilka wieżowców więcej niż Mumbaj i plasuje się o jedną pozycję wyżej. Indie oraz Indonezja to dwa państwa, które w perspektywie następnych 15–20 lat przy dalszym wzroście gospodarczym zaczną stawiać drapacze chmur niemal taśmowo.

Poza tym w podniebnej rywalizacji zaznacza swoją obecność Afryka. W pierwszej setce najwyższych wieżowców znajduje się jedynie Iconic Tower, wybudowany niedawno w Kairze, ale w tym roku Abidżan (Wybrzeże Kości Słoniowej) doczeka się jeszcze wyższego, ponad 400-metrowego obiektu, znanego jako Tour F.



eprasa.pl fe4ae05645



Burdż Chalifa w Dubaju – najwyższy budynek na świecie

© SHUTTERSTOCK, LECH MAZURCZYK

Wieżowce wydają się sprawdzonym pomysłem na zaznaczenie obecności – jak z Dubajem, który zyskał globalną rozpoznawalność w dużej mierze za sprawą panoramy. Teraz próbuje to zrobić Arabia Saudyjska. Przed rokiem w Dżuddzie po wieloletniej przerwie ponownie ruszyły prace nad najwyższym budynkiem świata. Kilometrowa wieża Jeddah Tower będzie gotowa w okolicach 2030 r. Rijad, stolica państwa, ma z kolei ambicje i niezbędne fundusze, żeby stanąć do rywalizacji z Dubajem. Są plany postawienia w tym największym mieście Półwyspu Arabskiego wieżowca... dwukilometrowego.

Duży znak zapytania wprowadza w tym wszystkim jeden czynnik: zmieniający się klimat. Drapacze chmur w wielu wypadkach znajdują się w metropoliach przybrzeżnych. A jeżeli prześledzić zestawienia miast najbardziej zagrożonych przez napierające morza i oceany, to ich lista będzie się w znacznej mierze pokrywać z tymi, które mają dużo wysokiej zabudowy. Zarówno Mumbaj, jak i Dżakarta, Shenzhen czy Szanghaj to miasta zagrożone przez wielką wodę.

Oczywiście to nie tylko azjatycki problem. W XXI w. Miami wyrosło na trzecie najwyższe miasto Ameryki, po Nowym Jorku i Chicago. Świetnie opisywane w „Ñameryce" przez Martína Caparrósa, ma blisko 70 wysokich obiektów, a tempo wznoszenia nowych tylko przyspiesza – ponad połowa najwyższych wieżowców z tamtejszej pierwszej dziesiątki jest dopiero w budowie. Na razie paniki klimatycznej w panoramie miasta nie widać, nie ma żadnego wyraźnego spowolnienia, są za to kolejne dźwigi.

Pogłoski o śmierci drapaczy chmur z początku lat 2000 były na pewno mocno przesadzone. Co będzie za kolejnych 15–20 lat? Trudno to sobie wyobrazić. Wydaje się, że coraz nowsze technologie będą służyć ludzkiej pysze, nienasyceniu i odwiecznemu pragnieniu dotarcia jeszcze wyżej. Wyżej niż sąsiednie miasto czy państwo, mimo ogromnych kosztów środowiskowych. Bo choć czasy się zmieniły, to ludzką skłonność do ścigania się i okazywania innym swojej wyższości mało co oddaje tak dobrze jak drapacz chmur.

ALEKSANDER ŚWIESZEWSKI

REKLAMA

Nagroda im. Adama Mickiewicza — Nagroda im. Stanisława Barańczaka

Poznańska Nagroda_Literacka

Gala Poznańskiej Nagrody Literackiej odbędzie się 22 maja 2026 w Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu

www.poznanskanagrodaliteracka.pl

organizatorzy: Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu; PPNT Fundacja Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza; Centrum Kultury Zamek; POZnań

eprasa.pl fe4ae05645



# Mea pulpa

## czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Znamy już trzy młodzieżowe słowa roku 2026. To: Łatwogang, Bedoes i stream. Jeśli nie łączysz kropek, musiałeś być totalnie wyłączony.

●

Komentator sportowy Jacek Laskowski, z wykształcenia lekarz chirurg, ujawnił, że po świecie wciąż chodzi kilkaset osób, które zaszył. Jeśli masz blizny w podniosłym, metaforycznym stylu, to mowa o tobie.

●

„To jest taki moment, w którym ja, jako szef WOŚP, mówię wprost – to my się także od was musimy uczyć". To Jurek Owsiak o streamie Łatwoganga. Szybki rezonans. W NFZ nie do pomyślenia.

●

„Przez sztuczną szczękę zerwała zaręczyny ze znanym aktorem". To gazeta.pl w dziale Kobieta wspomina Alinę Janowską. Strach pomyśleć, które elementy protetyczne znajdziemy w dziale Kultura.

●

Żurnalista, czyli Dawid Swakowski, pokazał swoją twarz w Kanale Zero. Doskonały wybór miejsca. Tam też swoją twarz pokazali Grzegorz Braun, Wojciech Olszański, Marcin Osadowski czy Janusz Waluś.

●

Anna Rusowicz po rozwodzie wzięła ślub z samą sobą. Był wieczór panieński, wesele, DJ oraz poprawiny. Idealny sposób na szczęście. Mężczyzny.

●

Filip Chajzer modlił się w klasztorze Montserrat o dobry odbiór jego książki „Szczęście na kreskę". „To miała być książka o uzależnieniu. Wyszła o Bogu". Ciekawa promocja. O niebo lepsze zasięgi.

●

Większość budżetu reklamowego firmy Zondakrypto, czyli 37,3 mln zł, trafiło do TV Republika. Gratulacje. Te dwie firmy łączy jedno. Brak płynności.

●

Marianna Schreiber wygrała przez TKO z Pauliną Porzucek podczas Prime MMA 16. TKO to nic innego jak utrata przytomności przez widzów.

●

Skolim planuje otwarcie kolejnych sześciu stacji benzynowych utrzymanych w latynoskim klimacie. Brawo. Zgodnie z powiedzeniem: Pracuj ciężko, bo faceta bez pieniędzy kocha tylko jego mama.

●

Karolina Gilon postanowiła rozwiać wątpliwości dotyczące swojej aktualnej wagi: „Aktualnie mam swoją ulubioną wagę. 66 kg". Pamiętajcie, to jest jej opinia i możecie się z nią nie zgodzić.

●

Akcje spółki Do Rzeczy już pierwszego dnia notowań na rynku NewConnect spadły o 34,8 proc. w stosunku do ceny pierwotnej. Podsumowując tego newsa w stylu „Do Rzeczy": pełen sukces.

●

Nocowanka z Julią Wieniawą wylicytowana podczas 34. finału WOŚP nie odbyła się. Nabywca, który deklarował kwotę 100 250 zł, zrezygnował. Nie dość, że chytry, to jeszcze głupi.

●

87-letnia Krystyna Mazurówna zaskoczyła wyznaniem: „Jestem za młoda na wspomnienia". Mój dziadek mawiał: „Kiedy byłem młody, byłem biedny, ale po latach ciężkiej pracy już nie jestem młody".

●

Łukasz Mejza został wyrzucony z klubu PiS. Teraz poseł planuje występ we freak fightach, gdzie walczy się w klatce. Niech się przyzwyczaja.



© KRZYSZTOF ZATYCKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Monika Richardson wyznała, że w TVP miała kontrakt gwiazdorski: 40 tys. zł bez względu na obecność na antenie. Jej wywiad z prezesem Kaczyńskim był dowodem, że nawet będąc obecnym, można być nieobecnym.



eprasa.pl fe4ae05645

FELIETON

Koziołek



# Sojusznicy czy egoiści?

Pan mi powie, czy Ameryka jest nadal naszym sojusznikiem – bardziej zażądała, niż zapytała sąsiadka. Wiedziałem, że nie ma sensu zaczynać od tych wszystkich defensywnych wstępów w rodzaju: „to zależy"; „ale zastanówmy się, co to dziś znaczy"; „rzecz jest bardziej skomplikowana". Odpowiedziałem więc: „Jest".

– Niczego tak dobrze nie zapamiętałam z historii, jak że nas Francuzi i Anglicy wystawili w trzydziestym dziewiątym. I to podwójnie – Hitlerowi i Stalinowi. A jak by było dziś? – naciskała.

– Nie wiem, wszystko jest inne. Jesteśmy w NATO i w Unii, mamy lepsze umowy i wspólnych wrogów – szukałem gorączkowo argumentów dla samego siebie.

– Żeby iść umierać za kogoś obcego, trzeba czegoś więcej niż najlepszy traktat. A słowo „sojusz" za bardzo przypomina mi „sojuz" – skwitowała.

Ignacy Rzecki razem z najbliższym przyjacielem Augustem Katzem wyruszyli w 1848 r. bić się o wolność Węgrów w ramach ogólnoeuropejskiego powstania, znanego jako Wiosna Ludów. Początkowo powstańcy odnosili sukcesy, bo armia austriacka była zajęta we Włoszech. Dopiero kiedy Franciszek Józef wezwał na pomoc sojusznika – cesarza Mikołaja I – powstanie upadło. Wojskami rosyjskimi dowodził feldmarszałek Iwan Paskiewicz. Ten sam, który wcześniej stłumił powstanie listopadowe, wsławił się terrorem na Litwie, rozpoczął gruntowną politykę rusyfikacyjną, a jego rządy w Królestwie Polskim nieprzypadkowo nazywa się „nocą paskiewiczowską". Bezwzględność tej polityki wywołała powstanie styczniowe, w którym wziął udział Stanisław Wokulski.

> Wokulski, polityczny darwinista, do żadnej partii by się nie zapisał, ale z Konfederacją sympatyzowałby na pewno.

Nie przestaje olśniewać wizjonerstwo „Lalki". Bolesław Prus, Polak bez państwa, opisuje niezmienny polski dylemat historiozoficzny: co bardziej sprzyja polskiej niepodległości i suwerenności? Uporczywy bunt i stawianie się wrogom czy budowanie sojuszy z innymi narodami i ponoszenie dla nich ofiar? Literatura potrafi sprawić, że abstrakcyjne kwestie, które zajmują głównie politologów i historyków, stają się osobiście ważne dla czytelników. Jeśli wcielają je postacie, w których się zakochujemy.

Rzecki i Wokulski to ludzie określeni odpowiednio przez rok 1848 i 1863. Obaj doświadczają klęski i rozczarowania. Powstanie to dla Wokulskiego zamknięta karta młodzieńczego błędu i siedmiu lat zesłania. Stanie się politycznym i gospodarczym darwinistą. Do żadnej partii by się nie zapisał, ale z Konfederacją sympatyzowałby na pewno. Rzecki traci na wojnie przyjaciela, trafia do więzienia, ale ideałów się nie wyrzeknie. „Zwrócono mi nawet patent oficerski, jedyną pamiątkę, jaką wyniosłem z Węgier, nie licząc dwu ran: w piersi i w nogę". Do końca życia pozostanie rewolucyjnym republikaninem wyznającym i praktykującym wiarę w braterstwo ludów oraz wolności obywatelskie. Nie przestaje manipulować Wokulskim, aby uczynić z niego agenta politycznego w służbie swojego marzenia.

Prus nie rozstrzyga, co dla Polaków jest lepsze: międzynarodowe sojusze czy narodowy egoizm. Ani jedno, ani drugie nie chroni dostatecznie przed czyhającą na państwa i narody katastrofą. Na starość porzucił pozytywistyczne nadzieje, że edukacja, nauka, rozwój technologiczny, dobrobyt, sprawiedliwe prawa doskonalą jednostki i narody. Żeby to działało, potrzeba oświeconej tyranii. Uważał – podobnie jak pan Ignacy – że tylko Napoleonowi to się udało. „On bowiem postanowił na gruzach królestwa zburzonego przez rewolucję wybudować nowe państwo, w którym panowałby spokój, dobrobyt, oświata, harmonia, sprawiedliwość i rozwój" – pisał w 1911 r.

Oto typowy kryzys myśli liberalnej, która odkrywa, że wolne wybory, prawa obywatelskie i wolny rynek nie są dostatecznymi gwarantami ładu politycznego i zrównoważonego rozwoju. My to wiemy co najmniej od czasu dewastacji wymiaru sprawiedliwości. Ale fakt, że wiedział o tym Prus, sprawia, że trwam w zadziwionym zachwycie po każdej lekturze „Lalki". Dlatego najważniejszą postacią jest autorski awatar Ignacy Rzecki. Nie traćmy go z oczu, kiedy niespokojnie zaglądamy naszym sojusznikom w oczy, pytając, czy nadal dzielimy wspólne wartości, czy może już tylko interesy. Kiedy pan Ignacy rusza na wojnę, odprowadza go przyjaciel. I zamiast pożegnać się na Placu Grzybowskim, wsiadają razem na wóz i ruszają bez słowa, „bo Katz nigdy nic nie mówił". Najważniejsze pozostaje niewypowiedziane.

To nie Paskiewicz zrobił z Rzeckiego i Katza sojuszników Węgrów. To nie na złość Putinowi Polacy gremialnie pomagali uchodźcom z Ukrainy następnego dnia po wybuchu wojny. Nikt nie kazał, nie straszył, nie mówił, że trzeba. Objawił się tajemny sojusz aktywnego współczucia. Bez traktatów. Być może dlatego, że lud, do którego należymy, w swoich najważniejszych opowieściach i pieśniach głosi pochwałę buntu i solidarność z cierpiącymi. Pozostaje wierzyć, że podobne pieśni śpiewają nasi sojusznicy.

RYSZARD KOZIOŁEK



eprasa.pl fe4ae05645



# Karusia już wylała olej

„Bardzo dziękuję Panu Dyrektorowi i Państwu za łaskawe zaproszenie. Bardzo to sobie cenię, że w natłoku obowiązków zechcieliście Państwo znaleźć czas na to spotkanie, podczas którego chciałbym przekazać kilka informacji na temat wyzwań, przed którymi stoi nasza instytucja, której jesteście Państwo niewątpliwie – za co pragnę tutaj z całego serca podziękować – filarami, bez których nie byłby możliwy nasz wspólny sukces.

Jak Państwo wiecie, czasy są niełatwe i nie wszystko układa się tak, jak byśmy tego chcieli. Zachodzą pewne procesy biurokratyczne, ekonomiczne, o których zapewne myślę to, co Państwo, ale nie możemy ich nie zauważać. Świat się zmienia i między innymi rośnie presja na szybkość, na efektywność pewnych działań. Rozwój wymaga dostosowania, fleksybilności i szybkiego, odpowiedniego reagowania.

Dzisiejsze spotkanie jest niezwykłą okazją, aby podziękować tym spośród Państwa, którzy wnieśli swój wielki wkład w ten nasz rozwój i, że tak powiem, doprowadzili swoje dzieło do końca. Tutaj, jak Pan Dyrektor był już łaskaw mi przekazać, jest kilkanaście osób, które będą się realizować zawodowo w innym miejscu i którym z całego serca chciałbym dziś, w imieniu własnym, a nie wątpię, że i całej naszej wspólnoty, podziękować za lata pracy. Przygotowaliśmy dla Państwa specjalne dyplomy i upominki. Mam nadzieję, że pozostaniecie członkami naszej wspólnoty, służąc nam dalej swoją radą i bezcennym doświadczeniem.

Są też osoby, które wymagania współczesności stawiają przed nowymi wyzwaniami, niekoniecznie takimi, jakich się spodziewali. W niektórych przypadkach musieliśmy transferować pewne stanowiska do innych działów albo dedykować je innym zadaniom. Niemniej ważnym, istotnym, lecz odpowiadającym na aktualne zapotrzebowanie naszej instytucji.

Pan Dyrektor był łaskaw poinformować mnie o Państwa głębokim zrozumieniu dla zaistniałej sytuacji strategicznej i gotowości wyjścia naprzeciw koniecznym zmianom. Te zmiany będą zresztą postępować, ale nie gwałtownie, lecz z uwzględnieniem czynnika ludzkiego, aby nikt nie czuł się zaskoczony.

To jest bardzo ważne – to Państwa poważne, dojrzałe podejście. A muszę Państwu powiedzieć, jako jeden z Was, członek naszego zespołu pracowniczego od wielu lat, że pełnienie funkcji zarządczych w tych niepewnych czasach nie jest do pozazdroszczenia i wolałbym czasem, że tak powiem, posiedzieć na kanapie przed telewizorem. Zwłaszcza gdy trzeba być posłańcem nie do końca takich wiadomości, na które czekamy.

Państwa dział odgrywa szczególnie ważną rolę w strukturze naszej instytucji. Gros jego zadań polega na planowaniu, wytwarzaniu analiz i raportów, które są niezbędne dla funkcjonowania pionów wykonawczych. To, co wasz dział submituje w naszym systemie, jest kontrybucją o krytycznym znaczeniu dla funkcjonowania całości instytucji. I właśnie dlatego wkładamy szczególnie wiele wysiłku we wsparcie technologiczne Państwa pracy, aby jej wyniki mogły być jeszcze bardziej optymalne. Dotyczy to również zastosowania technik sztucznej inteligencji, która nigdy nie zastąpi ludzkiej, to nie o to chodzi. Proszę więc mnie źle nie zrozumieć. Nie możemy jednakże odstawać w tyle za innymi. To nie są zdrowe tendencje i nie zazdroszczę naszym dzieciom, wnukom, bo sam wolę, że tak powiem, wszystko naturalnie, po bożemu, z duszą, ale wyzwania są, jakie są. Konieczność chwili, a może tylko mądrość etapu. Kto wie, co nas jeszcze czeka. Bo jak to mówią, Karusia już wylała olej.

Jesteśmy na razie na etapie negocjowania zakupu niezbędnego oprogramowania. To jeszcze potrwa, podobnie jak cała procedura implementacji, konfiguracji, po czym przyjdą szkolenia i dopiero wtedy można mówić o przebudowie struktury zatrudniania. Docelowo widzimy połączenie kilku dotychczasowych działów w jeden dział IT i planowania strategicznego, bezpośrednio podlegającego mojej osobie. Widzę zaskoczenie w oczach Pana Dyrektora. Proszę się nie martwić, Panie Dyrektorze. Są ludzie niezbędni i niezbędniejsi. Wszyscy polegamy pewnej normatywizacji, weryfikacji. To są procesy oparte na analizach, wyliczeniach, na które nie zawsze będziemy mieli wpływ. *Dura lex, sed lex*. *Nihil novi sub sol*e, jak wszyscy wiemy. Nie muszę chyba w tym gronie tłumaczyć, co to znaczy.

Wobec tego musimy zmienić sposób naszego myślenia i zainwestować więcej w samorozwój. Oczywiście nie możemy tego wymagać od kogoś, kto za pięć lat wybiera się na zasłużoną emeryturę. Ale w środkowym okresie życia zawodowego zdobywanie nowych kwalifikacji jest możliwe i konieczne. I dotyczy to każdego. Ja również muszę się nieustająco uczyć. Niedawno byłem w Singapurze na szkoleniu z implementacji sztucznej inteligencji, a wkrótce wybieram się do Palm Beach na kurs komunikacji interpersonalnej. Nazywamy to *lifelong learning*. I powiem Państwu, że czasami wolę ten nasz zimny Bałtyk. Zimny, ale własny. Oj, zagadałem się. Państwo wybaczą, że muszę już Państwa opuścić. Kłaniam się i dziękuję ogromnie za zaproszenie”.

JAN HARTMAN



eprasa.pl fe4ae05645

FELIETON

Sulej



# Oflagowani

Flagę brytyjską uwielbiałam jako nastolatka. Union Jack wydawał mi się cool, bo przecież Blur, Oasis, Spice Girls obnosili się ze swoimi narodowymi barwami. Z Wielkiej Brytanii była moda, najnowsze trendy. Zadie Smith, Alexander McQueen, Tracey Emin. Ta flaga kojarzyła mi się ze wszystkim, za czym tęskniłam, dorastając w latach 90. w Warszawie. Chciałam mieć ją na kubku, na bucie i na zeszycie. Potem przyszedł moment flagi amerykańskiej. Historia ruchów mniejszościowych, historia kina, awangarda nowojorska, Sylvia Plath, Henry Miller, Joan Didion. Pamiętam, że nawet kupiłam taką małą flagę i powiesiłam sobie w studenckiej kawalerce.

Nie chciałam zostać Brytyjką ani Amerykanką. Flagi te jednak zostały nasycone popkulturowymi opowieściami swoich krajów i stały się symbolem uniwersalnego kulturowego mitu. Ja dałam się nabrać na obietnicę wolności, równości i bycia cool. Okazało się jednak, że był to jedynie stary dobry imperializm. Bo nadmiar flagi w życiu państwowym i kulturowym jest z tendencjami imperialistycznymi albo autorytarnymi związany wyjątkowo często. Wieszały je Trzecia Rzesza, Związek Radziecki, Chińska Republika Ludowa. Bez flagi nie mogła się obyć żadna, prywatna nawet uroczystość. Prywatne? Znaczy ukrywane, czyli niebezpieczne.

Patrząc na polską flagę, pamiętam, że ma w sobie gest wyciągniętej ręki, a nie tylko władcze „tu byłem". I taka flaga jest moja.

Są flagi niewidoczne w sferze publicznej, które pojawiają się jedynie przy okazji widowisk sportowych. Są szczęśliwe kraje, które nie trafiają do wiadomości, bo nie powiewają flagami na protestach, nie palą ich, nie zrywają ani nie zatykają na zdobytych gmachach, nie umierają z ich kolorami na mundurze, nie przykrywają nimi trumien. Nie wciskają flagi na siłę ani sobie, ani innym.

Polacy chcieliby być żyć w takim właśnie zrównoważonym, rozsądnym kraju – ale nie mamy na to szans. Zbyt wiele przytrafiło nam się (zupełnie nierealnych) marzeń o imperializmie i (boleśnie realnych) ran od imperializmów, żebyśmy teraz mieli neutralną relację z obecnością Polski w świecie i jej rozpoznawalnością. Przez 123 lata Polski nie było na mapie, przetrwanie zależało od przywiązania do znaków i symboli. Trzeba było wywalczyć niepodległość. Potem jak już Polska była, to trzeba było jej bronić, a potem znów ją odzyskiwać i układać. Flaga musiała być w to wszystko uwikłana – od znaczków Solidarności po wielkie płachty materiału powiewające przed Pałacem Prezydenckim.

Nigdy nie zapomnę miny przedszkolanki (a chodziłam do przedszkola dla dzieci wojskowych), kiedy odpowiedziałam jej, z czym kojarzy mi się flaga mojego kraju. – Z ludźmi we krwi – powiedziałam z uśmiechem, bo przerabiałam wtedy z babcią piosenki legionowe i uważałam, że nie ma nic bardziej romantycznego od „O mój rozmarynie". Ale czy rzeczywiście myliłam się tak bardzo? Te maki pod Monte Cassino? Powstanie warszawskie? Ten imperatyw, żeby iść, umrzeć, ale wygrać moralnie?

Im bardziej dorastałam, tym bardziej czułam, że polska flaga jest zawłaszczana przez społeczności, z którymi nie czułam powiązania: kiboli, osoby z radykalnych obozów narodowych, które patriotyzm pomylił się z ksenofobią i całą listą innych uprzedzeń, rzesze ich naśladowców. Stała się dekoracją kiczowatych turystycznych atrakcji i pamiątek, wystroju knajp. Zniknęła dla mnie ta flaga, jakby sama mnie nie zechciała pomieścić: lewaczki, bez dzieci, co prawda z mężem, ale Żydem, i z trzema kotami.

W 2022 r. wybuchła wojna w Ukrainie i cały mój świat stał się żółto-niebieski, niemalże jak z tej znanej piosenki, ale powody były niewesołe. Centrum pomocy, gdzie działałam, pełne było flag, były przypinki, bransoletki, naszywki, naklejki na komputery, serduszka w internecie, gify – wszędzie, gdzie się dało, trzeba było przecież dać znać, że Ukraina jest, żyje, przetrwa. Weszłam w to całą sobą, flaga ukraińska zaczęła nieść dla mnie wartości, o które walczę do dziś. Rezyliencję, dzielność, nieustępliwość, poczucie humoru, wspólnotę. Nie przypuszczałam jednak, że dostanę w pakiecie jeszcze jedno.

Pierwszy raz po wybuchu pełnoskalowej wojny pojechałam do Kijowa dwa lata temu. Spędziłam w Ukrainie kilka dni na spotkaniach autorskich, dużo rozmawiałam. A ci moi nowi znajomi o tej Polsce, że dziękują, że to jest niesamowite, jak my teraz razem działamy, co to będzie dopiero po wojnie, no co tu dużo mówić – bardzo wzruszająca sprawa. Wróciłam do Warszawy, wysiadłam na Centralnym i rozpłakałam się na widok jakiegoś plakatu, brzydkiego jak nie wiem, gdzie splatały się flagi polska i ukraińska. Chyba jakieś jedzenie reklamował, nieważne. Co tu dużo mówić – poczułam to, co ta brzydka, kiczowata infografika chce mi przekazać. Że naprawdę jesteśmy razem. Teraz, za każdym razem, kiedy patrzę na polską flagę, pamiętam, że ma potencjał, by się splatać, łączyć, spowijać. Ma w sobie gest wyciągniętej ręki, a nie tylko władcze „tu byłem". I taka flaga jest moja.

KAROLINA SULEJ



eprasa.pl fe4ae05645



# Biedroń, przeproś Polskę

Żyję już tak długo, że algorytmy wyświetlają mi reklamy koncentratu do czyszczenia protez, więc naprawdę mało co potrafi mnie zadziwić. A jednak szczęka wypadła mi na podłogę, kiedy przysłuchiwałam się porannej audycji w rozgłośni informacyjnej, gdzie pierwszoligowa dziennikarka polityczna rozmawiała z europosłem Robertem Biedroniem. Tematem było wewnętrzne rozdarcie rządu spowodowane obowiązkiem transkrypcji jednopłciowych małżeństw zawartych za granicą, potwierdzonym w marcu przez Naczelny Sąd Administracyjny po konsultacji z TSUE.

Już wcześniej dało się zauważyć, że obowiązek ten wpędził nasz rząd w stan trwożnego rozedrgania. Cała Polska przygląda się od pół roku, jak premierem i jego ministrami targają trudne emocje, bardzo podobne do tych, przez które przechodzi się w procesie żałoby. Najpierw można było zaobserwować szok, zaprzeczanie i złość. „Nikt nam niczego nie będzie dyktował" – deklarował Donald Tusk na tym wczesnym etapie. Następnie przyszła kolej na próby negocjowania tego, co nienegocjowalne – to wtedy rząd powołał specjalną komisję do zawężenia skutków wyroku TSUE do jednej pary. Było to zadanie od początku niewykonalne, co potwierdza m.in. prof. Jan Barcz, wybitny specjalista od prawa Unii Europejskiej, jednak ludzie w żałobie nie widzą jasno.

Ubolewam, że taki breaking news przeszedł bez echa: rząd czuje żal, że to nie on uszczęśliwił elgiebety.

Potem Rada Ministrów przeszła do stadium cichej rezygnacji – mniej więcej w tym czasie, kiedy przed KPRM odbyła się demonstracja Fundacji Basta wzywająca do wdrożenia wyroków TSUE i NSA, której przybity smutkiem rząd nie miał nawet siły skomentować. O ile nic nie zakłóci procesu, ostatnim etapem powinno być pogodzenie się z wymogami praworządności. Bo jak pisał Czesław Miłosz: „Jest taka cierpienia granica, za którą się uśmiech pogodny zaczyna". Trzymam kciuki za szczęśliwy finał.

A po czym ta żałoba? Malkontenci z loży szyderców odpowiedzą, że po własnych uprzedzeniach i źle pojętym konserwatyzmie. Na szczęście pierwszoligowa dziennikarka w rozmowie z Biedroniem rzuciła właściwe światło na psychologię rządu. U rządzących dostrzegła „lęk", który natychmiast poprawiła na „żal" – „żal, że to nie rząd, nie polski parlament i nie polski prezydent" uchwalili równe prawa dla osób LGBT. Żal, że uczyniły to obce siły. Dobrze, że podzieliła się tym spostrzeżeniem. Nie każdy ma oczy do patrzenia. Nie każdy ma serce i patrzy rządzącym w serce tak głęboko jak ona.

Ubolewam, że taki *breaking news* przeszedł bez echa: rząd czuje żal, że to nie on uszczęśliwił elgiebety. A więc zawsze tego pragnął i tylko wrodzona skromność nie pozwoliła mu się z tym afiszować. W tajemnicy, bez rozgłosu, czynił swoje i wystarczyłoby poczekać jeszcze 100–200 lat, a może pojawiłyby się pierwsze zalążki owoców. Ale niestety – ludzie w Polsce są tacy niecierpliwi i roszczeniowi. Chcieliby sami dożyć zmian. Nie umieją czekać i cieszyć się szczęściem późnych wnuków. Uzależnieni od wyrzutów dopaminy pragną natychmiastowej nagrody: ledwo pożyją razem 10, 20, 30 lat, a już prą do małżeństwa. Aż chce się powtórzyć za Jarząbkiem Wacławem: „To nie ludzie – to wilki!".

Dziennikarka na diagnozie nie poprzestała: zapytała Biedronia, czy on i Krzysztof Śmiszek też pojadą za granicę, tam się pobiorą, a potem zarejestrują swoje małżeństwo w Polsce. W jej głosie dźwięczał wyrzut, jakby podobny czyn był aktem zdrady narodowej. Brzmiała jak zraniona łania. Najwyraźniej jej zdaniem Biedroń i Śmiszek powinni wzgardzić obcym prawem i trwać przy polskim rządzie, a ściślej – przy jego byłej ustawie o związkach partnerskich, z której odkrojono już tyle, że pozostały tylko wstyd i śmiech. „Wolę polskie gówno w polu niźli fiołki w Neapolu!" – pisał Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Biedroń, przeproś Polskę!

Zabawne, jak pewne schematy powtarzają się u nas na przestrzeni wieków. Już to przecież przerabialiśmy: polscy chłopi również nie poczekali, aż polskie ziemiaństwo i szlachta naturalnie dojrzeją do zniesienia pańszczyzny. Nie wytrzymali, a przecież jaśnie panowie przez całe zabory niczego nie pragnęli bardziej niż uwolnienia własnych chłopów. Rok za rokiem, krok po kroczku zmierzali w tym kierunku, przyuczając robotników pańszczyźnianych do ciężkiej pracy, żeby później na wolności poradzili sobie z życiem bez nadzoru właścicielskiego. Troska o los chłopa po ewentualnym wyzwoleniu spędzała im sen z powiek i zatruwała smak dzięgielówki po obiedzie. Wystarczyło poczekać jeszcze 100, 200 lat. No, góra 300.

Jednak chłopi byli tacy niecierpliwi i niewdzięczni, że wzięli wolność z obcej ręki już przy pierwszej okazji. Oblali test pianki marshmallow – wysiłki wychowawców poszły na marne jak krew w piach. A potem wzięli jeszcze ziemię z rąk komunistów, zamiast czekać, aż ziemianie może kiedyś sami rozwiążą ten problem po polsku.

(Szczęka w pierwszym akapicie to chwyt retoryczny).

RENATA LIS



eprasa.pl fe4ae05645

# Zdarzyło się

## Zaglądamy do archiwum POLITYKI

**40 lat temu, a dokładnie w numerze 19. z 1986 r., Witold Pawłowski w reportażu „Łomża w obłoku” opisywał skutki katastrofy w Czarnobylu z perspektywy mieszkańców ówczesnego województwa łomżyńskiego.**




„Mlekiem płynące Łomżyńskie dowiedziało się, że żyjemy w wieku atomowym we wtorek, 29 kwietnia, koło południa. Wtedy właśnie z Ministerstwa Rolnictwa nadszedł teleks zakazujący wypasu bydła. Wiadomość przekazano do gmin, a gminy rozpuściły wici wśród sołtysów. Do sołtysa z Kalinowa dotarły one gdzieś tak po południu. Sołtys, tradycyjnym zwyczajem, wziął kartkę i ruszył po wsi. (...)
Zaraz po teleksie z Warszawy Henryk Milewski, szef wojewódzkiego Wydziału Ochrony Środowiska, wyszedł ze sprzętem na trawnik przed urzędem, zobaczyć, czy jest aż tak źle.
Aparatura zapiszczała na alarm, bo była nastawiona na codzienny, zwykły zakres, a pod personelem dyrektora z Ośrodka Badań i Ochrony Środowiska nogi się ugięły. Ośrodek zresztą udało się zmobilizować najszybciej, bo takimi badaniami zajmuje się stale. Na terenie województwa są dwa punkty kontrolne, badające radioaktywność wód, gruntów i mierzące opad całkowity w ramach tzw. ogólnokrajowego monitoringu. Co prawda gdyby polegać tylko na tych rutynowych pracach, o chmurze Łomża dowiedziałaby się dopiero w piątek, 2 maja, na ten dzień przypadał bowiem comiesięczny termin pomiarów.
(...)
Wojewódzka Stacja Kwarantanny i Ochrony Roślin również posiada taką precyzyjną aparaturę, tyle że od czterech lat nie była używana, a ostatnio, kiedy jakiś importer żywności zażyczył sobie takich badań. Teraz jakoś nie szło jej uruchomić. (...) Również wojewódzki Sanepid – trzecia z instytucji postawionych na nogi przez obronę terytorialną – nie miała odpowiedniego sprzętu. Na co dzień ma raczej do czynienia z salmonellą niż z obłokiem.
We wtorek wieczorem telewizja nadała pierwszy większy komunikat, który nie tyle podziałał na wyobraźnię, co późniejszy dodatek, że Warszawa zarządza profilaktycznie płyn Lugola dla dzieci. Reakcja była taka, że skoro stolica podaje jod, musi to być coś poważnego, a obawa następująca: czy Warszawa nie wypije całego zapasu i czy dla terenu nie zabraknie?
Od 22.00 zorganizowano punkty w szpitalach, a wieść podawano telefonicznie wśród oficjeli (...) a drogą szeptaną od domu do domu, od mieszkania do mieszkania wśród zwykłej ludności. Do Waldemara Marchelewskiego, ogrodnika spod Piątnicy, ktoś zapukał po północy, czy już wie, zapakował okoliczne dzieci do samochodu i ruszył do Łomży. Kalinowo zawiadomił w nocy milicjant-pociotek i Kalinowo również ruszyło do miasta. Pierwsza fala lugolowa trwała aż do rana i Łomża przypominała Marszałkowską w godzinach szczytu. Rano znikła z aptek jodyna, a ze sklepów masło i mleko w proszku, odbywała się uczta z ostatnich serków i resztek mleka. Trzeba powiedzieć, że miasto zareagowało wzmożonymi obawami, natomiast wieś wzmożonym spokojem. W mieście sporządzano mieszanki z jodyny; co dobrze poinformowany – to inne proporcje. Niektórzy szprycowali się po trzy razy, ostrożność nie zawadzi, a paru zdecydowanie przedawkowało i wymagało pomocy.
(...)
Środowy dziennik telewizyjny i dyskusja fachowców właściwie uspokoiły gorączkę jodową. Ludzie komentowali, że te informacje przyszły za późno. (...) Pewnie dlatego opinia szeptana wzięła górę nad oficjalną i od czwartku niewiele już było małych dzieci na ulicach.
2 maja dyrektor Milewski, z wynikami badań w ręku, poinformował mnie, że absolutnie nie mamy do czynienia z klęską ekologiczną... Te wyniki – próbek traw, warzyw i wody są bardzo różne, w zależności od miejsca i otoczenia, nawet na tej samej łące potrafią się znacznie różnić od siebie. Wszystkie są podwyższone, natomiast poniżej stanu uznanego za groźny. (...) Najszybciej wróciła do normy woda w Narwi. Jest nawet lepiej, niż wtedy, gdy punkty kontrolne odnotowały skutki chińskich prób jądrowych, kiedy chmura trzy razy okrążyła kulę ziemską, za każdym razem w Łomżyńskiem odnotowana.
Najwolniej wraca do normy mleko.
Tak jak było do tej pory, zdecydowano skupować każdy litr mleka. (...) Okazało się jednak przy pobieraniu próbek, że każda zawiera więcej aktywnego jodu niż dopuszczalne i mleko wycofano z bezpośredniego spożycia. (...) Całkowita natomiast niepewność na rynku nowalijek. (...) popyt na nowalijki, zwłaszcza na sałatę, spadł do 20 proc. Obniżanie ceny też nic nie daje, bo taka zielenina wydaje się konsumentom szczególnie podejrzana. (...) Sałata i rzodkiewki długo nie poczekają, a co z młodą kapustą i kalafiorami, wsadzonymi przed tygodniem do gruntu? (...) Podobne obawy mają działkowicze i dzwonią, gdzie tylko mogą; na próżno. Czekają na informacje i dobrą radę. Tak jak Ochrona Środowiska na długi, ulewny deszcz”.

© ARCHIWUM POLITYKI



eprasa.pl fe4ae05645



# Głupie wybory

Poseł Sasin narzekał w RMF, że przyczyną wizerunkowych problemów PiS są niezbyt mądre decyzje wyborców tej partii. „Mamy posłów, jakich mamy. Takich nam wyborcy wybierają" – ocenił samokrytycznie. Potem są rozczarowani, że ludzie tacy jak Sasin, Mejza, Matecki, Błaszczak czy Czarnek reprezentują ich w Sejmie.

Wierzę, że gdyby Sasin słyszał i rozumiał, co mówi w mediach, sam by siebie na posła nie wybrał. Ale co poradzi, że z niezrozumiałego powodu wyborcy PiS od wielu kadencji go wybierają. Można to tłumaczyć niedyspozycją umysłową, choć doceniam to, że Sasin ich wybór szanuje i od brania odpowiedzialności za Polskę się nie uchyla.

Posłowie wybrani do Sejmu przez niezbyt rozgarniętych wyborców to duży problem. „Myślę, że takich żenujących posłów jest w Sejmie na pęczki" – ubolewa Sasin, wskazując na posła Mejzę, który opuścił właśnie klub PiS. Zgadzam się, że z tym problemem trzeba coś zrobić; nie może być tak, żeby o tym, kto będzie posłem PiS, decydowali wyborcy, których niski poziom umysłowy budzi zastrzeżenia tych posłów. Nikt nie chce być wybierany przez ludzi dokonujących głupich wyborów.

Zdaję sobie sprawę, że Mejza, któremu zarzuca się, że jest piratem drogowym, prymitywem i oszustem zarabiającym na ludzkim nieszczęściu, nie był najlepszym wyborem. Mimo to jego decyzję o wystąpieniu z klubu PiS oceniam wysoko. „Nie pozwolę na to, aby przez moje obecne i przyszłe decyzje polityczne oraz te dotyczące działalności charytatywnej (które mogą być kontrowersyjne, ale służą wyższym celom), klub był obiektem ataku ze strony prorządowych mediów" – napisał kierowany silnym moralnym odruchem.

To słuszna decyzja – nie ma sensu realizować wyższych celów, współpracując z partią, która przez osiem lat rządów realizowała cele tak niskie, jak program willa plus, przekręty na maseczkach, wyprowadzanie kasy ze spółek państwowych czy Funduszu Sprawiedliwości – i nie robiła tego charytatywnie. Najwyższym celem, jaki próbował urzeczywistnić prezes PiS, były słynne dwie wieże, ale wiadomo, jak się to skończyło.

Owyższe cele Mejza zamierza teraz bić się we freak fightach. Słusznie, Karol Nawrocki pokazał, że rękami, a nawet jednym palcem, da się klientowi wytłumaczyć więcej niż słowami, których często brakuje, a posługiwanie się nimi bywa męczące. Mejza informuje, że będzie pierwszym czynnym posłem w Europie, który weźmie udział w takim wydarzeniu. Ale wiele osób ma nadzieję, że po kilku ciosach przez jakiś czas będzie posłem nieczynnym i w ten sposób przyczyni się do podwyższenia poziomu polskiego parlamentaryzmu.

## GALERIA POLITYKI




ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

**RECEPCJA GŁÓWNA**
*tel. 22 451-61-33, 451-61-34*
e-mail: polityka@polityka.pl

**PREZES I REDAKTOR NACZELNY**
Jerzy Baczyński
*tel. 22 451-60-00*

**CZŁONKOWIE ZARZĄDU**
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

**Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA**
Witold Pawłowski

**SEKRETARZ REDAKCJI**
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

**BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH**
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
*tel. 22 451-61-45*, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

**PION WYDAWNICZY**
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
**PION CYFROWY**
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
**ADMINISTRACJA**
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

**SERWIS INTERNETOWY polityka.pl**
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

**NEWSLETTERY POLITYKI**
polityka.pl/newslettery

**MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE**
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

**PRENUMERATA PAPIEROWA**
sklep.polityka.pl
*tel. 22 336-75-80*
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

**SUBSKRYPCJA CYFROWA**
polityka.pl/cyfrowa
*tel. 22 336-79-16*
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

**PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl**
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
*tel. 22 451-61-50*
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Print leipa passion process technology



eprasa.pl fe4ae05645



# Siwe znaczy czyje?

TREND

**Siwizna przestaje być wyłącznie problemem do ukrycia, a zaczyna być jednym ze sposobów bycia w świecie. Na jakich zasadach?**

„Srebrna fala. Dlaczego przestałam się farbować i zaczęłam zadawać pytania”, tak podkasterka Katarzyna Barczyk-Matkowska zatytułowała książkę, w której dobrze oddaje współczesne emocje wokół siwienia, oscylujące między akceptacją a oporem, naturalnością a potrzebą kontroli. Autorka pokazuje „srebrną falę” jako znak zmiany pokoleniowej, efekt starzejących się społeczeństw i rosnącej widoczności ruchów takich jak *body positivity*. Bo siwizna nie jest doświadczeniem czysto biologicznym, a jej znaczenie zmieniało się wraz z wiekiem, epoką i kontekstem społecznym.

W starożytnym Rzymie siwe włosy mogły być oznaką doświadczenia i autorytetu – *senex* to nie tylko starzec, ale też ktoś godny szacunku (od tego słowa pochodzi senat). Z tym że nie dotyczyło to kobiet, dla których siwizna oznaczała raczej utratę atrakcyjności. Antidotum upatrywano w wywarach z łupin orzecha, w hennie lub toksycznych „maskach” na bazie ołowiu, siarki albo popiołów roślinnych. Dojrzałe kobiety i mężczyźni nosili także bardziej rozbudowane nakrycia głowy. A kłopot z siwymi pasmami wynikał nie tylko z koloru, lecz również ze zmiany struktury włosa, który wraz z wiekiem stawał się sztywniejszy, bardziej suchy i trudniejszy do układania.



**Agnieszka Krzemińska**
archeolog i dziennikarka działu naukowego POLITYKI, autorka trzech książek popularnonaukowych, w tym o higienie i dbaniu o urodę w przeszłości „Dawniej ludzie żyli w brudzie”. Perfumoholiczka.

W XVIII w. siwizna, choć sztucznie wytwarzana, stała się pożądana, i to u obu płci. Chodzi o pudrowane na biało peruki noszone przez europejskie elity. Skalę zjawiska uświadamia fakt, że w Anglii wprowadzono nawet podatek od pudru do włosów, a posiadanie wielu peruk uważano za zbytek. Z bielą pasm w parze szły imponujące fryzury: bujne loki u mężczyzn oraz statki i klatki z martwymi ptakami wśród splotów i koków u kobiet.

Prawdziwy przełom nastąpił na początku XX w., gdy francuski chemik Eugène Schueller opracował pierwszą nowoczesną farbę syntetyczną, dając początek przemysłowi, który do dziś obiecuje kontrolę nad tym, co wcześniej wydawało się nieuniknione.

Ale moda na siwiznę wraca cyklicznie i w różnych kontekstach społecznych czy ideologicznych. Na przykład kilka lat temu młode dziewczyny farbowały włosy na srebrno lub popielato, inspirowane popkulturą i wizerunkiem Billie Eilish – anglojęzyczne media z lekką złośliwością ochrzciły ten trend mianem *granny hair*. Dziś niemal zanikł. Za to siwe loki dumnie noszą dojrzałe aktorki, jak **Andie MacDowell** czy Salma Hayek, a w nowej, właśnie wchodzącej na ekrany kin, odsłonie filmu „Diabeł ubiera się u Prady” siwą fryzurę niezmiennie lansuje Meryl Streep, wracająca do roli ikony stylu, Mirandy Priestly.

Tymczasem w latach 60. i 70. XX w. rezygnacja z farbowania włosów bywała gestem feministycznym, deklaracją zerwania z kulturowym przymusem młodości i dyktatem „męskiego spojrzenia”. Autorka „Srebrnej fali” pokazuje jednak, że sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana: między wyborem a presją przebiega granica, której często nawet nie widać.

Z jednej strony znów przyzwalamy na siwiznę, z drugiej – odrzucamy wszystko, co ją teatralizowało. To miejsce zajmuje idea naturalności, z tym że i ona okazuje się projektem wymagającym niemniej wysiłku niż wielkie fryzury ancien régime’u. Przecież współczesna siwizna musi być zadbana, lśniąca, „szlachetna”, najlepiej równomierna, bez przejść, różnicy w odcieniach, odpowiednio przycięta i pielęgnowana. Nierzadko wspomagana kosmetykami, które neutralizują żółte tony – albo wręcz delikatną koloryzacją. Różnica polega więc nie tyle na tym, czy siwiznę ukrywamy, czy pokazujemy, ile na tym, jak ją kontrolujemy.

I nadal nie wszyscy mogą to robić na tych samych zasadach. Mężczyzna „srebrnieje” – nabiera charakteru, wygląda dojrzalej, czasem nawet atrakcyjniej. O kobietach – zwłaszcza gdy siwy włos źle się układa, sztywno sterczy albo ma niepożądany odcień – mówi się brutalnie, że „się zapuściły”. Ten schemat pozostaje jednym z najtrwalszych elementów naszej kultury. Być może więc nie chodzi o to, czy siwieć, czy farbować. Tylko o to, kto ma prawo o tym decydować i czy ta decyzja naprawdę nas wyzwala. Ja na razie wciąż wybieram farbowanie, choć nie wiem, ile w tym wyborze jest mojej decyzji, ile przyzwyczajenia, a ile kulturowego schematu. ■

© LYVANS BOOLAKY, LESZEK ZYCH



eprasa.pl fe4ae05645




# Wieża błaznów

TECHNO

W satyrycznej powieści Douglasa Adamsa „Autostopem przez galaktykę" autor wymyślił rybkę, którą można sobie włożyć do ucha i dzięki jej telepatycznym zdolnościom rozumieć wszystkie języki, poplątane w biblijnym micie o Wieży Babel. Stąd jej nazwa: **ryba Babel**. Nawiązywał do niej „Babelfish", automatyczny tłumacz wbudowany w wyszukiwarkę AltaVista. Niemal trzy dekady temu komputerowe tłumaczenia pozostawiały wiele do życzenia i przypominały raczej głuchy telefon.

Od tego czasu, zwłaszcza dzięki modelom językowym AI, znacznie się rozwinęły. Proces „odbabelowania" świata jednak nie ruszył, bo chociaż większość mediów społecznościowych ma opcję tłumaczenia, to algorytm zbierał ludzi w językowe i narodowe bańki. Aż do teraz – serwis X włączył domyślne automatyczne tłumaczenie postów (za pomocą Groka) i zburzył granice. Algorytm podsuwa wpisy z całego świata w ojczystym języku użytkownika, co ma różne ciekawe konsekwencje. Niektórzy cieszą się ze zmiany, odkrywając, że ludzie na świecie wcale tak bardzo nie różnią się od siebie.

Niestety, nie tylko w pozytywny sposób („pokażmy sobie nasze pieski!"). Oto Elon Musk, właściciel X, podaje dalej wpis polskiego prawicowego trolla, co pewnie będzie stanowiło powód do dumy. Nie wszyscy to tak odbierają. Zmartwieni są zwłaszcza Japończycy, dbający o wizerunek „grzecznego kraju". Youtuberkę Kanon Aoki przygnębia, że przez automatyczne tłumaczenia postów na X pogarsza się wizerunek Japończyków w oczach obcokrajowców. Kto śledził japońskich trolli z 2ch (na którym wzorował się niesławny 4chan), nie jest zdziwiony rasizmem i ksenofobią, ale teraz dowiedział się o nich cały świat. Z brzydkiej strony pokazały się też inne nacje, pojawiły się międzynarodowe niesnaski.

Odbudowana przez Muska Wieża Babel przypomina więc Narrenturm, wieżę błaznów. Promowani przez algorytm użytkownicy serwisu X nie należą do przykładnych przedstawicieli swoich kultur, więc ludzkość ujrzała najgorszą wersję siebie. Kto wie, może okaże się to rodzajem katharsis?

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

# Bumelant jak bumerang

SŁOWO

„Tu spoczywa bumelant" – głosiło jedno z najbardziej znanych haseł z plakatów z lat 50. Obok na rysunku widoczny był odpoczywający robotnik i jego wbity w trawę szpadel. Hasło opisywało ludzi wymigujących się od pracy, a dokładniej – od budowy socjalizmu. „Bumelant to dezerter z frontu walki o pokój i silną Polskę" – wytykało inne hasło ówczesnej propagandy. A że tożsamość Polski doby PRL budowano na związku z ZSRR, jako sztandarowy odpowiednik obiboka przyjęto słowo pochodzenia niemieckiego. Bo wzięło się od niemieckiego czasownika *bummeln* (włóczyć się, wałęsać, guzdrać) i rzeczownika *der Bummelant* określającego leniucha lub wagarowicza. Choć być może po prostu cały kraj przejął te słowa z Ziem Odzyskanych, gdzie używano ich w sposób naturalny. A później przypominano przy okazji przemówień i świąt ludzi pracy, gdy trzeba było zrzucić na kogoś niepowodzenia, piętnując np. „szkodników i bumelantów planu sześcioletniego" (określenie za Polską Kroniką Filmową).




Tyle że bumelant wcale nie spoczął i z języka nie zniknął. Przeciwnie – już po 1989 r. wrócił jak bumerang, przechowany w gwarze szkolnej, bo hasłem „bumel" („bumelek") opisywano przez lata wagary, ucieczkę z lekcji. To, co na plakatach z lat 50. było praktyką piętnowaną, dla uczniów okazało się atrakcją. I przetrwało, balansując na krawędzi dobrych i złych postaw. Całkiem pozytywne wydawało się, kiedy Włodi rapował w utworze „1996": „Taki mam styl: miejski bumelant z duszą hipisa/ Chcę palić filisa, wrażanie opisać i cała reszta mi zwisa" („filis" to skręt z marihuaną – bo zielona, skojarzona przez grecką Phyllis). Trochę gorsze było u Taco Hemingwaya w utworze „Mgła II": „Kończy butelkę merlot i się migiem z château zbiera/ Oczy z tyłu głowy, wciąż pieniądz wisi pan bumelant". Bo niby obibok jest zły, ale ma swój urok, jeśli obija się ze stylem. Pewien internauta chwali się na platformie X, że jego opis na randkowym Tinderze to „Pospolity pijak, bumelant i bawidamek. Poszukuję tutaj zobowiązań bez seksu". Zatem nieważne: dobrze czy źle. Ważne, że prosto z mostu, bez propagandy sukcesu.

BARTEK CHACIŃSKI

**MÓWIĄ RYMY**
Ktoś chce mi pokrzyżować game plan,
Nie wiem kto. Jak się dowiem, Boże, weź go chroń
**Oki, Shoota!, 2026 r.**
Game plan – plan gry

© GROK AI, FORUM, JULIA ZABRODZKA, ARCHIWUM PRYWATNE



eprasa.pl fe4ae05645

# Prehistoria jak żywa

**W jaskini w hiszpańskiej Asturii można podziwiać malowidła naskalne z okresu paleolitu. To jedno z pięciu takich miejsc na świecie i wciąż mało znane.**

W 1968 r. grupa młodziutkich speleologów z Oviedo, stolicy Asturii, przyjechała do Ribadeselli, niewielkiego kurortu nad Zatoką Biskajską. Z dwójką mieszkańców badali okoliczne jaskinie. W końcu weszli do zapadliska nazywanego przez miejscowych Pozu'l Ramu. Pierwszy ruszył Ruperto Álvarez; czuł się odpowiedzialny za zespół, bo był najstarszy – miał 22 lata. Gdy zabezpieczył głębokie zejście, dołączyła do niego reszta.

Malunki pierwszy dostrzegł Adolfo Inda Sanjuán, ale to Álvarez pojął, że mają do czynienia ze sztuką prehistoryczną – widział ją w książkach i w muzeum archeologicznym. Te pierwsze wyobrażenia nie dały się jednoznacznie zinterpretować – znajdowali się w komorze nazywanej obecnie Salą Wulw. W jednej z kolejnych innemu ze speleologów, 17-letniemu Tito Bustillo, zgasła lampa karbidowa. Gdy ją zapalił, płomień oświetlił widniejącą tuż nad nim głowę konia. Tę rozpoznali bez trudu. „Zaczęliśmy skakać i krzyczeć z radości" – wspominali. Jaskinią z prehistorycznymi malowidłami zainteresowała się prasa. Jednak radość młodych odkrywców nie trwała długo. Kilka tygodni później Tito Bustillo zginął w wypadku w górach. Postanowiono, że Pozu'l Ramu będzie nosić jego imię.

Władze regionu dostrzegły potencjał turystyczny groty. Dostęp do niej był jednak ograniczony, wydrążono więc tunel i otwarto główną komorę dla zwiedzających. Dziś badacze są zgodni, że zrobiono to zbyt szybko i wiele malunków uległo zniszczeniu. Ale to, co można oglądać, zachwyca. Malowidła porównuje się do tych z francuskiej Lascaux czy kantabryjskiej Altamiry. – *Ale tam ogląda się kopię, w Lascaux powstało ich nawet kilka. A tu podziwiamy oryginały* – podkreśla Federico, przewodnik po Tito Bustillo, gdy idziemy tunelem do jednej z największych i najpiękniej dekorowanych komór.

Do zwiedzenia jaskini (o istnieniu której, jak wiele innych osób, nie miałam pojęcia) zachęciły mnie reprodukcje malowideł na murach w miasteczku. Miałam szczęście, że bilety udało mi się kupić z dnia na dzień – ze względu na ochronę bezcennych dzieł liczba wejściówek jest limitowana. Ale w Ribadeselli poza sezonem nie ma zbyt wielu turystów.

– *Kiedyś chętni wchodzili bez ograniczeń. Nie myślało się o konsekwencjach. Są nawet zdjęcia ludzi palących papierosy!* – oburza się Federico. Obecnie nawet zdjęć nie wolno robić. Sycimy się więc widokami, nie wyjmując aparatów ani telefonów. Wizerunki nakładają się na siebie. Najstarsze konie, bizony i jelenie są czerwone; w kolejnych warstwach dołączają do nich renifery, zmieniają się kolor i technika. Na końcu pojawiają się najbardziej imponujące, wielobarwne wizerunki. – *Zwróćcie uwagę, jak wykorzystano fakturę skały, to ona nadaje malowidłu plastyczność. A sierść na piersi renifera i inne detale świadczą o znajomości anatomii* – przewodnik wskazuje dzieło, które wydaje się niemal trójwymiarowe.



PODRÓŻE



**Julia Zabrodzka** – fotografka i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od blisko 20 lat regularnie wraca do Hiszpanii.

Zdobienia – malowidła i ryty – pojawiają się nie tylko na ścianie nazywanej Panel principal, ale też w innych zakamarkach Tito Bustillo. Dziś wiemy, że najstarsze z nich to przedstawienia kobiecych narządów płciowych – znajdują się w części, do której najpierw zeszli młodzi speleolodzy. Wyjątkowe jest przedstawienie pary postaci ludzkich w jednej z mniejszych komór. Jest ona jednak trudno dostępna i zamknięta dla zwiedzających – jak większość jaskini.

Po co tworzono malunki i ryty? – *Są różne hipotezy, ale tak naprawdę nikt tego nie wie* – przyznaje Federico. – *Trzeba jednak pamiętać, że pierwsze malowidła wykonano ok. 30 tys. lat p.n.e., a ostatnie 12–13 tys. lat temu. Nie możemy zakładać, że motywacje wszystkich artystów były jednakowe.*

Federico dodaje, że do głównej komory dostęp miało wiele osób, a malowidła tworzono wspólnie. Ale są w jaskini ozdobione zakamarki, do których wślizgnąć mógł się tylko jeden artysta. – *To mogą być całkiem różne zjawiska* – podkreśla. A my oniemiali patrzymy na 20 tys. lat historii człowieka – zaklęte w wizerunkach zwierząt i odkryte niespełna 60 lat temu. Niesamowite, jak wiele jeszcze o nich nie wiemy. I jak wiele pozostaje do odkrycia. ■



eprasa.pl fe4ae05645

# Łamanie dwójki

**26 kwietnia w Londynie pierwszy człowiek przebiegł trasę maratonu w czasie poniżej dwóch godzin. Na pierwszego Polaka możemy się jednak nie doczekać.**




Wystartowali zgodnie z planem. Niewielka grupa walcząca o medal, kilku zawodników wynajętych po to, by dyktować tempo. A parę kroków za nimi – pulsująca fala tysięcy amatorów.

Od początku chodziło o rekord. „Zające", czyli pacemakerzy, ruszyli tak, by doprowadzić mistrzów do połowy dystansu w czasie 60 minut 30 sekund. Prowadzenie było dobre, ale nieidealne – poszczególne kilometry różniły się między sobą czasem o kilkanaście sekund, a tętno biegacza mocno reaguje nawet na takie niewielkie zmiany tempa. Kilka takich szarpnięć i zawodnik może się „zagotować".

Pół godziny później – po 30. kilometrze – nastąpiło przełamanie. Na czoło wysunął się **Sabastian Sawe** z Kenii, zaraz za nim był Etiopczyk **Yomif Kejelcha**. Są tacy, którzy oglądają maratony ze stoperem w ręce – oni pierwsi zauważyli, że tym razem schemat różni się od typowego maratonu. Zwykle pojawia się „kometa", która gubi ogon kawałek po kawałku. I do mety dobiega jako pierwszy ten, który najmniej zwolni. Tutaj było inaczej. Stoper pokazywał, że jądro komety (sześciu zawodników) trzyma stałe tempo, ale to Sawe i Kejelcha stopniowo przyspieszają. Tempo z mocnego zmieniło się w piekielne: końcówka pokonana w tempie 2 minut 40 sekund na kilometr to już strefa znana raczej z krótkich biegów na stadionie.

Ostatnią piątkę Sawe pokonał jakby dopiero co wystartował. Po jego ciele w ogóle nie było widać zmęczenia. Zupełnie inaczej Kejelcha – jego sylwetka mocno się chwiała, ale mimo to trzymał się cały czas kilka metrów za Kenijczykiem. Dopiero po minięciu 40. kilometra niewidzialna nitka łącząca zawodników się zerwała. Wtedy już było jasne, że bariera pęknie. Stoper zatrzymał się, wskazując czas 1:59:30.

„Łamanie dwójki" zaczęło się jeszcze w 2017 r. Firma Nike najwyraźniej poczuła, że taki rekord będzie ważnym wydarzeniem w świecie sportu, więc warto zarezerwować je dla siebie. Tak powstał projekt Breaking2 – start zawodników z trzech krajów: Etiopii, Erytrei i Kenii, reprezentantów najważniejszych maratońskich nacji, na włoskim torze wyścigowym Monza. Ale naprawdę liczył się jeden: Kenijczyk Eliud Kipchoge.

Sam projekt był pokazem zaawansowanej techniki i planowania. Staranny wybór miejsca – blisko poziomu morza, żeby nawet minimalnie nie zmniejszać zawartości tlenu w powietrzu. Wiosną o świcie – kiedy słońce nie rozgrzewa jeszcze asfaltu. I wreszcie na równej trasie pozbawionej ostrych zakrętów. Do tego auto starannie kontrolujące prędkość biegaczy i duża grupa zawodników otaczających mistrzów – by osłonić ich przed ewentualnymi podmuchami wiatru.

Przy okazji kamera raz po raz przesuwała się po wyjątkowych butach, które mieli na sobie biegacze – były to prototypowe konstrukcje o grubej podeszwie. To, czego nie było widać, to karbonowa płytka zapewniająca wyjątkową sprężystość. Badacze sugerowali, że pozwala zaoszczędzić nawet 4 proc. energii – to bardzo dużo. Ale projekt zakończył się fiaskiem – Kipchoge zwolnił w końcówce. Przykro było patrzeć, jak przez ostatnie kilka minut prowadząca go Tesla stopniowo się oddalała, trzymając nadal wymarzone tempo. Na mecie zegar pokazał 2:00:25.



**Krzysztof Dołęgowski** – biegacz, ultramaratończyk, zawodnik rajdów przygodowych. Przez lata zastępca redaktora naczelnego magazynu „Bieganie". Autor kultowej wśród biegaczy książki „Szczęśliwi biegają ultra".

Itu robi się ciekawie, bo rynek biegowy wcale się nie przejął porażką. Nike i tak spieniężył swój projekt: na półki trafiła cała kolekcja butów podobnych do tych, które mieli na sobie Kipchoge i jego koledzy. Cena: jedyne 250 dol. za parę. Podobną taktykę stosują twórcy seriali. Nigdy nie pozwalasz bohaterowi wygrać i nie zabijasz wszystkich złoczyńców. Dzięki temu możesz sprzedawać kolejne sezony. Tak zrobiło Nike. Rok po biegu na Monzie pojawiła się nowa sceneria i nowy projekt: wiedeński Park Prater. I tam już się udało. Kipchoge miał ciut lepsze warunki pogodowe i dotarł do mety w czasie 1:59:40.

Ten schemat biznesowy okazał się bardzo skuteczny, ale nie przyniósł oficjalnego rekordu zgodnie z regulacjami międzynarodowej federacji World Athletics. Te są bardzo wymagające. Dla przykładu, na 45. stronie jest punkt 31.21.3, który brzmi: „Całkowity spadek wysokości pomiędzy liniami startu i mety nie może przekraczać 1:1000", czyli jeden metr na jeden kilometr. To na wypadek, gdyby ktoś zaczął maraton gdzieś nad Morskim Okiem, a metę ustawił na dworcu w Zakopanem – 700 metrów niżej.

© IAN WALTON/AP/EAST NEWS, MP, WARREN LITTLE/GETTY IMAGES





eprasa.pl fe4ae05645






Akurat ten punkt w przypadku projektów Nike nie został złamany. Chodziło o subtelniejsze udogodnienia. To nie były wyścigi z prawdziwą rywalizacją, raczej prywatne próby czasowe, gdzie moment startu był dopasowany do warunków pogodowych. Do tego był też problem „zajęcy", którzy zmieniali się co jakiś czas, więc nie mogli być uznani za „uczestników wyścigi" – a to już złamanie regulaminu. Również samochód poruszający się ze stałą prędkością w oficjalnych zawodach jest uznawany za niedozwoloną pomoc.

Nie bez powodu na oficjalny rekord musieliśmy czekać kolejne siedem lat. Różnic jest sporo. W oficjalnym, niekontrolowanym biegu mocna stawka nastawiona na rywalizację może wywindować rekord, ale częściej zdarza się go pogrzebać. Zawodnicy mają różne style prowadzenia biegu i nie zawsze chcą współpracować. Ktoś szarpie tempo, przyspiesza, by zdobyć psychologiczną przewagę. Ktoś przepycha się przy punktach z piciem. Nie zawsze znajdą się chętni, by biec z przodu – zwłaszcza na odcinkach wystawionych na wiatr. Jedni liczą na zwycięstwo poprzez równe tempo, inni – że „dowiozą się" na plecach rywali do ostatniego kilometra i zaatakują w końcówce. Są też tacy, którzy liczą na długi finisz.

W poprzedni weekend w Londynie wystartowało co najmniej sześciu faworytów do zwycięstwa – każdy miał własny styl i plan. Sama trasa co prawda jest płaska i szeroka, nastawiona była na atrakcje turystyczne – żeby biegacze mogli zobaczyć żaglowiec Cutty Sark, przebiec przez Tower Bridge i obok Pałacu Buckingham. Na wielkich biegach zwykle jest za ciepło – idealnie jest celować w 5–10 stopni na plusie – tymczasem termometry w Anglii pokazywały w południe nawet 18 stopni.

Swoją rolę odegrały znów buty. Pierwszych dwóch zawodników miało na nogach **najnowszy model Adidasa** ważący dosłownie tyle co małe frytki. A to kluczowe, bo stopa w czasie biegu cyklicznie zwalnia do zera, kiedy dotyka podłoża, następnie przyspiesza gwałtownie, by wyprzedzić ciało. Im większa prędkość, tym większe przeciążenia. Dlatego współczesne wyścigowe cholewki są cieńsze niż papier, piankowa podeszwa jest jak wydmuszka, a mimo to pozwala stopom odbijać się od podłoża przy minimalnej utracie energii.

11 sekund po zwycięskim Sawe, ale nadal poniżej dwóch godzin, na metę londyńskiego maratonu wpadł Etiopczyk Kejelcha – debiutant (!) na tym dystansie. A po nim jeszcze 58 tys. biegaczy. Jedynie kilka procent ze startujących nie ukończyło biegu. I nie mówimy tu o grupie dwudziestoparolatków z klubów sportowych – w Londynie grupa nastolatków czy studentów stanowi mniej niż 5 proc. stawki, jest ich mniej niż zawodników 50+. Co więcej, nawet w kategorii tak mało kojarzonej ze sportem jak „kobiety 80+" wystartowało kilkanaście zawodniczek.

Zawodowcy to niewielka grupa zaproszonych biegaczy, można ich zmieścić w jednej klasie. Cała reszta musiała nie tylko zapłacić za udział w biegu, ale również wziąć udział w loterii – w tym roku chętnych było ponad milion.

W Londynie nie ścigali się natomiast polscy zawodowcy. Ale może to i dobrze, bo trudno nam się porównywać z najlepszymi. Czyżby nasi mistrzowie nie zauważyli, że magiczne buty Kipchoge można już od dawna kupić (te, w których biegł Sawe, będą dostępne wkrótce). Za jakieś 2 tys. zł można więc wyrównać szanse sprzętowe. Najnowszy sprzęt to jednak za mało, aby ścigać się z najlepszymi. Wleczemy się za innymi nacjami również pod względem wykorzystywania najnowszych technik treningu i regeneracji.

Rekord Polski w maratonie ciągle należy do Henryka Szosta – wynosi 2:07:39 i ma już 14 lat. Dyrektor Maratonu Warszawskiego Marek Tronina mówi dosadnie: – *Bieganie długodystansowe w Polsce jest sportem umierającym.* Chodzi mu oczywiście o elitę, nie o dobrze bawiących się amatorów. Jak zauważa: – *Najszybsze kobiety na świecie są w stanie prześcignąć aktualnego męskiego mistrza Polski w maratonie.*

Tronina dodaje, że tu nie chodzi tylko o przewagę Afryki, o geny czy o zawodników zmieniających obywatelstwa, bo ostatnio w biegach długodystansowych biją nas również „biali" ze Słowenii lub Irlandii. Gdyby to w Maratonie Warszawskim Sabastian Sawe złamał dwie godziny na mecie koło Pałacu Kultury, pierwszy z Polaków znajdowałby się wówczas gdzieś na granicy Żoliborza i Bielan i miał przed sobą jeszcze 6–7 km.

Sawe w wywiadzie na mecie w Londynie powiedział, że złamanie godziny i 58 minut w maratonie to tylko kwestia czasu. Prawdopodobnie zobaczymy go znów w walce o rekord, tym razem jesienią w Berlinie – jeśli tylko trafi się bieg z nieco chłodniejszą aurą, z ciut szybszym początkiem i bardziej wyrównanym tempem. Przy odrobinie chęci i systematycznym treningu sami możemy tam wystartować. Metę zamykają po sześciu godzinach. ■



eprasa.pl fe4ae05645

**24/7**, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



## Wykradane matury

**Matury właśnie trwają i matury wyciekają. Mechanizm ich kopiowania w pierwszych minutach egzaminu opisuje na polityka.pl Dariusz Chętkowski.** Są kradzione i wpuszczane do sieci, by uczniowie zaraz otrzymali rozwiązania, które mogą sprawdzić w toalecie, zapamiętać i użyć. Kopiowanie zadań pozostaje bezkarne. Jak zatrzymać proceder, jeśli władze oświatowe go nie rozumieją?



## Doradcy Nawrockiego

Andrzej Duda powtarzał, że zawsze się czegoś uczy. Jego następca nie musi – skoro dorobił się już 15 rad, w nich zaś ponad pół tysiąca radzących, zawsze znajdzie się ktoś, kto głowie państwa mądrze podpowie. Jednak zdaniem dziennikarki POLITYKI Anny Dąbrowskiej rady niezupełnie do tego służą. **Karol Nawrocki obudował się piarowo ludźmi myślącymi podobnie. Po co? O to w podkaście „Temat tygodnia" pyta Karolina Lewicka.**



## Powrót Łomiarza

Tuż przed majówką Henryk R., znany jako Łomiarz, po odbyciu pełnej kary więzienia wyszedł na wolność – choć zdaniem biegłych istnieje wysokie ryzyko, że ponownie popełni przestępstwo. W latach 90. i później atakował przypadkowe kobiety w Warszawie. Część z nich zmarła. **Co robić, gdy państwo ma ograniczone możliwości kontroli groźnych sprawców, pisze na polityka.pl Zbigniew Borek.**



## Lektury Andy Rottenberg

Od dwujęzycznego, polsko-rosyjskiego dzieciństwa, od pierwszych lektur i wspomnień z Nowego Sącza oraz Legnicy, aż po wyprawy po całym świecie i książki, które leżą dziś przy jej łóżku. **W nowym odcinku „Polityki o książkach" Justyna Sobolewska rozmawia z Andą Rottenberg.** Historyczka sztuki i kuratorka czyta kompulsywnie wszystko, co tylko nadaje się do czytania. Czy dlatego – jak mówi – zawsze odstawała?




## Rower na sezon

Do serwisu trzeba gnać, kiedy rower zaczyna z nami rozmawiać. Kiedy pojękuje łańcuch, popiskują hamulce albo gdy trzeszczy do nas rama. Jak rower zaczyna do nas mówić, to najczęściej jest to skarga. **Jak przygotować rower na sezon i jak serwisować, żeby nie żałować, w podkaście „Rowery, nie bajki" praktycznie radzą Michał Roszczyk i Kuba Mroczyński.**

© LESZEK ZYCH (2), ANNA AMAROWICZ, EAST NEWS, ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

## GALERIA POLITYKI




JAN KOZA

eprasa.pl fe4ae05645

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

# CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



## Klinika ortopedyczna

## Szpital
operacje ortopedyczne

## Poradnia Medycyny Sportowej
**dla dzieci, młodzieży i dorosłych:**
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

## Poradnia Leczenia Bólu
**Zabiegi interwencyjne:**
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

## Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

## Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

## Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

## Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

## Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

## Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

## CMS i Wracasz do gry!

**Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.**

**CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5**

**tel. 22 592 93 05 do 10**

www.cms.waw.pl

eprasa.pl fe4ae05645

# ZAMACH STANU CZY SANACJA?




Wydanie powstało przy współpracy z Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

**W sprzedaży**

**148 stron**

**KUP TERAZ**

**Wydanie papierowe** – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
**Wydanie cyfrowe i audio** – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
**Podkast** POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
**Newsletter** historyczny – **polityka.pl/newslettery**

**Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny**

eprasa.pl fe4ae05645